

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2016/4

magazynhisteria.pl

GOŚCIE SPECJALNI

WOJCIECH GUNIA

DOM PANA MOTTA

THOMAS
LIGOTTI

KOSZMARNĄ SIĘĆ

po raz pierwszy
w polskim przekładzie

Artykuł

AMORFICZNE
DEMONY
WOLNEGO
RYNKU



EFEKT ROSENTHALA | JESTEŚMY OHYDNI | LUSTERNIK
MARTWY MĘŻCZYŻNA STOJĄCY NAD RZEKĄ
PAMIĘTNIK ZNALEZIONY NA PROGU | PRISMA | SPA DAJĄC
ZBIERALI SIĘ W PIWNICY TEGO BUDYNKU WIECZORAMI

SPIIS TREŚCI:

| | | |
|---------------------------------------------------|-------------------|-----|
| Słowo od redakcji | | 2 |
| Wyznania Histeryka | | 4 |
| DOM PANA MOTTA | Wojciech Gunia | 5 |
| EFEKT ROSENTHALA | Alicja Tempłowicz | 45 |
| JESTEŚMY OHYDNI | Karol Zdechlik | 53 |
| LUSTERNIK | Tomasz Krzywik | 67 |
| MARTWY MĘŻCZYŻNA STOJĄCY NAD RZEKĄ | Karol Zdechlik | 81 |
| PAMIĘTNIK ZNALEZIONY NA PROGU | Dagmara Fajt | 92 |
| PRISMA | Daniel Gapiński | 103 |
| SPADAJĄC | Rafał Nowakowski | 113 |
| ZBIERALI SIĘ W PIWNICY TEGO BUDYNKU WIECZORAMI | Damian Zdanowicz | 117 |
| Amorficzne demony wolnego rynku | Wojciech Gunia | 131 |
| KOSZMARNY SIEĆ | Thomas Ligotti | 137 |

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Paweł Chmielnicki (ilustracja), Marcin Czarnecki (skład)

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Anusza, Paweł Chmielnicki, Marcin Czarnecki,
Marcin Kozierekiewicz, Stanisław Lament, Roman Panasiuk,
Izabela Wojciechowska

Korekta: Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami lipcowa, „dziwna” Histeria, która wypełniona jest w 100% weird fiction.

Gośćmi Specjalnymi piętnastego numeru są Wojciech Gunia oraz Thomas Ligotti. Brzmi jak redakcyjne marzenia senne, a jednak to prawda. Sami jeszcze nie dowierzamy, że autor „Teatro Grottesco” zgodził się na opublikowanie w języku polskim swojego opowiadania („Koszmarna sieć”) w naszym magazynie. Wszystko to jednak zasługa W. Guni, który najpierw w naszym imieniu uzyskał zgodę, a następnie przetłumaczył tekst. Jakby tego było mało – udostępnił Histerii swoje opowiadanie „Dom Pana Motta”, które nie było wcześniej nigdzie publikowane, napisał artykuł o horrorze korporacyjnym T. Ligottiego, a także zasiadł w jury konkursu Dziwowisko!

Wszystkie opowiadania (prócz „Martwego mężczyzny...”), które znajdziecie na pozostałych stronach, pochodzą z wyżej wspomnianych zmagania literackich, które zorganizowaliśmy z okazji przypadających w tym miesiącu 63. urodzin T. Ligottiego. Tak więc lipcowa Histeria stała się polską antologią weird fiction.

Na początek jednak wywiad z Histerykiem, Miesiąca – T. Krzywikiem, którego tekst pojawia się również w tym numerze.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad kolejnym numerem.

Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA **HISTERYKA**



**Tomasz
Krzywik**

Urodzony w 1993 r. w Toronto. Pisze od najmłodszych lat, pierwsze teksty zaprezentował szerszej publiczności w 2009 r. Od tamtego czasu udziela się aktywnie na forach literackich. Poza „Histerią” publikował także w antologiach „31.10 Wioska Przeklętych” oraz „31.10 Księga Cieni”. Uwielbia weird fiction, fantasy oraz ciepłą pizzę.

Skąd pomysł na „Przełęcz”?

Wszystko zaczęło się tak naprawdę od uwagi mojej lepszej połówki, Ady Krystosiuk, która przeglądając przesłane jej opowiadanie stwierdziła „Tomek, to jest fajne, ale hej! Znowu piszesz to samo”. Miała tu na myśli pewną mikropowieść, którą napisałem miesiąc wcześniej, i patrząc z perspektywy czasu miała rację: znowu zaczynałem brnąć w kierunku opowiadania o „niepokojących wydarzeniach w małej wsi na uboczu”. Doszedłem do wniosku, że jeśli chcę dostać się na łamy magazynu, to muszę uderzyć w inne klimaty. Szukając natchnienia, zacząłem rozglądać się wokół siebie i znalazłem je w postaci... gry komputerowej „The Long Dark”. I bingo! To było to! Od zawsze lubiłem motyw mrozu i przetrwania: dlaczego więc nie dorzucić do tego klimatu szaszczucia i obcych istot rodem z Lovecrafta? Pokombinowałem trochę z różnymi pomysłami, przeczytałem o górach i po jakimś czasie pomysł sam się do mnie zgłosił. Pozostawało tylko zacząć pisać.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

W pierwszej kolejności musiałem poczytać trochę o górach, chmurach, o burzach śnieżnych... Musiałem sprawdzić mnóstwo detali, żeby być pewnym, że „Przełęcz” będzie miała taki klimat, jak chcę. To właśnie w szczegółach tkwi diabeł – starałem się nie przesadzać z używaniem specjalistycznego języka, ale chciałem, żeby czytelnik miał świadomość, że wiem, o czym piszę. Żeby czytając o burzy śnieżnej, mógł poczuć zabójczy dotyk mrozu. A kiedy już zdobyłem wszystkie potrzebne mi informacje, zabrałem się do pisania. Żeby lepiej się wczuć, puściłem sobie przez słuchawki odgłosy burzy śnieżnej – coś takiego zrobiłem pierwszy raz w życiu (normalnie muszę mieć ciszę, żeby móc pisać).

Właściwy proces tworzenia przebiegał raczej spokojnie – słuchając wspomnianych dźwięków, pisałem kolejne strony. Nie działo się nic niesamowitego, jeśli nie liczyć jednego wieczoru, kiedy tak wszedłem w skórę bohatera, że zerkalem z niepokojem przez ramię. To uczucie, które zna chyba każdy, kto przynajmniej raz pisał horror.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

Jeśli chodzi o pisarzy zagranicznych, to przede wszystkim Howarda Philipa Lovecrafta i Stephena Kinga. Lovecrafta za moje ulubione „Kolor z przestworzy” i „W górach szaleństwa”, Kinga zaś za „Worek kości”. Natomiast jeśli chodzi o polskich pisarzy, to zdecydowanie cenię sobie Stefana Grabińskiego i Wojciecha Gunię. Grabińskiego za dorobek, który pozostawił, Gunię zaś za dorobek, który dopiero pozostawi – ma na koncie zaledwie parę pozycji, ale już teraz jest to pisarz, którego nie wolno ignorować.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Pisanie to moja pasja. Jestem studentem, przede mną wciąż wiele życiowych decyzji, pewnie nieraz jeszcze zweryfikuję swoje plany na życie, ale pisać będę zawsze. Wiedziałem to już w momencie, kiedy w wieku trzynastu lat kończyłem swoje pierwsze „poważne” opowiadanie i wiem to dzisiaj. Nie wyobrażam sobie życia bez pisania.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Ze stanem, który ogarnia człowieka w momencie, gdy uświadamia sobie, że wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte, a ciemność, która go ogarnia, to nie mrok, a umysł, który w przyływie litości wyłącza świadomość koszmaru położenia...

rys. Roman Panasiuk



DOM PANA MOTTA

Wojciech Gunia

Mojego ojca zapewniono, że otrzymamy godny kwaterek z wyżywieniem. Tak przynajmniej nam mówił, kiedy tłumaczył, że nadszedł czas, byśmy wyjechali z naszego miasta na krótkie wakacje. Tym wyjaśniał również – a może tylko usprawiedliwiał – dziwne, nocne rozmowy, które prowadził z jakimiś ludźmi, odwiedzającymi nasz dom. Przyglądałem się – a w zasadzie podpatrywałem – te rozmowy przez uchylone drzwi, wykradłszy się wraz z moim bratem Jakubem z naszego pokoju. Ukryci w ciemności przedsiionka, mrużąc oczy,

przez cienki pas światła pomiędzy framugą a skrzydłem drzwi przypatrywaliśmy się ludziom, z którymi ojciec toczył rozmowy – jak zdawało się po jego gestykulacji – bardzo ożywione, a mimo to prowadzone szeptem. Odwiedzili nas kilka razy i po ostatniej z tych wizyt ojciec zebrał nas rano w jadalni i ogłosił konfidencjonalnym tonem, że wyjedziemy na krótkie wakacje, a gościny udzieli nam pewien dobry człowiek nazwiskiem Mott. Wedle słów ojca miejsce, w które mieliśmy się udać, spełniało wszystkie standardy, jakich mogła oczekiwać w miarę zamożna rodzina.

Podróż trwała długo; stłoczeni na tylnej kanapie samochodu z Jakubem i walizkami, do których rodzice spakowali znaczną część naszej garderoby, czuliśmy się jak wciśnięte w ograniczoną, kanciastą przestrzeń półżywe przedmioty. Milczeliśmy i tylko od czasu do czasu wybuchało nagromadzenie słów, które pod sklepieniami zmęczonych głów kołysanych monotonią podróży i powtarzalnością krajobrazów poczęły fermentować, buzować, wrzeć. Następowало wówczas kilka-kilkanaście minut gwałtownej burzy pytań i odpowiedzi, erupcja żartów i wspominek, następnie zanikających, rozpraszających się, ulatniających przez uchylone szyby. Nie wiedziałem, gdzie znajduje się dom pana Motta, który miał nam udzielić gościny, jednakże moja wyobraźnia podpowiadała mi obrazy jakiegoś sielskiego, słonecznego miejsca, nad którym unosi się aura beztroski; miejsca, w którym czas ulega zawieszeniu, redukcji, miejsca błogiej powtarzalności, pod którą kryją się tajemnice przygód i światów stwarzanych ad hoc przeciwko rozleniwiającej nudzie.

Pamiętałem takie wakacje, w rozpalonej dolinie, którą płynęła rzeka, dolinie pełnej bujnej roślinności, rozpiętej pomiędzy jaskrawością barw wydobytych obfitością słonecznego blasku a głębokością cieni rzucanych przez drzewa i skały. Pamiętałem, jak na brzegu srebrzącej się rybami rzeki, której przyjemnie chłodny nurt obmywał kamienie, poszukiwaliśmy z Jakubem tajemnych znalezisk, pamiątek po minionym; zainspirowani którąś z młodzieżowych książek przyniesionych do domu przez rodziców. Wspominałem te słoneczne krajobrazy, oddalone od zgiełku miasta, wypełnione ciszą aż pod sklepienie niebieskie i byłem pewien, że dom pana Motta, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, będzie właśnie jednym z takich miejsc. Myślę, że Jakub żywił takie same oczekiwania.

Wzmocniły się one, kiedy po wielogodzinnej podróży zostawiliśmy za sobą ostatnie miasto, zostawiliśmy za sobą dzień i wraz z coraz niższymi budynkami, z coraz niżej płozącym się słońcem, wjechaliśmy na szutrową drogę, z której wzbijały się tumany pyłu, fantazyjnie rozświetlane ostatnimi promieniami dnia. Wkrótce zapadła ciemność i ojciec jechał powoli, zaś my z Jakubem, walcząc z pełnym obolałości zmęczeniem i nudą, wyławialiśmy z ciemności kształty starych, wysokich drzew rosnących wzdłuż trasy.

W pewnym momencie ojciec zwolnił jeszcze bardziej i zjechał gdzieś z drogi; słyszałem wyraźnie, jak do stukotu kamyków uderzających o podwozie i błotnik doszedł odgłos twardych źdźbeł obijających się o karoserię. W końcu samochód zatrzymał się, a ojciec westchnął głęboko, opierając czoło o kierownicę. Musiał być bardzo zmęczony.

Wysiedliśmy i w ciemnościach letniej nocy, w świetle księżycy przebijającym się przez korony drzew ujrzeliśmy stary, zniszczony dom opleciony, obrosły dzikim winem i mchem. Nie byłem w stanie ocenić, ile miał kondygnacji – niektóre, otulone gałęziami, kryły się w mroku. Z pewnością był stary; zdążył nieco opaść, zapaść się w ziemię – klepisko wokół jego murów było lekko wklęsłe, a w wybite okna suterren wlewała się ziemia. Rodzice podeszli powoli przez wysoką trawę do drzwi i zasygnalizowali naszą obecność. Usiadłem wraz z bratem, opierając się plecami o karoserię auta, które teraz spoczywało w objęciach wysokich źdźbeł. Blacha była rozgrzana i pachniało zarówno trawą, jak i benzyną, jak i naszym przeraźliwym, nieświeżym zmęczeniem. Rodzice stali pod drzwiami, wzywając odźwiernego. Po pewnej chwili skrzydło uchyliło się, ukazując na moment nieprzeniknioną ciemność wnętrza. Rodzice wpatrywali się w tę otchłań, z której wyłoniła się czyjaś sylwetka. Ojciec powiedział coś, czego nie byłem w stanie usłyszeć, po czym postać zniknęła we wnętrzu; ojciec wszedł za nią, wraz z nim matka, która przekraczając próg odwróciła się w naszą stronę, gestem nakazując nam, byśmy siedzieli na miejscu.

Po długich minutach wyszli, mówiąc, że mamy wstawać i pomóc im zanieść bagaże do naszego pokoju. Posłusznie podnieśliśmy się z ziemi i wydobyliśmy ze środka pojazdu walizki (te, które byliśmy w stanie unieść), po czym wkroczyliśmy do domu pana Motta, w którym mieliśmy spędzić wakacje.

Od pierwszych chwil moją uwagę przykuła atmosfera rozpadu i przerażającego smutku, tocząca niczym korniki drzewo mury domu pogrążonego w sennej martwocie. Przemierzaliśmy długie, puste korytarze, wygaszone przedpokoje, rozjaśnione wyłącznie anemicznym światłem księżycowej nocy. Weszliśmy krętymi schodkami gdzieś z tyłu domu na piętro, po czym płataniną krzyżujących się chodników dotarliśmy przed drzwi. Zauważyłem, że idący na przodzie człowiek, który nas przyjął, a którego twarzy ani razu nie udało mi się dostrzec, otwierał po drodze niezliczone drzwi, grodzące korytarze domu na odseparowane od siebie części. Powietrze było zatęchłe i zużyte, pachniało pleśnią i kurzem. W środku pokoju panował mrok i dopiero wprowadzający nas człowiek pewnym, zdecydowanym ruchem odciągnął kotarę zasłaniającą wąskie, łukowato sklepione okno, przez które wlała się do środka minimalna ilość słabowitej, zimnej poświaty. Ujrzałem w niej zarys wielkiego łóża, a także kilka krzeseł, szafę, stolik i umieszczone naprzeciw drzwi wielkie

lustro. Ojciec nakazał nam wejść do środka. Stanęliśmy przy wysokim łożu, opierając się plecami o jego ramę. Nasz gospodarz odwrócił się, ale jego twarz kryła się w cieniu i nadal nie mogłem dostrzec żadnych jej szczegółów. Po chwili milczenia przemówił:

– Zasady, których macie bezwzględnie przestrzegać podczas pobytu w tym domu, zostały przedstawione waszemu ojcu. Jeżeli was z nimi jeszcze nie zapoznał, to zapewne niebawem to uczyni, tak jak się do tego zobowiązał. Zanim rozpakujecie rzeczy, zostawcie na korytarzu wasze walizki do sprawdzenia – powiedział głuchym, wypranym z emocji głosem, po czym wyszedł.

Spojrzałem na ojca, który na czas krótkiego przemówienia mężczyzny zwiesił głowę na piersi; nie wiedziałem, czy ze zmęczenia, czy z powodu przytłaczającej obecności tego człowieka.

– Czy to był pan Mott? – zapytał szeptem Jakub, gdy oddalające się skrzypienie desek podłogi na korytarzu pozwoliło nam przypuścić, że mężczyzna odszedł już dostatecznie daleko.

– Nie. To jego pełnomocnik i jednocześnie zarządca domu. Pan Mott jest bardzo zajęty i nie miał czasu nas powitać.

– Dlaczego kazał nam oddać walizki do sprawdzenia?

– Takie zasady przyjmowania gości ustalił pan Mott. To ze względów bezpieczeństwa. Pytałem o to zarządcę, nie myślcie, że zgodziłem się na coś takiego nie zapytawszy o przyczynę. Po prostu kiedyś pewien gość wniósł w ten sposób szkodliwe substancje i spowodował tym jakieś problemy, których bliższej natury nie chciano mi wyjawiać, poza tym, że były na tyle poważne, że pan Mott zdecydował, że bagaże gości służba domu musi poddać kontroli.

– O jakich zasadach mówił? – wtrąciła się do rozmowy matka.

– Klucze – powiedział ojciec, wyjmując z kieszeni pęk zapięty na stalowym kółku. Każde z nas ma swój klucz, ponieważ nikt nie może poruszać się po domu czy z niego wychodzić bez odpowiednich kluczy. Byłoby to zresztą niemożliwe, bo drzwi są pozamykane. Aby poruszać się po domu, należy mieć swój klucz. Każdy z kluczy otwiera określone drzwi, zarządca nazwał to „poziomem uprawnień”. Oznacza to tyle, że wasze klucze mogą otworzyć tylko niektóre drzwi, nasze nieco więcej, ale też nie wszystkie. Nawet zarządca – powiedział ojciec, ścisząc jeszcze bardziej głos – nie może otworzyć wszystkich drzwi w tym domu, może to tylko zrobić pan Mott. Wasze klucze pozwalają wyjść z pokoju do łazienki i toalety. Jeżeli chcecie opuścić dom, będziecie musieli poprosić mnie albo mamę

– powiedziawszy to, wypiął z kółka po kluczu i wręczył nam, przykazując, byśmy strzegli ich jak oka w głowie. – Zgubienie klucza wiązałoby się z poważnymi konsekwencjami – ostrzegł.

Matka zapytała, co z samochodem. Ojciec odparł, że oddał zarządcy kluczyki, samo auto miało zostać sprawdzone przez ludzi pana Motta. Wystawiliśmy walizki na zewnątrz, po czym, zmęczeni, zasiedliśmy na krzesłach, kładliśmy się na wielkim łożu, prowadząc coraz bardziej wygasające, martwiejące rozmowy wiodące nas w sen. Po jakimś czasie wszyscy leżeliśmy obok siebie na łóżku, zapadając się w nieistnienie.

Kiedy obudziliśmy się, ojciec, gdy tylko świadomość na dobre wróciła go objęciom ciasnego w świetle wstającego dnia (łożko zdawało się zajmować większą część metrażu), zatechłego pokoju, wstał i sztywnym krokiem dopadł do okna i zaciągnął kotarę. Pomieszczenie znów zapadło się w ciemności.

– Możecie jeszcze spać, jeżeli chcecie. Macie wakacje, korzystajcie. Niedługo idziecie do szkoły – wyszeptał.

– Dlaczego zasłoniłeś okno? – zapytała matka.

– Za dnia należy zasłaniać okna. Polecenie pana Motta. Podobno pokoje bardzo się nagrzewają i trudno w nich później wytrzymać. Śpijcie jeszcze.

Jednakże byliśmy już wyspani. Jakub włączył światło; spłynęło żółtą, lepką falą z zakurzonych, mętnych żarówek wkręconych w tandetny żyrandol. Zauważyłem, że podczas naszego snu ktoś wstawił do pokoju walizki. Obok nich stały cztery głębokie talerze wypełnione jakąś zimną papką i suchym chlebem. Oprócz tego na zaśniedziałej tacce stały cztery kubki z mętnym, równie zimnym płynem, który przy dużej dozie dobrej woli można by było uznać za kiepską herbatę. Byliśmy głodni po podróży i całej nocy i choć strawa wydawała się podła, zjedliśmy ją. Później zabraliśmy się za wypakowywanie bagaży.

Niemal natychmiast zauważyłem, że z mojej walizki zniknęły jakiegokolwiek cenne przedmioty. Szczególnie bolesne okazało się dla mnie zniknięcie pewnej kosztownej figurki, będącej pamiątką po wakacjach, które zapamiętałem wyjątkowo pozytywnie. Figurka przedstawiała śpiącego psa i była wykonana z porcelany. Ubytek w moim dziecięcym majątku miał się jednakże nijak do strat poniesionych przez moją matkę, którą obrabowano ze wszelkich kosztowności. Co więcej, jak się okazało, w poszukiwaniu zaszytych w ubraniach przedmiotów sprawcy rozpruli wiele sztuk odzieży należących do mojej rodzicielki. Ojciec patrzył zszokowany na zmięte, pocięte truchła ubrań, jak płaskie, wypatroszone, bezkrwiste zwierzęta, nad którymi lamentowała matka.

– To jest absolutny skandal, rzecz wprost niewyobrażalna! Zostałam bezczelnie obrabowana, ograbiona! Masz natychmiast udać się do tego całego Motta i zażądać, aby sprawca tej haniebnej kradzieży – zakładam, że to ktoś ze służby domu, ktoś, kto „sprawdzał walizki dla celów bezpieczeństwa” – zwrócił zabrane rzeczy i został przykładowo ukarany, najlepiej wydalony! Jeżeli sprawa znajdzie rozwiązanie szybko, oszczędzę wzywania policji i szerszego kompromitowania gospodarza tego, pożałuj Boże, ośrodka. Do tego ta podła żywność, której nawet zawszony, beapański kundel by nie tknął! – grzmiała ze łzami w oczach.

Sprawdziliśmy naprędce wszystkie bagaże i wszystkie znaleźliśmy w takim samym stanie – przetrząśnięte, zmięte, a tam, gdzie sprawcy mieli podejrzenie, że mogą być ukryte cenne przedmioty – zniszczone. Ojciec, czerwony na twarzy z gniewu, wybiegł z pokoju, krzykiem wzywając służbę.

Wrócił po kilkunastu ciągnących się w nieskończoność minutach. Oddychał ciężko i wodził rozbieranym wzrokiem po pokoju. W półmroku błyskały białka jego oczu.

– To jest jakieś szaleństwo. Nasz samochód został gdzieś przeparkowany, bo nie widzę go przez okno. Mój klucz nie pozwala mi wyjść na zewnątrz, choć zarządca mówił wczoraj, że otwiera też drzwi frontowe. Zresztą... Nie byłem nawet w stanie znaleźć drzwi frontowych. Wyobraźcie sobie! Pan Mott jest nieosiągalny. Spotkałem zarządcę i powiedziałem mu o sprawie; obiecał, że zajmie się wszystkim, po czym poszedł w swoją stronę. Kiedy przystąpiłem do niego, by dać mu do zrozumienia, do jak poważnego złamania zasad doszło i jak ciężkiej nieprzyzwoitości dopuścili się jego ludzie, kazał mi wracać do pokoju i poczekać.

– Miejmy nadzieję, że dobiorą się im do skóry – wysyczała matka.

– Dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, mamy nie opuszczać pokoju – wyszeptał ojciec.

Czekaliśmy długie minuty, które, jak podejrzewam, przeszły w godziny. W końcu do pomieszczenia wszedł – bez pukania – zarządca w towarzystwie dwóch mężczyzn. Obaj byli wysocy; jeden, wyższy z dwójki, był tyczkowato chudy, wiotki, o wąskich ustach i wąskich oczach, drugi – szeroki w barkach, łysiejący, z puklem włosów zaczesanych na łysinę, z szeroką twarzą wspartą na krótkiej szyi schowanej pod podwójnym podbródkiem. Miał groteskowo długi nos i świdrujące spojrzenie, którego charakter wzmagał drwiący uśmiešek.

– To są panowie Antunowicz – powiedziawszy to wskazał na wyższego – i Byrkicz – powiedział, wskazując na drugiego. – Odpowiadają za bezpieczeństwo w tym domu. Także za

bagażę. Podobno mieliście państwo jakieś problemy. Proszę, panowie Antunowicz i Byrkicz odpowiedzą na państwa pytania i rozwieją wszelkie wątpliwości.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale matka weszła mu w słowo.

– Zostaliśmy brutalnie i bezwzględnie obrabowani i jeżeli to panowie sprawują pieczę nad bagażami, to albo dopuściliście się kradzieży, albo karygodnego zaniedbania!

Byrkicz kiwnął głową i zamknął oczy, po czym otworzył je, spoglądając na matkę z uśmiechem, od którego poczułem dreszcze.

– A co zginęło szanownej pani? – zapytał.

– Biżuteria i pamiątki.

– Poproszę o precyzyjny spis zaginionych rzeczy, wraz z wyceną wartości. Tylko wie pani, nie że „kolczyk mi zginął”. Ma być ze szczegółami. Wymiary, materiał, wykonanie i cena. Mogło być tak, że jakieś poniewierające się luzem rzeczy trafiły do depozytu. Będą tam bardzo bezpieczne.

– Rozpruto nam ubrania – jęknął ojciec.

– Nic podobnego – powiedział kpiąco Antunowicz – ubrania wróciły do was w takim stanie, w jakim do nas trafiły. Nie wnikamy w to, w jakie podarte szmaty ubierają się ludzie – zadrwił. Matka opadła na krzesło, oniemiała. Ojciec wytrzeszczał oczy i wielkimi haustami łapał powietrze.

– Wyjedźmy stąd i żądajmy zwrotu pieniędzy – powiedział rezolutnie Jakub. – No, dlaczego stąd po prostu nie wyjedziemy? Powiedz nam, dlaczego? – zapytał, hardo spoglądając na trzech mężczyzn.

– Usiądź i nie odzywaj się – odparł niespodziewanie ojciec, nawet nie patrząc na mojego brata. – Chcę rozmawiać z panem Mottem. I żądam zwrotu kluczyków do samochodu – dodał, ale jakby ciszej, bez przekonania.

– Oczywiście zgłoszę sprawę do pana Motta i niezwłocznie pana poinformuję o terminie spotkania. Pański samochód jest bezpieczny – powiedział zarządca. Jego pomocnicy uśmiechnęli się szeroko, po czym zaczęli wychodzić. Kiedy już niemal opuścili pomieszczenie, Antunowicz rzucił na odchodne:

– Och, dobrze się tu wami zaopiekujemy, przyjaciele.

Zamknięci w pokoju, zszokowani tym niespodziewanym obrotem spraw, zapadliśmy w milczenie. Jako pierwsza odezwała się matka, wyrzucając ojcu:

– Dlaczego nic z tym nie zrobisz?

– Co mam zrobić, twoim zdaniem? – powiedział ojciec, odwracając wzrok.

– Wyjedźmy stąd – powtórzył Jakub. Zawtórowałem mu.

– To nie takie proste. Zabrali nam kluczyki do auta. O ile z samym samochodem czegoś nie zrobili.

Jakub podszedł do okna i nim ojciec zdołał go powstrzymać, odsunął ciężkie, nasiąknięte kurzem kotary. Do środka na chwilę wlało się blade światło dnia. Jakub wpatrywał się w coś, co w tamtej chwili zauważył za taflą szkła.

– Są... zakratowane?

Podszedłem do niego i stanąłem obok. Okno było od zewnątrz zabezpieczone grubą, stalową siatką rozpiętą na stalowej ramie, której wsporniki wpuszczono w mur. Ojciec szybko zasunął story, każąc nam usiąść.

– Pod żadnym pozorem nie odsłaniajcie okien. Już wam to mówiłem. Macie słuchać.

– Dlaczego stąd nie wyjedziemy? – ponowił Jakub.

– Zostaniemy tu jakiś czas.

– Po co? Chcę wyjechać. Najlepiej dziś.

– Nie będziesz o tym decydował, synu. Koniec dyskusji. Spotkam się pilnie z panem Mottem i wszystko z nim wyjaśnię.

Jakub, nie mogąc doczekać się odpowiedzi na swoje pytanie, krzyknął w końcu:

– Dlaczego po prostu stąd nie wyjedziemy, na jakieś inne wakacje? Co jest w tym tak skomplikowanego?

Ale rodzice unikali jego wzroku, nie wiedząc, jak mu (nam) odpowiedzieć.

Tak rozpoczęły się nasze wakacje. Spędzaliśmy leniwe, ciemne godziny zamknięci w pokoju, z którego mogliśmy wyjść do toalety lub łazienki. Matka przesiadywała z nami, czytając książkę, a ojciec wychodził na długie godziny, usiłując spotkać się z panem Mottem. Za każdym razem wracał do naszego pokoju zrezygnowany, z poczuciem porażki.

– Dziś pan Mott miał do załatwienia jakieś ważne sprawy w mieście i wyszedł wczesnym rankiem. Nie będzie go aż do późnej nocy.

– Dziś pan Mott ma bardzo dużo pracy i nikogo nie może przyjąć.

– Dziś pan Mott nadzoruje audyt w innym budynku i nie jest obecny.

– Dziś pana Motta odwiedziła rodzina; bawią w mieście i nie wiadomo, kiedy wrócą.

Matka przyjmowała te rewelacje z mieszaniną obojętności i zniecierpliwienia; regularnie przypominając ojcu o tym, że nie rozwiązano w żaden sposób sprawy haniebnej

kradzieży, której padliśmy ofiarami. Ojciec tylko kiwał głową, obiecując dołożenie wszelkich starań do tego, by osobiście rozmówić się z panem Mottem.

Co do nas, to pochłaniała nas osłabiająca, degenerująca nuda. Zamknięci w czterech ścianach pokoju, przysypialiśmy, prowadziliśmy puste rozmowy, graliśmy w karty. Czasami wychodziliśmy do toalety; kilka razy okazało się, że nasze klucze „o wąskim zakresie dostępu” nie otwierają także drzwi działowych, których otwarcie było niezbędne, gdy chcieliśmy udać się na korytarz, z którego można było wejść do toalety, ale doszliśmy do wniosku, że była to sprawa zużytych zamków, które czasami lubiły się zaciąć. Zdarzyło się to dwa-trzy razy.

W jednym z zakamarków komody Jakub znalazł starą szachownicę i zdekompletowany zestaw figur; podjęliśmy więc grę, a w zasadzie parodię gry, a później zaczęliśmy wymyślać własne reguły, własne zasady. Nadawaliśmy figurom nowe możliwości, nowe uprawnienia w zakresie ruchów i możliwości zbijania innych figur, opracowywaliśmy nowe cele gry i jestem pewien, że gdybyśmy spisali, jakoś skodyfikowali wszystkie wymyślane wówczas wariacje, świat wzbogaciłby się o całkiem pokaźnych rozmiarów podręcznik absurdalnych gier. Jednakże i ta zabawa w końcu nas znudziła i stanęliśmy wobec konieczności poszukania sobie nowych rozrywek.

Ten ciężar na barki wziął Jakub; choć byliśmy bliźniakami, mój brat był bardziej śmiały, bardziej ciekawy świata niż ja; ta ciekawość była zresztą przyczyną niejednego problemu wychowawczego, przyczyniła się do wielu awantur i nocnych rozmów, gdy ojciec i matka prośbą i groźbą perswadowali Jakubowi kwestie pewnych wartości i dozwolonych zachowań. Jednakże mój brat niewiele sobie z tego robił i wciąż pakował się w nowe przygody, które ściągały na jego głowę wiele problemów, ale i wiele niecodziennych umiejętności.

Jedną z nich była umiejętność otwierania zamków wytrychem.

Kiedy tylko okazało się, że ośrodek, do którego przyjechaliśmy bardziej przypomina więzienie niż dom wczasowy, Jakub powziął postanowienie, by zbadać całą topografię tego miejsca, przeświecić jego układ i rządzące nim zasady. Zamki, które zastosowano w drzwiach dzielących dom pana Motta na części były – wedle mojego brata – wcale zaawansowane, jednakże po krótkim treningu na drzwiach wejściowych do naszego pokoju szybko przestały stanowić dla niego wyzwanie, wystarczyło mu od kilkunastu do kilkudziesięciu sekund, by je otworzyć. Nie miałem odwagi mojego brata, który rychło zaczął wymykać się z pokoju na coraz dłuższe okresy czasu. Bałem się, przede wszystkim lęk budzili we mnie pomocnicy zarządcy – Antunowicz i Byrkicz.

Mój lęk wzmógł się po tym, gdy pewnego dnia, wyszedłszy do toalety (bez żadnych utrudnień ze strony zamków), spotkałem w niej Antunowicza. Sprawiał wrażenie, jakby na mnie czekał. Obserwował bacznie mój trwożliwy marsz ku ubikacji i kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi kabiny, usłyszałem zbliżające się ku niej kroki, przystające tuż za barierą z cienkiej dykty. Następnie drzwiami wstrząsnęło lekkie uderzenie, prawdopodobnie Antunowicza opierającego się plecami i odcinającego mi w ten sposób drogę wyjścia. Kiedy spuściłem wodę i ostentacyjnie głośno zapiąłem rozporek, sugerując, że chcę wyjść, odezwał się.

– Młody, chciałbyś zrobić interes?

Milczałem.

– Mam coś do sprzedania – powiedział, z nutką upiornej wesołości uwięzłą między słowami.

– Co? – zapytałem drżącym głosem.

– Musisz wyjść, żeby zobaczyć.

Naparłem na drzwi, oczywiście nie drgnęły nawet o milimetr.

– Czyżbym blokował ci wyjście?

Czułem, że tkanki mojego gardła pęcznieją, puchną. Usiadłem na sedesie.

– Powiedz – warknął nagle.

– Nie mogę wyjść – wyszeptalem.

– Wystarczy poprosić.

– Proszę... proszę mnie wypuścić – zaskomlałem, czując, że zbiera mi się na płacz.

– Proszę mnie wypuścić, szanowny panie Antunowicz. Rodzice cię nie nauczyli, jak się zwracać do starszych?

– Proszę mnie wypuścić, szanowny panie Antunowicz.

Drzwi po chwili otwarły się z przeciągłym piskiem. Ujrzałem w nich wysoką, tyczkowatą sylwetkę zwieńczoną głową, na której, w półmroku toalety, jaśniał szeroki uśmiech, tuż pod wąskimi oczami.

– Nie boisz się tak sam chodzić siku, mój mały przyjacielu? – zapytał. – W takim domu łatwo się zgubić.

– Nie boję się – powiedziałem, całkowicie wbrew prawdzie, wbijając wzrok w podłogę.

– Mam coś do sprzedania – powiedział. Czułem – słyszałem – jak wyciąga coś z kieszeni znoszonej marynarki i podkłada mi niemal pod nos. Podniosłem głowę; w mroku zajaśniała znajoma porcelanowa figurka. Ledwie powstrzymałem okrzyk; efektem mojej reakcji było zduszone jęknięcie.

– Ładna, nie? Pomyślałem, że ci się spodoba, ha ha. Ile mi za nią dasz?

Nie wiedziałem, co powiedzieć i wybrałem wariant najgorszy z możliwych.

– Ukradziono mi taką figurkę.

– Och, doprawdy. Ukradziono. Bardzo mi przykro, ha ha. No to możesz mieć teraz taką samą. Ile jest warta, według ciebie?

– Nie mam swoich pieniędzy, panie Antunowicz.

– Nie gadaj, na pewno coś tam masz. Na pewno coś ci tata daje na lizaki.

W tamtej chwili popełniłem kolejne głupstwo.

– Na pewno nie tyle, ile była warta taka figurka, panie Antunowicz.

– A ile była warta taka figurka?

– Nie wiem, moja mama ją kupiła.

– Weź od swojej mamy pieniądze i przynieś, to dobijemy targu.

– Nie wolno mi tak brać pieniędzy.

Antunowicz postąpił naprzód i nachylił się nade mną. Skuliłem się.

– Traktuję cię, jak, kurwa, dorosłego. Doceń to, smarkaczu – wyszczał. Pokiwałem głową, pociągając jednocześnie nosem.

– Przestań się mazać – powiedział. – To ile mi dasz za taką figurkę?

– Zapytam mamy, ile kosztowała.

– Bardzo dobrze. Przynieś pieniądze jutro o tej samej porze i zrobimy interes. A teraz masz dziesięć sekund i nie chcę cię tu widzieć.

Powiedziawszy to, nie przesunął się ani o krok. Widząc, jak desperacko próbuję rozważyć tę sprzeczność, znów zapytał:

– Czyżbym blokował ci przejście?

– Proszę mnie wypuścić, szanowny panie Antunowicz.

Odsunął się. Kiedy przechodziłem obok, podstawił mi nogę, runąłem wprost na ścianę, w ostatniej chwili osłaniając głowę przed rozbiciem.

– Dobry żart tynfa wart – powiedział Antunowicz, po czym wyszedł, przechodząc swoimi tyczkowatymi nogami ponad moim leżącym na podłodze ciałem. W drzwiach na korytarz rzucił jeszcze:

– Uśmiechnij się, młody, śmiech to zdrowie. I jeszcze jedno: mówię poważnie. Ani słowa o naszym spotkaniu. Tak?

– Tak, szanowny panie Antunowicz.

Kiedy opowiedziałem o wszystkim bratu, ten wyśmiał mnie, mówiąc, że dałem się podejść jak dzieciak (co istotnie z przyczyn obiektywnych było prawdą). Następnie zdradził mi, że Antunowicz i Byrkicz odpowiadają za naszą część domu, a w innych prawdopodobnie pracują inni dozorczy.

– Dom jest o wiele większy niż zdawało się to nam nocy, której przyjechaliśmy – mówił szeptem, jakby zdradzając mi jakieś niesamowicie tajne informacje. – Rozrasta się głęboko w las i liczy sobie więcej pięter niż mogliśmy to zauważyć w ciemności. Wszedłem w kilka korytarzy i widziałem wiele drzwi, byłem na paru piętrach, ale to wszystko zdaje się jedynie niewielkim ułamkiem całości.

– Czy wszystkie są tak poodgradzane, pozamykane?

– Tak i przed dalszym badaniem terytorium powstrzymało mnie to, że zamki w drzwiach wiodących do dalszych części domu lub na wyższe piętra są bardziej zaawansowane i jeszcze ich nie rozgryzłem, a muszę przecież cały czas uważać, by nie natknąć się na dozorców – powiedział. – Ale najciekawsze jest to, że jestem niemal przekonany, że w domu, także w naszym skrzydle, są też inni ludzie, zamknięci w pokojach. Nie jestem tego pewny, ale wydaje mi się, że mechanizm zamków w domu jest tak skonstruowany, że gdy jedna osoba wychodzi z danego pomieszczenia, ktoś, kto jest w innym pomieszczeniu nie może w tym samym czasie wyjść na korytarz. Przypomnij sobie, że kilka razy nie mogliśmy otworzyć naszym kluczem drzwi, za którymi było wejście do łazienki; prawdopodobnie przebywał tam ktoś inny; otwarcie więcej niż jednych drzwi wiodących na korytarz nie jest możliwe, zgodnie z regułami pana Motta. Dzięki temu lokatorzy domu nigdy nie mogą się spotkać. Zauważ, że kiedy tu przyjechaliśmy, zarządca, zanim otworzył następne drzwi, musiał zamknąć poprzednie. Teoretycznie jest możliwe, że lokatorzy spotkają się na korytarzu przechodząc z różnych części działowych, przynajmniej tak mi się wydaje, ale pewnie jakoś jest to rozwiązane.

Po chwili, dając mi czas na przyjęcie tych rewelacji (bardzo cenilem bystry zmysł obserwacji Jakuba, wykształcony przygodami i peregrynacjami po miejscach, o których wolałem nie widzieć), kontynuował:

– Podśluchiwałem pod drzwiami i choć są bardzo grube i szczelne, to zdawało mi się, że zza niektórych dobiegały jakieś ludzkie głosy, jakieś szepty. Przemierzałem te ciemne korytarze i przystawałem pod różnymi drzwiami i zdawało mi się, że dobiegają mnie jakieś echa, strzępy rozmów, choć ani razu nie udało mi się rozpoznać żadnego słowa. Ale jest coś takiego w mowie ludzkiej, że kiedy ją słyszysz, nawet bardzo słabo, z daleka lub przez gruby

mur, zniekształconą, zdeformowaną, stłumioną – poznasz ją, załęgnie się w tobie takie dziwne uczucie...

Następnie Jakub wyjął z komody zeszyt i krótkim, tępym ołówkiem zaczął kreślić jakiś schemat.

– To wygląda mniej więcej tak... – mówił – tu jest nasz pokój, tu korytarz, tu korytarz zakręca, tu i tu są drzwi działowe, a tu jest toaleta... Dalej są dwa pokoje, każdy z nich jest oddzielony dwustronnie zamykanym korytarzem. Cały problem polega na tym, że kiedy wejdzie się w korytarz, można natknąć się na dozorcę, a wtedy nie ma żadnej drogi ucieczki.

Przypomniałem sobie znowu spotkanie z Antunowiczem i przeszedł mnie dreszcz, kiedy wyobraziłem sobie jego reakcję, gdyby ujrzał mnie w miejscu, do którego nie miałem prawa wstępu.

– Można jednak ich uniknąć, gdy zachowuje się ostrożność. Sposób jest prosty, po prostu po wejściu w dany odcinek korytarza nie można zamykać natychmiast za sobą drzwi, aby uniemożliwić otwarcie drugich. Trzeba podejść, podsłuchać, czy ktoś się nie zbliża i ewentualnie wrócić, zamykając za sobą zamek na klucz. Chyba że dozorczy mają jakieś specjalne możliwości i mechanika zamków ich nie dotyczy, ale przypadek zarządcy, który ma chyba szersze uprawnienia niż dozorczy skrzydła, temu przeczy – powiedział Jakub.

– A co, jeżeli otworzysz zamek do korytarza, który jest zamknięty z drugiej strony, a mimo to ktoś będzie już w nim przebywał? Na przykład czaił się, czekał na ciebie?

– To jest pewne ryzyko, przyznaję, ale można je ograniczyć.

Matka przysłuchiwała się naszym tajemnym rozmowom, widziałem to w charakterystycznym napięciu jej ciała, kiedy udawała, że czyta książkę.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem Jakuba.

– To oczywiste. Są dwie rzeczy, które należy przedsięwziąć. W zasadzie trzy. Wyjść z tego domu, znaleźć nasz samochód, a wcześniej – o ile to będzie konieczne – znaleźć pana Motta i przekazać mu wyrazy wdzięczności za to ciepłe powitanie. Nie wierzę, że ojciec doprosi się o audiencję. Co więcej, podejrzewam, że pan Mott wcale nie istnieje. Wszystkim rządzi zarządca, to on rozdaje karty. Pan Mott to tylko taka figura, która ma nas trzymać w napięciu, w posłuszeństwie. „Pan Mott zaraz przyjdzie”. „Pan Mott wyciągnie konsekwencje”, „Pan Mott będzie się gniewać” – gadanina... Nie wierzę w istnienie pana Motta, uważam, że to czczy wymysł, zwykłe narzędzie zarządcy i dozorców. Ale bardzo chętnie się o tym przekonam i znajdę główny gabinet, centralny pokój tego domu.

Znałem mojego brata na tyle dobrze, by wiedzieć, że nic go nie powstrzyma przed realizacją tego zamiaru – a już na pewno tym czymś nie byłyby prośby i zaklęcia rodziców. Zacząłem czytać jakąś książkę, a on wciąż kreślił i kreślił swój wielki schemat domu, obmyślając na głos strategię. Zwróciłem mu uwagę, że możemy być podsłuchiwani; wówczas mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem i już wiedziałem, że zawile plany, które rozważał na głos, miały się nijak do jego rzeczywistych zamiarów.

Ojciec za to znikał na coraz dłuższe okresy czasu. Tłumaczył to tym, że usiłując dostać się na spotkanie do pana Motta postanowił warować w pobliżu jego gabinetu niczym pies. Niestety, jak się okazało, jego klucz nie pozwalał mu na wydostanie się z naszego skrzydła, w pobliże gabinetu (który podobno znajdował się o wiele dalej i na o wiele wyższym piętrze), zaś prośby i skargi kierowane do zarządcy domu spełzały na niczym. Aby zatem wyrzucić odpowiednią presję na zarządcy, postanowił koczować godzinami przed jego pokojem. Niestety, zarządca, będący prawą ręką pana Motta, przebywał w tym pokoju jedynie godzinę-dwie dziennie, będąc zobowiązany do sprawowania pieczy także nad resztą budynku. Ojciec mimo to rozkładał koc pod drzwiami, zalegał pod ścianą, dając odczuć swoją pełną pretensji obecność, czym doprowadzał do pasji panów Antunowicza i Byrkicza. Raz wrócił do pokoju ze śladami poturbowania i wyjaśnił, że to pomocnicy zarządcy potraktowali go tak, gdy odmówił powrotu do swojej kwatery, jednakże postanowił trwać w swoim postanowieniu i niezależnie od mojego brata zaczął opracowywać własny system unikania bliższych spotkań z podwładnymi zarządcy.

Co do mnie, to starałem się nie wychodzić z pokoju, obawiając się spotkania z Antunowiczem. Powiedziałem oczywiście rodzicom, wbrew temu, czego zażądał ode mnie mężczyzna, o całym zajściu; matka jedynie westchnęła, spoglądając z wyrzutem na ojca, który z kolei nie powiedział nic.

W tym czasie zdarzyła się pewna rzecz, która – jak później się okazało – rzuciła nieco światła na charakter naszego pobytu w domu pana Motta. Jakub, zakradłszy się pewnego dnia do jednego z pustych pomieszczeń, którego okna wychodziły na podjazd pod dom, zauważył, podglądając zza zaciągniętej kotary, że motocyklem przyjechali na teren posesji jacyś ludzie. Było ich dwóch i mieli na sobie mundury, które wyglądały na policyjne, choć Jakub, który znał działalność policji bardzo dobrze (ze wzajemnością) utrzymywał, że nigdy wcześniej nie widział tego rodzaju dziwacznych mundurów. Gości przywitał na podwórzu Byrkicz, rozmawiając z nimi przez chwilę, a następnie przekazując im jakieś zawiniątko. Później, mówiąc coś, wskazał im palcem na dom, na okna (w tym na to, z którego całe zajście

obserwował Jakub, który szybko schronił się w środku); następnie rozległ się śmiech całej trójki, po czym mężczyźni odjechali. Byrkicz obserwował jeszcze chwilę, jak odjeżdżają, a gdy zniknęli z pola widzenia, pobiegł do domu. Jakub, ujrzawszy zajście, szybko przyszedł, by podzielić się z nami tą informacją.

Godzinę później do naszego pokoju przyszedł zarządca domu w towarzystwie Antunowicza i Byrkicza. Przed nimi szedł ojciec, ale wyglądał raczej tak, jakby go prowadzono, tak jak prowadzi się osadzonego z celi na przesłuchanie bądź do celi po przesłuchaniu. Zarządca poinformował, że po rozmowie z panem Mottem jest zmuszony zmienić warunki naszego pobytu, a następnie krótko zreferował charakter zmian, zaznaczając, że o wszystkim poinformował już głowę naszej rodziny w rozmowie w cztery oczy. Po chwili milczenia pierwszy odezwał się ojciec, ponaglany palącym spojrzeniem matki.

– Nie rozumiem. Już pana o to pytałem, ale nie udzielił mi pan odpowiedzi. Mamy dopłacić i przenieść się do mniejszego, bardziej odległego pokoju? Z jakiego powodu?

– Pan Mott podjął taką decyzję, a ja mam za zadanie wcielić ją w życie. Tyle panu wystarczy wiedzieć.

– Przypominam – powiedział ojciec, siląc się na srogi ton – że wciąż otwarta pozostaje sprawa grabieży, jakiej na nas dokonano w tym domu. Od dłuższego czasu domagam się w związku z tym spotkania z panem Mottem i jedyne, co udało mi się uzyskać, to siniaki i obtarcia, spowodowane przez tych dwóch troglodytów – powiedział, wskazując na Antunowicza i Byrkicza. – Tymczasem, wobec nierozwiązanego problemu kradzieży, której dopuścili się prawdopodobnie którzyś z pańskich podwładnych, nakłada się na nas wyższe zobowiązanie i pogarsza i tak niezbyt imponujące warunki lokalowe. Powiedziałbym, że to bezczelność.

– Czy ma pan jakieś dowody na to, że kradzieży dokonano właśnie w tym domu? – zapytał Byrkicz. – O ile pamiętam, prosiłem o wycenę skradzionych przedmiotów i szczegółową listę. Pan zarządca powie panu to samo, co mogę powiedzieć ja – nie możemy rozpocząć żadnych procedur, jeżeli nie otrzymamy od was tego spisu. Jak w ogóle możemy cokolwiek zrobić, jeżeli nie wiemy, czego szukać? Chce pan spotkania z panem Mottem w sprawie kradzieży, której popełnienie nam insynuuje, ale nawet nie pofatygował się pan, aby sporządzić tak podstawowy dokument. Na jakiej podstawie pan Mott miałby się przychylić do takiej prośby, jeżeli jest to póki co jedynie pańska pretensja pozbawiona jakichkolwiek podstaw formalnych? Tymczasem pan, zamiast zastosować się do naszej prośby, która jest tylko i wyłącznie wynikiem dobrej woli, bezprawnie zalega na korytarzu, tarasuje przejścia i utrudnia nam wykonywanie obowiązków.

– Jeden z pańskich podwładnych nagabywał mojego syna, oferując mu odsprzedaż skradzionego przedmiotu – wtrąciła się niespodziewanie matka. Poczulem na sobie ołowiane, lodowate spojrzenie Antunowicza.

– To pomówienie. Młodzieniec ma bujną wyobraźnię – powiedział zarządca. – Poproszę o dowód. W sytuacji sporu, słowo przeciwko słowu, nie mogę uznać wiarygodności historii opowiadanych przez nieletniego. Czy któryś z panów nagabywał któregoś z naszych szanownych młodych gości?

– W żadnym wypadku – wysyczał Antunowicz, którego spojrzenie i uśmiech wyrażały jasno, że w wypadku naszego następnego spotkania przebiegnie ono w zdecydowanie mniej przyjaznej atmosferze niż rozmowa w toalecie.

– Otrzymają państwo nowy pokój. Co do opłaty, to z przykrością informuję, że jej wzrost dotyczy także okresu, w którym państwo już u nas gościli. Niedopłatę proszę uregulować najpóźniej do jutra, a najlepiej teraz.

Rodzice zerwali się z siedzeń, chcąc protestować, ale zarządca uciszył ich, wyciągając rękę w stanowczym geście.

– Zmiana opłaty wynika z nieścisłości przy interpretacji regulaminu przez osobę zajmującą się taryfikacją w wydziale księgowym. Okazało się, że naliczono państwu zbyt niską stawkę.

– Przecież to państwa błąd – powiedziała matka.

Wówczas zarządca powiedział coś, co wydało mi się szokujące i czego wówczas nie byłem w stanie w pełni zrozumieć:

– Naprawdę uważacie, że macie argumenty w tej dyskusji?

Jeszcze bardziej szokujące było to, że rodzice opadli na siedziska i zamilkli, spuszczać głowy. Spoglądaliśmy po sobie z Jakubem, zdeorientowani i bezradni. Siedzielibyśmy w milczeniu, gdyby nie głos zarządcy, wzywający nas do szybkiego spakowania walizek i przenosin. Posłusznie, pod czujnymi spojrzeniami zarządcy i jego pomocników, upchnęliśmy naprędce nasze rzeczy do sakwojaży, po czym ruszyliśmy ku nowemu lokum. Szliśmy długimi, krętymi korytarzami. Przed nami drzwi otwierał zarządca, za nim swoją walizkę włókł ojciec, za nim własny bagaż taszczyła matka, za matką szliśmy z Jakubem, ciągnąc po podłodze nasze torby, a za naszymi plecami – ze spojrzeniem wbitym w nasze plecy – siedł Antunowicz. Byrkicz zamykał drzwi uprzednio otwarte przez zarządcę. Sprawność naprzemiennego otwierania i zamykania drzwi była zdumiewająca, jakby wyćwiczona sprawną praktyką. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile pokonaliśmy zakrętów, ile schodów w górę i w dół, gdyż posegmentowane korytarze skutecznie uniemożliwiły mi

jakąkolwiek orientację. Pokładałem nadzieję w umiejętnościach Jakuba, który – co widziałem dobrze, dostrzegając skupienie na jego twarzy – notował w pamięci mapę drogi, którą pokonywaliśmy w milczeniu.

Nasz nowy pokój okazał się jeszcze mniejszy i ciemniejszy niż poprzedni. Wąskie okno było zasłonięte, zaś stalowe, szerokie, choć wyraźnie węższe od poprzedniego łóżko wypełniało niemal całą przestrzeń. Oprócz niego wewnątrz znajdowała się szafa oraz – podobnie jak w poprzednim lokum – lustro umiejscowione naprzeciw wejścia.

– To jak będzie z pieniżkami? – zapytał zarządca, kiedy zmęczeni postawiliśmy bagaże na ziemi. Ojciec jakby wstydliwie, jakby skrycie, wysupłał skądś zwinięty w rulon plik banknotów i podał go zarządcy, mówiąc nieśmiało, że chciałby przypomnieć się jeszcze w sprawie spotkania z panem Mottem. Zarządca przeliczył, po czym schował pieniądze do kieszeni. Następnie zażądał od nas zwrotu starych kluczy i wręczył nam nowe, o, jak się wyraził, nieco zmodyfikowanym zakresie uprawnień. Do prośby ojca nie odniósł się ani słowem. Co do nowych uprawnień, w praktyce sprowadzało się to do tego, że ojciec z matką mieli jeszcze bardziej ograniczone możliwości poruszania się po budynku; niewiele większe od moich czy Jakuba. Jakub, rzecz jasna, niewiele sobie z tego robił i gdy tylko mężczyźni opuścili pomieszczenie, przystąpił do sprawdzania odporności zamka. Jeszcze tego samego wieczora skinieniem głową dał mi znać, że wychodzimy. Ostentacyjnie głośno powiedział rodzicom, że idziemy do toalety. Ci byli pochłonięci rozmową i nie zwrócili nawet na nas uwagi.

Kiedy tylko wyszliśmy, Jakub chwycił mnie za ramiona i z miną pełną śmiertelnej powagi stwierdził, że wydostanie się z tego domu jest dla naszej rodziny priorytetem. Nie wiedziałem, czy traktuje to jako rzeczywiście nieodzowne działanie, jako egzystencjalną konieczność, czy jedynie jako formę zabawy, przygody. Nie sposób było mi oprzeć się wrażeniu, że te w tych w istocie upiornych warunkach mój bliźniak czuje się jak ryba w wodzie, a niebezpieczna gra z zarządcą i jego pomocnikami, którą uprawiał za ich plecami (a może nie? Może wiedzieli o niesubordynacji Jakuba i właśnie dlatego nas przenieśli?) stanowiła dla niego źródło ekscytacji. Być może Jakub nie chciał opuścić tego domu, być może zadania, które sobie wyznaczał, cele, które realizował, miały za zadanie stworzyć pozór, jakże konieczny przy udanej zabawie, która przecież musi opierać się na jakichś regułach, regułach przeciwstawności. Zapytałem go, czy ma na to jakiś plan.

– Decyzja zarządcy oddaliła ojca od gabinetów pana Motta lub tak zwanego pana Motta. Nie wiem, co teraz będzie chciał przedsięwziąć. Podejrzewam, że spróbuje wejść

w układ z zarządcą. Być może skłoni go do większej przychylności jakimiś obietnicami dotyczącymi swoich interesów, które prowadzi na co dzień. Może obieca mu łapówkę, może tego oczekuje zarządca – łapówek, danin, bakszyszu, haraczu. Ojciec gra miękko, zawsze grał miękko, ale do tej pory był skuteczny. Zawsze zdaje się, że poniesie klęskę, że jego strategia jest skazana na niepowodzenie, ale koniec końców zawsze wychodzi na jego; potrafi niepostrzeżenie opleść się wokół silniejszego rywala, znaleźć jego słabość i hodować tę słabość, wzmacniać ją, aż wreszcie, pewnego dnia okazuje się, że ten, kto miał grać przeciwko naszemu ojcu, gra dla naszego ojca. Robił tak już wiele razy, o czym wiedziałbyś, gdybyś bardziej interesował się tym, co mówi w naszym mieście ulica. To niesamowite, jesteśmy bliźniakami, a ja się czuję jak twój starszy brat i muszę wprowadzać cię w arkana oczywistości.

Zapytałem go, co chce zrobić teraz.

– Przede wszystkim, muszę zorientować się w nowej topografii. Ci głupcy myśleli, że zmylili nam drogę, ale ja wszystko pamiętam, każdy zakręt, każdy kąt, policzyłem wszystkie drzwi. Jest oczywiste, że powinieneś unikać Antunowicza; będzie na ciebie polował. Ale Antunowicz to płotka, prawdziwą kanalią jest Byrkicz i na niego trzeba uważać. Znam takich ludzi, wielu ich spotkałem i wiem, do czego są zdolni. Jeżeli któryś z tej dwójki ma w przyszłości zastąpić zarządcę, to będzie to właśnie Byrkicz. Może nawet zarządca szykuje go powoli na swoje stanowisko, może zarządca w przeszłości sam był takim Byrkiczem. Antunowicz już zawsze będzie szeregowym dozorcą, który jedyne, co potrafi, to zastraszać dzieci w ubikacji.

Po czym kontynuował:

– Kolejną sprawą jest odzyskanie tego, co nam ukradli, o ile nie zdążyli już wydać pieniędzy, a fantów spieniężyć. Na koniec zostawiam sobie udowodnienie sobie samemu i wam, że pan Mott nie istnieje.

Następnie zapytał, czy idę razem z nim. Po krótkim wahaniu odmówiłem, nie chcąc ryzykować. Jakub wzruszył ramionami, po czym otworzywszy mi drzwi do naszego ciemnego pokoju, poszedł w swoją stronę.

Tamtego wieczoru usiłowałem wnioskować coś z rozmów rodziców, ale wyraźnie, w mojej obecności, nie chcieli poruszać tematu tej dziwacznej gościny. Ojciec leżał na łóżku, wpatrując się w sufit, a matka siedziała obok, czytając książkę. Położyłem się u ich nóg, patrząc w ciemne okno. Kiedy wstałem, by odsłonić kotarę i zobaczyć, jaki widok czeka mnie na zewnątrz, ujrzałem tylko skąpany w ciemności las, którego drzewa konarami dotykały

szyb i grube kraty, o wiele solidniejsze niż siatka zabezpieczająca okno naszego poprzedniego pokoju.

Kiedy przebudziłem się późną nocą, Jakuba nie było w pokoju. Chrapanie ojca, gęste i oblepiające rozpiętością tonów, od flegmatycznego basu po świszczący alt, wypełniało całą przestrzeń, niczym wata upchnięta w niewielkim pudełku. Było ciemno, jednakże zdało mi się, że w lustrze wiszącym naprzeciwko wejścia coś dostrzegam, jakąś obłą, ciemną sylwetkę. Poczułem, że postać odbijająca się w lustrze przypatruje się nam, przygląda z – co było jedynie absurdalnym wrażeniem, ponieważ w ciemnościach nie mógłbym dostrzec tego tak wyraźnie – nienawistną wrogością. Poczułem lęk, kurczliwe fale paraliżującego zimna przepływające przeze mnie we wszystkich kierunkach, przykuwające mnie do łóżka. Ojciec chrapał, matka, niczym bezwładny, martwy manekin, spała z dziwacznie przekreśloną głową. Przymknąłem oczy, obawiając się, że postać odbijająca się w lustrze uchwyci w nim jakoś moje spojrzenie, zorientuje się, że przyłapałem ją na obserwacji. Zacząłem oddychać szybko, próbując zza lekkiego rozwarcia powiek chociaż zorientować się co do przytłaczającej obecności czegoś w pokoju lub na progu pokoju. Kiedy otworzyłem oczy, udając, że naturalnie zmieniam pozycję snu, odbicia już nie było – jedynie prostokąt zamkniętych drzwi czerniejący w gęstwinie nocy.

Rano powiedziałem o wszystkim rodzicom i Jakubowi, który – gdy wstałem – siedział na krawędzi łóżka.

– Gdzie byłeś? – zapytałem.

– Poznawałem dom.

– Nie powinieś tak się włóczyć po tym budynku, Jakubie – upomniał go ojciec, przecierając oczy.

– Kiedy przebudziłem się w nocy – powiedziałem – zdawało mi się, że w pokoju ktoś jest.

Następnie opisałem moje upiorne nocne doświadczenie.

– Och, czasami zdarza się, że przebudzi się jakaś część mózgu, twoja świadomość, ale nie obudzi się ciało sparaliżowane snem; wówczas doświadczasz tego przykrego stanu paraliżu – twój umysł już nie śpi, twoje ciało jeszcze trochę tak – pocieszała mnie matka, masując obolały kark.

– Słyszałem, że pan Mott, który ma klucze otwierające wszystkie drzwi w tym budynku, lubi czasami przejść się po posiadłości i osobiście przyjrzeć się gościom, sprawdzić, czy niczego im nie brakuje.

– Pan Mott nie istnieje – wysyczał nagle, z zaskakującą agresją w głosie, Jakub. – Pan Mott to bajka.

– Co ty mówisz za brednie? – krzyknął ojciec, podnosząc się i opierając na łokciach.

– Żadne brednie. Nie ma kogoś takiego jak pan Mott i udowodnię wam to. Zarządca nigdy nie umówi twojego spotkania z tym człowiekiem, bo jego po prostu nie ma.

– Co to za pomysły? W ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co wygadujesz? – zapytał z naciskiem ojciec, już całkiem rozbudzony. Zmrużyłem oczy i zdawało mi się, że dostrzegam wolframową spiralkę oblewającą spod zmatowiałej otuliny szklanej banieczki żółtawym, słabym światłem nasz maleńki pokój.

– Tej nocy wnikliwie badałem strukturę tego domu – powiedział Jakub. – Odwiedzałem korytarze i pokoje naszego skrzydła. Jestem pewien, że przeniesiono nas, ponieważ znajdowaliśmy się zbyt blisko innych mieszkańców. Odizolowano nas. Struktura domu jest bardzo skomplikowana i zmienna, albo mnie zawiodła pamięć, ponieważ nie potrafiłem wrócić w miejsce, z którego wyszliśmy. Trafiłem za to na bardzo ciekawe widowisko.

Przekradałem się po ciemku przez korytarze, nasłuchując pod drzwiami, aż wreszcie w szparze pod jednymi zauważyłem światło. Na palcach, tak cicho, jak tylko mogłem, podszedłem do nich, nasłuchując. Usłyszałem odległe, rytmiczne uderzenia, mokre plaśnięcia dochodzące zza drugiej strony. Wówczas zorientowałem się, że drzwi, pod którymi nasłuchuję, są otwarte. Struna światła wprawdzie była widoczna jedynie pod drzwiami, ale ta nikła jasność wystarczyła, bym zauważył, że skrzydło jest niedomknięte. Pomyślałem, że odgłosy uderzeń są zbyt ciche jak na coś, co dzieje się tuż za uchylonymi drzwiami i powoli, tak powoli i ostrożnie jak potrafiłem, uchyliłem je i zajrzałem do środka. To nikłe światło dobywało się z otwartego pomieszczenia, zlewało się srebrno-żółtą kaskadą na podłogę i ściany. Na ścianach ruszały się cienie, a w zasadzie jeden cień, górujący nad dwoma innymi. Ruchy cienia były skoordynowane z odgłosami uderzeń. Podszedłem na palcach, przyklejony plecami do przeciwległej ściany, by zobaczyć, cóż to takiego. I kiedy zajrzałem do tamtego pomieszczenia, okazało się, że jest to niewielki magazyn. Na jego środku, zwróceniem plecami w stronę zasłoniętych okien, klęczeli jacyś ludzie. Byli nadzy. Kobieta i mężczyzna. Nad nimi stał Byrkicz, którego rozpoznałem po sylwetce i łysinie, i wymierzał im razy batem złożonym z długich, wierzbowych witek. Co chwila rozlegał się przenikliwy, krótki świst, a po nim mokre plaśnięcie batów wrzynających się w ciała. Ludzie mieli plecy zdarte, zbite do krwi, a jednak klęczeli bez słowa. Byrkicz brał potężne zamachy, by uderzyć jak najmocniej. Bił raz kobietę, raz mężczyznę. Choć nic nie mówili, po każdym ciosie ich sylwetkami targały dreszcze.

W ten sposób zyskałem dowód na to, że oprócz nas ktoś jeszcze jest w tym domu. Być może jest także więcej mieszkańców, odizolowanych od siebie, niewiedzących o sobie nawzajem. Nie udało mi się dowiedzieć, jaki był powód tego bicia ani jak długo jeszcze trwało – wycofałem się, po czym poszedłem zwiedzić jeszcze kilka miejsc. Zrobiłem niewielką mapę – powiedziawszy to, rozwinął przed nami narysowany na zeszytowej, kraciastej kartce schemat. – Wynika z niego – mówił – że wszystkie korytarze prowadzą do jakiejś dużej części domu, do której nie mogłem się dostać, gdyż zamki były zbyt zaawansowane, bym łatwo i szybko je otworzył. Prędzej czy później je złamię, rozgryzę ich metodę, ale to wymaga czasu i... ryzyka. Zakładam, że ten duży, odcięty od naszego skrzydła obszar, to jakaś centralna część domu, być może pełniąca funkcję centrum administracyjnego. Nie jestem natomiast pewien liczby pięter, ponieważ za każdym razem przejścia klatkami schodowymi wskazywały na inny wynik. Raz były to trzy piętra, raz pięć, a raz trafiłem na kręte schody, którymi doszedłem do szóstej kondygnacji, a z pewnością nad nią znajdowały się jeszcze jakieś, choć w ciemności nie mogłem ich policzyć.

– Jestem umówiony na dziś z zarządcą w sprawie spotkania z panem Mottem i pozwolisz, że nie będę mu powtarzał bzdur, które wygadujesz. Mamy już wystarczająco dużo problemów na głowie – powiedział z naciskiem ojciec.

– Jak tam sobie chcesz.

– Jeżeli nie uda mi się porozumieć z zarządcą, będę usiłował nawiązać bezpośredni kontakt z samym Mottem.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał kpiąco mój brat.

– Zanim tu wyjechaliśmy, sprawdziłem pewne informacje na jego temat i choć przyznaję, że na miejscu wiele rzeczy mnie zaskoczyło, nie muszę dodawać, że bardzo niekorzystnie, to jednak dysponuję wiedzą pozwalającą na pewne przypuszczenia i podjęcie pewnych kroków. Nie możemy dopuścić, by postępowanie zarządcy położyło się cieniem na naszym myśleniu na temat pana Motta; nasza opinia o nim nie może zostać uwarunkowana opinią o pracy zarządcy domu. Choć poniekąd należy go, zarządcę, zrozumieć. Pan Mott jest bardzo zapracowany i zajęty; rolą zarządcy jest go odciążać, stanowić pewien filtr, barierę; ponieważ pan Mott, jak powiadają, nie potrafi nikomu odmówić pomocy, jest bardzo serdeczny. Ludzie często chcą wykorzystać tę dobroć, przez co pan Mott nie miałby już ani czasu, ani zapewne środków, na prowadzenie działalności. Zarządca redukuje to obciążenie, broni Motta przed zachłannością interesantów. To, że przy tej okazji czasami zlekceważy, pominie lub umniejsza rzeczywisty problem, jak na przykład nasz, jest konsekwencją rutyny, w jaką popadł. Nie odróżnia już spraw ważnych od nieważnych; wszystko to dla niego

nadlatujące drapieżne ptaki, przed którymi należy bronić gniazda i piskląt. Podejrzewam, że sam zarządca jest nieludzko zapracowany i przez to stracił ostrość widzenia co do własnych podwładnych. Nie wierzę, by ktoś taki jak pan Mott pozwolił na zatrudnienie takich szumowin jak Antunowicz czy Byrkicz. Tym ludziom źle z oczu patrzy i w każdej chwili należy się spodziewać z ich strony wszystkiego najgorszego. Będę zresztą chciał poruszyć ten temat na osobności zarówno z zarządcą, jak i z Mottem. Ci ludzie najzwyczajniej w świecie psują mu opinię, wystawiają swoimi szemranymi działaniami jego dobre imię na szwank. Mott musi być tego świadomy, musi zdawać sobie sprawę, że bardzo trudno jest naprawić reputację nadszarpniętą przez kogoś, kto nadużywa jego imienia jako uzasadnienia dla własnych bezeceństw.

– Ciągłe nie powiedziałeś, jak chcesz bezpośrednio nawiązać łączność z Mottem. Skoro zarządca wyćwiczył się w odcinaniu ludzi od Motta, to obejście go będzie niezwykle trudne. Poza tym, cały czas nie bierzesz pod uwagę tego, co mówię – że pana Motta nie ma. Rozważyłeś taką ewentualność? Co, jeżeli nie możesz dotrzeć do pana Motta, bo nie ma do kogo dotrzeć? Kreślę mapy tego domu i wszystko wskazuje na to, że dom posiada dużą, odciętą od reszty część. Być może jest to nawet część centralna, obudowana systemem skrzydeł, działów. Być może ta część centralna, która – jak podejrzewam – pełni rolę części administracyjnej, jest czymś, co moglibyśmy określić jako „rejon Motta”; a być może jest to po prostu „rejon zarządcy”. Nigdy nie spotkałeś Motta osobiście, ale czy znasz kogokolwiek, kto go spotkał? Nazwisko Mott nie jest mi nieznane, spotkałem się już z nim, ale ilekroć była o nim mowa, ludzie, którzy ze mną rozmawiali, zawsze powoływali się na kogoś kto zna kogoś, kto zna jeszcze kogoś innego, kto zna Motta, i tak dalej. Szczyt tej drabiny niknie we mgle. Więc co? Jeżeli wziąć pod uwagę czynnik rozpoznawalności i czynnik odległości i uznać proporcje pomiędzy rozpoznawalnością nazwiska Motta a odległością od Motta, to niechybnie, dotarłszy w miejsce, które bezpośrednio do niego należy i znajduje się pod jego władzą, powinniśmy wręcz wpadać na Motta, być atakowani jego nieustanną obecnością. Ale ta obecność jest zawsze zapożyczona, zrelacjonowana, jest obecnością z drugiej ręki. Nawet w jego własnym królestwie Mott jest odległy, nieuchwytny. To bardzo podejrzane i już dawno powziąłem przypuszczenie, że Mott jest jedynie legendą.

– Mott jest człowiekiem wielkiej wrażliwości i o niebywałym instynkcie. Wierzę, że będę się z nim w stanie porozumieć inną drogą, na przykład poprzez bezpośrednią wymianę myśli.

Matka i Jakub parsknęli śmiechem, a ja uśmiechnąłem się pod nosem. Ojciec westchnął.

– Możecie się śmiać, ale znane są przypadki, gdy dostatecznie intensywne ukierunkowanie myślenia w stronę jakiegoś obiektu pozwalało uobecnić się temu obiektowi w umyśle tego, kto o nim myślał; wierzę, że w przypadku Motta znajdzie tu zastosowanie zasada sprzężenia zwrotnego i jeżeli Mott uobecni się w moich myślach, to ja uobecnię się w jego myślach. W ten sposób nasz kontakt byłby nie tylko bezpośredni, nie tylko niezakłócany osobą zarządcy, ale także niezakłócany nieczystościami języka, sprzecznościami bądź niezgodnościami kontekstów. Nie będę musiał nawet formułować zdań, pan Mott będzie po prostu wiedział. I w drugą stronę – cokolwiek Mott pomyśli, ja będę wiedział.

– Mam swoje zdanie na ten temat – powiedział Jakub.

Spojrzeliśmy pod drzwi. Jak co rano, czekał na nas zestaw talerzy z podłym jedzeniem i równie podłe napoje. Nigdy nie udawało nam się dostrzec momentu, w którym były wnoszone do pokoju i nawet Jakub przyznawał, że ktoś, kto to robił za każdym razem skutecznie wywodził go w pole. Zjedliśmy w milczeniu, po czym ojciec, ubrawszy się, wyszedł. Chwilę później nasz pokój opuścił Jakub, zapowiadając, że idzie sporządzać dalsze plany.

Kolejne dni naznaczyły się cieniem ich cichej rywalizacji w dotarciu do pana Motta (lub domniemanego pana Motta bądź tego, co panem Mottem nie było). Tym, co ich godziło, była daremność przedsięwziętych usiłowań – zarówno ojciec, jak i Jakub ponosili spektakularne klęski. Zarządca oczywiście nie doprowadził do żadnego spotkania ze swoim szefem, jak i też psychiczne moce ojca okazały się – przynajmniej na tym etapie – niewystarczające, choć ten nie ustawał w swoich próbach, twierdząc, że tak skomplikowane wyzwanie nie może zostać zrealizowane natychmiast i wymaga długiego treningu. Co do Jakuba, to kreślone przez niego plany bardzo szybko się dezaktualizowały i mój brat sam przyznawał, że sporządzone jednego dnia mapy ledwie po paru dobach okazywały się bezużyteczne.

– To tak, jakby budynek rósł, pęczniał, jakby zmieniał swoją architekturę. Jakby gdzieś pojawiały się nowe korytarze, nowe klatki schodowe, nowe segmenty, a stare znikwały, przemieszczały się. Trudno powiedzieć cokolwiek pewnego, jeżeli w ciemności, w której pogrążony jest dom, w ciemności, którą rozjaśnia jedynie słabe światło z kinkietów na ścianach, które nie zawsze chcą się włączyć, wszystkie korytarze wyglądają tak samo.

Obydwaj znikali na długie godziny, przepadali w czeluściach domu, wracali późnym wieczorem (w miejscu, gdzie są wiecznie zaciągnięte kotary, a światło dnia pochłaniają gęste korony drzew to pojęcie jest bardzo względne) i zdawali relację ze swoich porażek. Co jednak

ciekawe, niepowodzenia jedynie utwierdzały ich w słuszności obranej drogi – tak, jakby z jednej strony motywowało ich przecucie prawdziwości żywionego poglądu, a z drugiej – paniczny lęk, że ów pogląd mógł okazać się całkowicie błędny.

Gdy tylko ojciec wracał, matka zaczynała zadrezczać go pytaniami o postępy w sprawie kradzieży. Dla ojca te dociekania stawały się coraz bardziej uciążliwe i męczące; doskwierała mu zarówno własna bezradność wobec całej sprawy, jak i świdrujące, pełne presji i wyrzutu pytania matki.

– Jedyne, co potrafisz robić, to znikać na całe dni. Kto wie, czym się w ogóle zajmujesz! Widzę, że to, że nas okradziono i ubezwłasnowolniono, stało ci się zupełnie obojętne. Za nic masz los twoich synów i mój, w ogóle nie dbasz o nic oprócz pana Motta. Pan Mott zawrócił ci w głowie, choć w kierowanym przez niego przybytku doznaliśmy do tej pory samych przykrości i upokorzeń.

Ojciec kiwał jedynie głową, wystosowywał jakieś ogólnikowe przeprosiny i deklaracje mocniejszego zajęcia się problemem, a gdy pytania i presja ze strony matki osiągały nieznośne apogeum, wychodził.

Jakub wściekle kreślił i darł mapy, rozpisywał plany i harmonogramy, mówił tajemniczymi skrótami i hasłami, które były dla mnie kompletnie niezrozumiałe, ale dawały mi jednoznacznie odczuć, że Jakub coraz głębiej wnika w arkana domu, coraz lepiej orientuje się w jego absurdalnych prawach. Jednak to wszystko w mig było unieważniane i wkrótce jedyną pewną konkluzją wszystkich tych dociekań i eksploracji była rodząca się pewność, że przejrzanie reguł domu pana Motta nie jest możliwe. Jakub twierdził, że udało mu się dowiedzieć co nieco o dziwnym epizodzie z biczowaniem. Jak relacjonował, pewne podsłuchane rozmowy zastępców zarządcy (Jakub nie omieszkał dać do zrozumienia, jak bardzo igra z ogniem) dotyczyły z jednej strony *tej części domu jako rejonu ciała*, z drugiej – *kar za nieposłuszeństwo*. Wspomniał też coś o niejasnych zasadach awansów – *do tamtej części domu, do rejonu...* (tutaj Jakub niestety nie dosłyszał) i degradacji – do gorszych pomieszczeń. W ten sposób Jakub zyskał pewność, że istnieje coś, co można określić jako *inna część domu*, choć tajemnicą pozostawało dla niego znaczenie pojęcia „rejon ciała”. Jego ustalenia były czysto teoretyczne. Wszelkie próby rozpracowania architektury budynku były nieskuteczne i Jakub słusznie zauważył, że od dawna nawet nie dotarł w miejsce, z którego można by wyjść na zewnątrz; co więcej, coraz częściej zdarzało się, że nie potrafił powtórzyć drogi, która podróżował dzień wcześniej; ba, bywało, że powrót jednego dnia wyznaczoną ledwie przed chwilą trasą stawał się kłopotliwy. Tak, jakby w domu pana Motta, niczym

w organizmie, powstała swoista reakcja obronna przeciwko komuś, kto usiłował rozgryźć jego prawa.

– Powędrowałem raz do miejsca, w którym powinny być niewielkie, boczne drzwi wyjściowe, ale gdy je otworzyłem, z nadzieją na to, że zbadam teren wokół domu, w czoło uderzył mnie opadający kij od szczotki, zalegający w jakimś ciasnym schowku.

Zapytałem Jakuba, czy nie rozważał możliwości wydostania się na zewnątrz przez któreś z okien oraz – co wydało mi się istotniejsze – nawiązania kontaktu z innymi mieszkańcami domu.

– To takie proste, otworzyłbyś tylko ich pokój, jeżeli usłyszysz rozmowę. Być może wyjaśniliby ci to i owo – zasugerowałem.

– Co do okien, to niestety nie mam ku temu żadnych narzędzi. A co do mieszkańców... jaką dasz mi gwarancję, że nie trafię przypadkiem na któregoś z nadzorców? Albo na ich rodziny, jeżeli mają rodziny? Albo na kogoś, kto jest zaufanym człowiekiem nadzorców i zarządcy? Być może wszyscy są w ten czy inny sposób zniewoleni, ale w grupie zniewolonych są zawsze ci, których zniewolono bardziej... A może ci, którzy współpracują z zarządcą i jego ludźmi robią to z przekonania, dla idei? Może żyją tu wystarczająco długo, że zasady organizujące ten dom przyjęli jako własne? Skąd mam wiedzieć? Nie mogę narażać się na takie ryzyko, dysponując tak ograniczoną wiedzą. Jeżeli myślałeś o czymś takim jak bunt, powstanie, rebelia – masowy zryw mieszkańców domu przeciwko Zarządcy, to obawiam się, że nie rozumiesz realiów, w jakich się znajdujemy. Możliwe jest działanie tylko na własną rękę, przynajmniej dopóki nie zdobędziemy więcej informacji, dopóki nie ustalimy nie tylko siatkę topograficzną, ale także siatkę naszych sprzymierzeńców i wrogów. Pracuję nad tym, ale nie sądzę, aby na dłuższą metę gra była warta świeczki i myślę, że lepiej skupić się nad zadaniami, które już określiłem.

Jakkolwiek Jakub nie zabierał mnie na wyprawy po labiryncie domu, bym uczestniczył w jego knowaniach, nie czynił też przede mną tajemnic odnośnie do bieżących akcji. W przeciwieństwie do ojca, który – nawet według mojego brata – dosłownie zniknął, rozpułwał się w powietrzu, nie dając się namierzyć. Nie miałem pojęcia, gdzie swoje działania mające na celu psychiczne zestrojenie z panem Mottem uskutecznią ojciec. Wracał wyczerpany i coraz bardziej nieobecny. Milcząc, ignorując pytania i pretensje matki, zapadał w dziwaczny letarg, z którego czasami wydobywał się ku powierzchni świadomości, bredząc o *nieprzeniknionych przestrzeniach pustki, olbrzymiej nocy, istnieniu w nieobecności*.

Sens tych bełkotliwych haseł był dla mnie równie niejasny jak skróty i hermetyczne pojęcia, jakich używał Jakub podczas obmyślenia własnych planów.

Krótko później nastąpiła kolejna degradacja.

Pewnego lodowato zimnego poranka obudziliśmy się w naszym pokoju w towarzystwie zarządcy oraz Antunowicza i Byrkicza. Jako pierwszy obudził się Jakub, następnie ja, później ojciec. Matka spała mocno, bez przykrycia. Jej koszula nocna zawinęła się, odsłaniając uda i podbrzusze. Widziałem, jak Byrkicz łakomie spogląda na nią i natychmiast osłoniłem ją kocem. Byrkicz uśmiechnął się i spojrzął na Antunowicza, który pokiwał głową. Nie czekając na przebudzenie matki, zarządca poinformował nas, że wskutek wielokrotnego i bardzo poważnego łamania przez nas zasad pobytu w domu, jest zmuszony przesunąć nas do nowej lokalizacji. Potwierdziło się tym samym to, co pewnego dnia zasłyszał Jakub. Ojciec, wcale przytomny, zapytał, jakiego rodzaju wykroczenie popełniliśmy i gdzie zostaniemy przeniesieni. Zarządca odparł, że wykroczenie polega na wielokrotnym, niesankcjonowanym łamaniu wyznaczonych stref uprawnień oraz stref bezpieczeństwa. Spojrzął przy tym wymownie na mojego brata i ojca.

– Co więcej, decyzją pana Motta jestem zmuszony podnieść opłatę oraz wyznaczyć państwu do wykonania prace fizyczne.

– Zapłaciliśmy już wszystko – jęknął ojciec.

– Komisja wydziału księgowego oceni państwa zdolność finansową – uciął zarządca. Co do prac, to zostaniecie poinformowani o ich charakterze po przeniesieniu do nowego lokum. Tymczasem proszę się spakować.

Niechętnie, z ostentacyjnym ociąganiem się, zabraliśmy się za porządkowanie rzeczy, po czym cały rytuał powtórzył się: zarządca otwierał kolejne drzwi, my posłusznie szliśmy za nim, ubezpieczani przez Antunowicza i Byrkicza. Mój brat porzucił próby zapamiętania układu korytarzy, skupił się bardziej na charakterze zamków oraz systemu naprzemiennego otwierania i zamykania segmentów domu. Ojciec szedł ze spuszczoną głową, a matka, ze spojrzeniem wbitym gdzieś w dal, ciągnęła za sobą walizkę. Szliśmy tym razem jeszcze dłużej. Po pewnym czasie powietrze stało się wilgotne i chłodne; pachniało pleśnią. Miałem wrażenie, że jesteśmy pod ziemią, w jakiejś piwnicy bądź suterenie. W końcu weszliśmy do małego, pustego pokoju. Jego ściany były nagie, wewnątrz nie znajdował się ani jeden mebel.

– Co to jest? Co to ma być? – zapytała matka. – Jakież żarty?

– Och, przepraszam. Pewnie poczuli się państwo rozczarowani wyglądem nowego lokum – powiedział zarządca z wyraźną kpina w głosie. – Oczywiście, że nie zakwaterowalibyśmy was w pustym pokoju, choć nie przypominam sobie żadnego zapisu w umowie, w którym deklarowaliśmy, że wasze mieszkanie ma być wyposażone w łóżko czy cokolwiek. Mieliśmy wam zapewnić dach nad głową, czyż nie? Ja tu widzę całkiem solidny strop – wypluł, niemal się śmiejąc. – Ale oczywiście. Jakżeby tak.

Spojrzelśmy na ojca.

– Dach nad głową? – zapytałem. Ojciec odwrócił wzrok. Zarządca podszedł na sam środek pokoju i sięgnął po coś, co leżało na podłodze, a czego w półmroku nie byłem w stanie rozpoznać. Brzękliwy chrzęst metalu wnet podpowiedział mi, że tym czymś jest łańcuch. Zarządca pociągnął go i po chwili w podłodze pustego pokoju otworzyła się niewielka kłapa.

– Nie sądziliście chyba, że zakwaterujemy was tutaj? Zapraszam na dół.

Byrkicz i Antunowicz, stojący za naszymi plecami, popychali nas w kierunku czerniejącej w podłodze dziury. Oponowaliśmy, protestowaliśmy. Ojciec próbował wybiec, Byrkicz złapał go i sprawnym ruchem wykręcił mu rękę; chaos naszych okrzyków rozdarło chrupnięcie, od którego przeszły mnie ciarki, a po chwili pełen bólu okrzyk ojca. Antunowicz złapał Jakuba i wymierzył mu mocny policzek. Matka upadła na kolana.

– Do piwnicy, szczury! – syknął Byrkicz.

Kiedy znaleźliśmy się na dole, zarządca włączył niewielkie światło. Naga, zwisająca ze stropu na krótkim kablu słaba żarówka dawała tyle jasności, ile było potrzebne, by w minimalnym stopniu rozpoznać odległość między ścianami i przedmiotami. Podłogę – klepisko – zaścielały sienniki. W kącie zainstalowano sedes i umywalkę, nieosłonięte niczym od reszty. Ojciec klęczał, masując obolały bark.

– Ponieważ nie potrafiliście uszanować zasad tego domu, pomieszkacie sobie trochę tutaj. Tutaj będziecie najbezpieczniejsi. Nie potraficie się dostosować, wciąż kwestionujecie wszystkie prawa tego domu, próbujecie je omijać i łamać. Dla waszego bezpieczeństwa zostanieie tutaj. Co do prac. Pani szanowna – powiedział, wskazując na matkę – przypomni sobie bliższą znajomość z wiadrem, ścierką i miotłą. Zlecam pani sprzątanie tego piętra. Mycie podłóg ma priorytet. Pani pracę będzie nadzorować pan Byrkicz. On będzie dysponować kluczami i będzie wskazywać pani zadania.

– Och, z pewnością miło spędzimy razem czas – powiedział lepkiem, chrapliwym głosem Byrkicz.

Spojrzałem na niego. W półmroku jego uśmiech wyglądał przerażająco. Wbijał spojrzenie w moją matkę, wątle światelko żarówki odbijało się w białkach jego oczu i odsłoniętych zębach. Przypadłem do matki, która kulila się w kącie, drżąc ze strachu.

– Co do naszego młodego eksploratora-włamywacza – to pan Antunowicz wytłumaczy panu, na czym polega posłuszeństwo. Lekcję odbierze pan natychmiast, jak tylko skończymy rozmawiać.

Antunowicz na te słowa złapał Jakuba i trzymając go mocno od tyłu za szyję przedramieniem, zaczął wciągać na górę.

– A pan szanowny – powiedział, wskazując na ojca – pójdzie teraz ze mną i z panem Byrkiczem.

Byrkicz podszedł do ojca i złapawszy go za kołnierz powlókł w stronę stromych schodków. Ojciec był bierny, bezwładny jak szmaciana lalka i tylko pojękiwał cicho.

– A państwo – powiedział, wskazując na matkę i mnie – niech się rozgoszczą. Pracę zaczyna pani jutro. Koniec bycia darmozjadem.

Kiedy wyszli, matka zaczęła głośno płakać. Przytuliłem ją mocno, ale nie mogłem w żaden sposób opanować lęku, który wylewał się z niej, wyciekał przez każdy por skóry. Szeptala coś do siebie, ale nie mogłem zrozumieć jej słów. Czułem, że muszę ją w końcu zapytać, choć czas ku temu wydawał się nieodpowiedni.

– Powiedz mi, mamo, proszę... Powiedz, dlaczego tu przyjechaliśmy?

Wciąż nie mogła powstrzymać płaczu.

– Jesteśmy prześladowani, odkąd przyjechaliśmy. Po co tu przyjechaliśmy? Przecież nikt nas nie zmuszał. Mieliśmy tylko pojechać na wakacje. Tak mówiliście. Na wakacje.

Matka po chwili opanowała szloch i wpatrywała się tępo w ścianę. Na jej twarzy, w ciemności, w której pełne niemocy światło ledwie torowało sobie drogę ku powierzchniom i kształtom, malowało się coś na kształt epifanicznego zrozumienia, nagłego, śmiertelnego oświecenia.

– Nigdy stąd nie odejdziemy – wyszeptala.

– Co się stało? Po co tu przyjechaliśmy? Dlaczego nie wrócimy do domu?

Matka milczała, ale widziałem, że to milczenie nie jest oznaką jakiejś katalepsji, odrętwienia, ignorowania mojego pytania, ale znakiem dramatycznej walki, jaka odbywała się wewnątrz jej; ślady tej bitwy odciskały się na drgających w półmroku włóknach mięśni pełzających pod skórą twarzy. Jakby różne osoby wewnątrz walczyły o dojście od głosu, o dostęp do słów. W końcu, po długiej chwili ciszy, wyszeptala, ledwie słyszalnie.

– Nie ma już naszego domu, synku.

A później nie mówiła już nic, mimo wielu moich pytań i krzyków, które ginęły, wytłumione przez grube ściany piwnicy, przez stropy, drzwi i ciemność.

Z odrętwienia, w jakie zapadłem (w półmroku, przy małej ilości tlenu musiała ogarnąć mnie senność), wyrwał mnie przeciągły pisk uchylanej kłapy. Do środka wlało się nieco światła z zewnątrz; światło obrysowało niewielki prostokąt u dołu schodków. Wpatrywałem się w nie, oczekując jakiegoś dramatycznego zdarzenia. Stało się: nagle z łoskotem coś dużego spadło, lądując bezwładnie na poletku nikłej jasności. Kłapa zatrzęsnęła się. Podpełzłem w stronę schodków. W kształcie, który spadł z takim hukiem, rozpoznałem mojego brata. Jakub był nieprzytomny. Nawet w tym nędznym świetle mogłem widzieć, w jaki sposób obszedł się z nim Antunowicz. Jakub krwawił z rozbitego nosa, ucha i splekanych aż do mięsa ust. Jego policzek był opuchnięty i ciemny. Palce obydwu dłoni zdawały się być spuchnięte i pomyślałem, że dozorca, chcąc zapobiec peregrynacjom Jakuba po korytarzach i pokojach domu, połamał mu je. Właśnie wtedy poczułem w sercu pierwszy raz czystą, niepowstrzymaną nienawiść. Wcześniej czułem jedynie lęk, wcześniej znałem tylko strach; teraz do tego uczucia doszło kolejne; nie powiem, że nieznane, że nieprzeczuwane, ale nigdy wcześniej tak wyraźne, tak oczywiste, tak samoświadome i pewne siebie.

Bąłem się, co się wydarzy, gdy mój bliźniak się ocknie, gdy ból zmiażdżonych kości i stawów przywróci go światu. Po chwili podeszła do nas matka i czule przytuliła swoje zmaltretowane dziecko. Ostrożnie zaciągnęliśmy Jakuba na posłanie. Oddychał. Po chwili kłapa znów otworzyła się i do środka znów coś wpadło, uderzając o ziemię. Wiedziałem już, że był to ojciec. W odróżnieniu od mojego brata nie był nieprzytomny. Wpatrywał się w ścianę, pojękując i oddychając ciężko. Miał rozbitą twarz, jego koszula na plecach była czarna, mokra. Duszne, zużyte powietrze wypełnił trudny do zniesienia odór krwi i uryny.

– Bili mnie – wyszeptał ojciec. – Bardzo długo mnie bili. Myślałem, że nigdy nie skończą.

– Gdzie ty nas sprowadziłeś – wyszeptała łamiącym się głosem matka. – Mówiłeś, że nas uratujesz.

W jej głosie, zamiast wyrzutu czy pretensji, było zdziwienie pomieszane z rozpaczą.

– Nie wiedziałem. Nie wierzyłem. To nie tak miało... – chciał powiedzieć, ale jego głos stłumiły spazmy płaczu i bólu.

– Dlaczego stąd nie wyjechaliśmy, tato? – zapytałem, kiedy się uspokoił. Dlaczego nie wróciliśmy do domu? Dlaczego nie wrócimy do naszego świata? – niemal wykrzyczałem, jakby ignorując to, co niedawno powiedziała mi matka; tak jakby to enigmatyczne wyznanie nigdy się nie wydarzyło.

Ojciec mógł jedynie powtórzyć to, co usłyszałem wcześniej od rodzicielki.

– Nie ma już do czego wracać – wyszeptał. – Nie ma już naszego świata. Świat się zmienił. Jednej nocy odwrócił się od nas plecami. Nie należymy już do niego. Nie jesteśmy z tego świata. Już więcej nie. Teraz nasz świat to ten dom.

Później oczekiwaliśmy następnego dnia (dnia?) pogrążeń w milczeniu, ale nie ciszy – ojciec (ciało mojego ojca) wydawał z siebie odgłosy udręczenia, do których po jakimś czasie dołączył mój brat (ciało mojego brata). Tak minęło wiele godzin.

Po których – tak zakładam – otworzyła się kłapa, do środka wlało nędzne światło i jakiś głos – brzmiał jak Byrkicz – zawezwał moją matkę. Spojrzała na nas trwożliwie, jakby szukając w naszych oczach obietnicy, że nie pozwolimy, że obronimy, że jesteśmy razem. Zobaczyła tylko strach, ból i zmęczenie. Powoli poszła w stronę drabiny i zaczęła wchodzić na górę. Głos ponaglał ją.

– No, niespieszno pani do pracy. Ale już zaraz skończy się raj darmozjadów.

Kiedy zniknęła, kłapa opadła z hukiem i znów zalała nas ciemność. Usłyszałem łkanie ojca. Podczołgałem się do niego i zacząłem szeptać słowa otuchy, choć podejrzewam, że wobec mojego własnego odczucia całej sytuacji brzmiały one nieszczerze. Jakub był przytomny, wkrótce doszedł do moich uszu jadowity, syczący strumień przekleństw i złorzeczeń. Zostawiwszy ojca, podpełzłem do brata.

– Jak twoje ręce?

– Bolą. Ale nie są połamane. Ten idiota Antunowicz nawet tego nie potrafił zrobić. Są stłuczone, ale mogą nimi ruszać.

– Nie domyślasz się, gdzie zabrali mamę?

– Sięgnij do prawej kieszeni moich spodni – wyszeptał nagle Jakub.

– Po co?

– Sięgnij, a zobaczysz. Sam nie dam na razie rady tego zrobić, palce zbyt mnie bolą.

W ciemnościach wybadałem ręką kształt jego ciała, odnalazłem pas, a następnie – podążając dłonią wzdłuż paska – odszukałem miejsce, w którym kawałki materiału zachodziły na siebie.

– Wsuń dłoń i poszukaj klucza – powiedział szeptem Jakub.

– Jakiego klucza? – zapytałem.

– Nie gadaj tyle.

Wepchnąłem dłoń do kieszeni i po chwili pod opuszkami palców wyczułem drobny, twardy przedmiot.

– Masz?

– Tak.

– Wyjmij.

Wyciągnąłem wąski, lekki kawałek metalu, jednak nie mogłem dostrzec jego szczegółów.

– Co to jest? – zapytałem.

Jakub, mimo bólu, zdawał się tłumić śmiech.

– Kiedy przesłuchujesz albo bijesz kieszonkowca-włamywacza upewnij się, że ma dobrze związane ręce. Ten kretyn pewnie do tej pory nie wie, co się stało.

– Klucz Antunowicza?! – zapytałem, niemal krzyżąc, po czym zdałem sobie sprawę, że okrzyki radości nie są w tym wypadku wskazane.

– Otwiera wszystkie zamki w tym skrzydle. Musi mieć wysoki poziom dostępu, na tyle wysoki, byśmy mogli stąd uciec, jeżeli znajdziemy drogę – wyszeptał Jakub.

– Wszystko mógłby wyjaśnić i naprostować pan Mott, gdyby nie tworzono tylu barier, by nas od niego oddzielić – wtrącił się ojciec. Ale Jakub jakby go nie słyszał.

– Antunowicz w końcu zacznie podejrzewać, że być może ktoś z nas – a konkretnie ja – wie coś na temat klucza. Jest nieudacznikiem, ale nieudacznicy też bywają groźni. Z pewnością będą mieć nas na oku. Trzeba się ich pozbyć. Priorytetem jest wyeliminowanie Byrkicza – szeptał. – Nie poradzimy sobie z nim w otwartej konfrontacji, musimy wciągnąć go w pułapkę. Moglibyśmy zaryzykować ucieczkę, ale zbyt duże jest ryzyko, że spotkamy kogoś z nich. Dlatego musimy ich najpierw unieszkodliwić. Słuchaj mnie uważnie. Ten klucz będzie jedynie przynętą. Słuchaj.

Po czym zaczął wdrażać mnie w arkana planu, który wydał mi się wtedy zbyt szalony, zbyt nieprawdopodobny, a jednak – jak przekonał mnie Jakub – był naszą jedyną szansą.

Słuchając poleceń Jakuba, sprawdziłem wytrzymałość najniższych szczebli drabiny. Brat poinstruował mnie, co zrobić, by pękły. Uderzałem stopą, aż głuche uderzenia z wolna zaczęły przeistaczać się w zrazu delikatny, a z każdym kopnięciem coraz wyraźniejszy trask.

Kiedy pierwszy szczebel puścił, krzyknąłem. Jakub kazał przynieść sobie wyłamane kawałki drewna. Z najwyższym wysiłkiem dotknął ostrych krawędzi, po czym nakazał mi odłamać jeszcze dwa szczeble.

Pracując uparcie nad uszkodzeniem drabiny, zapomniałem zupełnie o Jakubie, ojcu i matce i dopiero, gdy moje działania zakończyły się sukcesem (poza jednym wyłamanym szczeblem, który Jakub kazał mi zachować, wprawiłem pęknięte poprzeczki z powrotem w otwory, zmieniając drabinę w pułapkę. Przypomniałem sobie, że mama jeszcze nie wróciła.

– A jeżeli wejdzie i spadnie? – zapytałem w ciemność.

– Ostrzeżemy ją – wyszeptał Jakub – kiedy będzie schodzić, po prostu ją chwycimy.

Ojciec, zaprzestawszy pojękiwania, oddał się czemuś na podobieństwo medytacji. Siedział, bez słowa, nie reagując na nasze rozmowy. Dopiero po dłuższej chwili jął – jakby do siebie – wypluwać niewyraźne uwagi, mówiąc tym razem coś o *ustach w ciemności, szepcie ust odseparowanych od ciała*, ale my, zajęci planowaniem, nie zwracaliśmy uwagi na jego bełkot i dopiero po jakimś czasie, gdy obawa o długą nieobecność matki stała się bardziej dręcząca, zaczął nas irytować ten dziwaczny mamrot, podczas którego wciąż powtarzał coś o *ustach szepczących prawdy zupełnego oddzielenia, ustach, które wyswobodziły się od ciała, ustach, które zerwały więzy z ciałem, o transcendencji ust, o ustach wypluwających to, co ciało stworzyło tak, by nie miało już żadnych związków z tym ciałem*. Zapytany przez nas, co konkretnie ma na myśli (i czy mógłby zamilknąć, albowiem nie pozwalał nam się skupić), nie udzielił żadnej odpowiedzi, jedynie coraz bardziej gorączkowo powtarzał swoje brednie, aż wreszcie zapadł w jakieś dziwne odrętwienie, którego nie widzieliśmy zbyt wyraźnie w półmroku, ale które mogliśmy usłyszeć w płytkim, szybkim, świszczącym oddechu rezonującym w naszej podziemnej celi.

A później rozpoczęliśmy nasze oczekiwanie i kiedy po jakimś – zapewne długim czasie – usłyszeliśmy ciężkie, nerwowe kroki nad nami, wiedzieliśmy, że to jeden z dozorców przyszedł w poszukiwaniu zguby. Jakub kazał mi wykręcić żarówkę i ukryć się za drabiną. Wcześniej rozmawialiśmy długo o tym, co mamy zrobić i choć wypełniał mnie lęk, Jakub przekonał mnie, że nie mam innego wyboru. Wiedziałem, byłem w pełni świadomy tego, że usiłując uciec z tego piekła, przekroczyć Rubikon i nic nie będzie już takie jak wcześniej. Zresztą – nic już nie było.

Zgrzyt skobla obwieścił, że zaraz otworzy się kłapa. Tak też się stało, do środka wlało się słabe światło, a wraz z nim głos Antunowicza.

– Gdzie jesteś, małe ścierwo?

Ukryty w kącie Jakub nie odpowiedział. Zrobiłem parę kroków w tył, by dozorca mnie nie zobaczył. Ojciec milczał.

– No, uprasza się lokatorów o wyjście. O, widzę, że chyba odcięli wam światło. Wyłączyć!

Jakub przewidywał, że specyficzna mieszanina pogardy dla nas, nadmiernej pewności siebie i wrodzonej tępoty okaże się w Antunowiczu silniejsza niż zdrowy rozsądek. Tak też było – dozorca, nie doczekawszy się żadnej reakcji z naszej strony, zaśwycił w pokoju nad nami mocne światło i zaczął powoli schodzić, miotając przy tym groźby i przekleństwa. Nie mógł widzieć pękniętych szczelbi i gdy tylko oparł stopę na jednym z nich, natychmiast stracił równowagę i runął na klepisko. Jakub krzyknął do mnie:

– Teraz! Bij!

Ukryty za drabiną, przypadłem do leżącego Antunowicza i złamanym, ostrym końcem szczelbla uderzyłem go tam, gdzie – jak mi się wydawało – znajdowała się jego długa, wąska szyja. Drewno utkwilo w czymś, w tej samej chwili rozległ się lepki krzyk, który przeszedł błyskawicznie w bulgoczący charkot. Zacząłem na oślep dźgać drugim kawałkiem drewna w głowę dozorca.

Wypełniał mnie ciemny, straszliwy szum krwi zatrutej adrenaliną, strachem i nienawiścią. Uderzenia serca jak eksplozje gdzieś wewnątrz, jak wojenne bębny. Biłem na oślep, wkładając w ciosy całą siłę i pewnie tylko dzięki słabości światła, przez co nie mogłem ujrzeć własnego dzieła, nie zaprzestałem jeszcze długo po tym, jak ciało Antunowicza przestało się ruszać.

A potem zacząłem płakać. Poczulem bliskość Jakuba, który obejmował mnie ramieniem. Wtulilem się w brata. Powietrze śmierdziało krwią. Upadłem na kolana i zwymiotowałem zrąca w gardło, cuchnącą mazią. Jakub pogładził mnie po głowie.

– Przeszukajmy go teraz. Musimy wziąć wszystko, co tylko się da. Mamy jego klucz. Musimy zobaczyć, co jeszcze nam się przyda. Przepraszam, braciszku, że musiałeś to zrobić. Przepraszam.

Poświata z góry obmywała zalane krwią ciało dozorca. Już pierwszy zadany cios okazał się śmiertelny – ułamany szczelbel tkwił wbity z boku szyi. Uderzenie rozerwało tętnicę. Zaczęliśmy przetrząsać kieszenie. Jakub, gdy ból nie pozwalał mu na przeszukiwanie kieszeni, wskazywał mi cele. Udało nam się znaleźć jakieś dokumenty (nie udało się ich odczytać), plik banknotów, kilka pomniejszych kluczy i scyzoryk. Spojrzeliśmy na ojca.

W bladym świetle wpadającym z pokoju nad nami wydawał się jak martwy, jak skamieniały. Jego twarz przeistoczyła się w papierową maskę. Podeszliśmy do niego.

– Tato, wychodzimy. Uciekamy. Idziemy szukać mamy – powiedział Jakub.

Ojciec nie odpowiedział, wydawał się nie dostrzegać niczego ze zdarzeń, jakie rozgrywały się wokół. Potrząsnąłem go za ramię. Westchnął, jakbym wyrwał go z bezdechu.

– Mott, Mott... – wyszeptał – Widzę twoje światło. Dobywa się z twoich ust. Oślepia mnie. Mówisz do mnie pięknie, ale ja nie rozumiem. Widzę twoje usta, ale nie rozpoznaję słów. Mówisz pięknie, ale ja nie rozumiem.

– Musimy iść, tato – powtórzył Jakub, ale ojca już z nami nie było, zapadł z powrotem w swoje otchłanie i teraz, w martwej, ciemnej ciszy, nie słyszeliśmy nawet jego oddechu. Staliśmy chwilę z Jakubem, po czym podeszliśmy do drabiny. Nim wyszliśmy na górę, Jakub w słabym świetle wpadającym do piwnicy przetarł delikatnie dłonią mój policzek. Czułem, że coś na niej rozmazuje. Następnie ukląkł nad zwłokami Antunowicza i zanurzywszy zsiniałą, wciąż opuchniętą dłoń w jego krwi, naznaczył swoją twarz.

– Jesteśmy jedno, bracie – powiedział, po czym zaczęliśmy wychodzić na górę.

Oto jest świat, jakiego nigdy nie przeczuwałem, ale który zawsze był tuż obok, na wyciągnięcie ręki, o jedno sięgnięcie myślą skażoną lękiem. Oto jest świat, który w ciszy i ciemności zdejmuje maskę barw, maskę krzepiącej stałości. Oto jest świat wielu drzwi, prowadzących w wiele miejsc, z których każde jest tak samo pozbawione sensu jak pozostałe.

Ostrożnie otwieraliśmy kolejne korytarze, nasłuchując, czy z drugiej strony nikt nie nadchodzi. Półmrok wydobywał z łuszczących się, obdartych ścian ich zwyrodniałą, chorobliwą fakturę i przysiągłbym, że kiedy dotykałem ich, szukając oparcia, czułem zimno będące nie zimnem *od zawsze martwej materii*, ale zimno *obumarłej materii*. *Ten dom jest martwy i wszyscy, którzy trafiają w jego objęcia, zakażają się tą martwotą* – pomyślałem. *Ten dom wzniesiono tylko po to, by obumarł* – przyszło mi na myśl. *Wzniesiono go tylko po to, by nikt nie mógł być szczęśliwy* – dopowiedziałem sobie.

Jakub prowadził, wyznaczał kierunek, decydował, w którą stronę mamy podążać. Im więcej drzwi przekraczaliśmy, im więcej korytarzy zostawialiśmy za sobą, tym mocniej wzrastało we mnie wrażenie, że rozumiem go, że zaczynam myśleć tak, jak on, że coraz bardziej świadomie zdaję sobie sprawę z przyczyn wyborów, jakich dokonywał. Uzbrojeni w secyzoryk i kawałek drewna wnikaliśmy w głąb domu. Czasami zdarzyło się, że zatoczyliśmy koło, a przynajmniej takie odnosiliśmy wrażenie (być może mylne wobec

identyczności mijanych korytarzy), więc zaczęliśmy znaczyć ściany krótkimi, dyskretnymi nacięciami tuż przy podłodze. Mijaliśmy drzwi wejściowe do pomieszczeń i nie raz zdawało nam się, że ze środka dobiegają strzępy słów, czasami westchnienia, czasami płacz, czasami senne chrapanie.

– Podejrzewasz, gdzie może być? – zapytałem.

– Pewne miejsca są bardziej prawdopodobne niż inne – odparł Jakub.

– Wiesz, jak do nich dotrzeć?

– Będziemy próbować.

Choć przyświecała nam jedna myśl, milczeliśmy (może właśnie dlatego?), jakby w obawie, że wypowiedziane na głos złe przeczucia mają większą szansę na urzeczywistnienie.

W pewnej chwili Jakub przystanął pod kolejnymi drzwiami i nasłuchiwał dłużej niż zwykle. Obserwowałem jego pełną skupienia twarz, lokując na niej pytające spojrzenie. Jakub odpowiedział, poruszając jedynie ustami i choć było dość ciemno, wyczytałem z ruchu warg jedno, budzące we mnie grozę słowo:

– Byrkicz.

Jakub odsunął się od drzwi i rozejrzał, jakby badając szanse na ucieczkę. Wskazał mi palcem na ścianę obok drzwi i nakazał stanąć w miejscu, które mogło zostać zasłonięte przez otworzone skrzydło. Kazał mi wyjąć scyzoryk, a sam chwycił mocno złamany szczepel, którego koniec czernił się teraz zakrzepłą krwią Antunowicza. Po czym mocno kopnął w drzwi.

– Co tam...? – dobiegł nas skrzypliwy głos. – Antunowicz, masz jakiś problem z zamkiem? Znalazłeś ten klucz? Stary cię zabije, jak go nie znajdziesz, a ja ci nie pomogę.

Jakub drugi raz kopnął w drzwi.

– Zapomniałeś, jak się mówi? Chodź tu, zobaczymy, co z tym dziadostwem nie tak – powiedział. Usłyszeliśmy odgłos klucza wkładanego do zamka, metaliczny chrzęst zapadek, a po chwili w mroku korytarza rozjaśniał prostokąt otwartych drzwi, w których stała wysoka, masywna sylwetka dozorca.

– Mamy tu całkiem fajną zabawę i jak chcesz, to dla ciebie też... – powiedział Byrkicz, wchodząc w korytarz, ale nie skończył, bo zobaczył stojącego przed nim Jakuba, który z jadowitym uśmiechem uderzył go złamanym szczepblem w podbrzusze.

Byrkicz krzyknął, bardziej z wściekłości niż bólu i rzucił się w stronę Jakuba, który dopadł drzwi z drugiej strony.

– Ty parszywy kurwiu, wyszedłeś – wysyczał Byrkicz. – Tym razem już nie wypełniesz z tej dziury. Dopilnuję tego osob...

Ale tego zdania również nie dokończył, gdyż nie mógł zauważyć, rozogniony furją, jak od tyłu zakradła się do niego mała postać i wskoczywszy mu na plecy, zaczęła dźgać nożem w szyję, w głowę, gdzie się dało. Trzymając się go kurczowo, uderzałem z zamkniętymi oczami, nie bacząc nawet na to, że mogę poranić własną rękę. Zdezorientowany krzyczał rozpaczliwie, boleśnie, a gdy upadł na kolana, dopadł do niego Jakub i biorąc zamach uderzył z całej siły. Szczebel, od którego zginął wcześniej Antunowicz, wbił się w tchawicę drugiego dozorca. Byrkicz dławił się własną krwią, jego głowa, pełna ran, przypominała ciemnoczerwoną, obrzydliwie lśniącą kulę. Upadając na plecy, wyrwał jeszcze kawał drewna tkwiący w ranie, ale w ten sposób tylko przypieczętował swój szybki, marny koniec. Chwilę później patrzyliśmy z Jakubem na ostatnie drgawki, na rozszerzającą się wokół ciała Byrkicza plamę krwi. Jakub splunął z nienawiścią na zwłoki strażnika. Z odrętwienia wyrwał nas krzyk dobiegający z pomieszczenia obok. Rozpoznaliśmy ten głos i jego barwa, jego tembr – zawarte w nim cierpienie – przejął nas przytłaczającym bólem. Pobiegliśmy w stronę, z której dochodził głos i gdy tylko wpadliśmy do niewielkiego składziku, ujrzelśmy kulącą się w kącie matkę.

Z jej nosa, ust i uszu płynęła krew. Gdzieniedzie świeża, gdzieniedzie zakrzepła w czarne, grube strupy. Miała podbite oczy. Obejmowała się oburącz za podkulone nogi. Ślady krwi, która przesiąkła przez suknię na wysokości kroku zdradziły nam jednoznacznie, co takiego zaszło. Jakub wydał z siebie skowyt i wybiegł. Dopadłem do matki i przytuliłem ją. Płakaliśmy razem, wsłuchani w odgłosy mokrych, wściekłych razów, jakimi mój bliźniak pastwił się nad zwłokami naszego oprawcy. Gdy wrócił, wyglądał inaczej. Nie poznałbym go, jakby emocje, które nim targały, zmieniły rysy jego twarzy. Matka szeptała.

– Mówił, że zawsze chciał mieć żonę. Ale żadna kobieta. Żadna kobieta nie chciała dać mu szansy. Powiedział, że wyglądam na porządną żonę i że chciałby. Chciałby pobawić się w męża i żonę. Tak powiedział.

Pomogliśmy jej wstać. Po jej nogach płynęła cienką strużką krew.

– Wychodzimy stąd. Uciekamy. Nie możemy tu zostać.

– Ojciec? – rzuciła matka.

Nasze milczenie musiało starczyć jej za odpowiedź. Szła z trudem, wolno stawiając kroki, ale świadomość tego, że Antunowicz i Byrkicz nie żyją, dodawała nam – i jej także – otuchy. Dodawała nam też siły – gdybyśmy w tej chwili spotkali zarządcę, jego los również byłby przypieczętowany.

– Spróbujemy znaleźć wyjście. A później... Później zobaczymy.

Jakub podpierał matkę, a ja otwierałem drzwi. Mój brat wskazywał, w którą stronę iść, jaki kierunek obrać.

– Mamy klucze Antunowicza i Byrkicza – powiedział w pewnym momencie. Możemy odnaleźć...

– Musimy stąd uciec – przerwałem mu, przeczuwając, w jaką stronę zmierzają jego słowa. – Najpierw uciec. Później. Później, bracie.

Przez półmrok, przez ciasnotę, przez rozpad, przez śmierć. Byle naprzód. Byle ku wyjściu.

...określić, wyczuć, gdzie jest centrum, a gdzie peryferia...

... dzie rejon Motta, gdzie się zaczyna... ...jakie drzwi do niego prowadzą...

...ale nie w tamtą, nie, byle nie w tamtą, nie teraz...

...nikogo, nikogo, żeby uniknąć...

... może w tamte, mmmoże w tamtą, tam, właśnie...

... trochę, jeszcze, odrobinę...

... został. Został. Mówił. O ustach.

Bredził.

... on się zmienia, ten dom... ale ma pewne reguły... wyczuwam.

Idźcie, idźcie. Teraz tam, w górę. Powoli. Idźcie...

Miałem wrażenie, że Jakub i matka stawiają kroki coraz wolniej. Że co najmniej jedno z nich słabnie. Zdawało mi się, że widzę, jak matka, idąc, zostawia za sobą czerwony ślad. Poczulem w całym ciele paraliżujący smutek, uderzony jednoczesnym przecuciem i zrozumieniem. Aż nagle wpadliśmy do obszernego pomieszczenia, z którego odchodził długi korytarz, zwieńczony dwuskrzydłową bramą.

– Tam! – krzyknął Jakub.

Nawet matka, osłabiona, sponiewierana, zdała się odzyskać nieco sił na ten widok. Nasza trójka ruszyła ku wyjściu.

– Masz nóż? – zapytał Jakub, dysząc ciężko.

– Mam.

– Dobrze go schowaj. Daj mi klucze – powiedział. Oddałem mu wszystkie.

– Weź mamę. Ja otworzę.

Matka wsparła się na mnie i dopiero wtedy poczułem jej słabość. Jakub dopadł do drzwi i mimo bólu drżących rąk, włożył do zamka klucz, przekręcił i otworzył. Dom pana Motta rozwarł się na las, na noc i gwiazdy. Na inny świat, którego zapomnieliśmy. Oniemiali, urzeczeni oblewającym nas szumem drzew i rzeźkością powietrza, wpatrywaliśmy się w ścieżkę wiodącą przez las, nad którą srebrzyło się niebo. Powoli wyszedłem z matką podpierającą się na moim ramieniu.

– Widzisz, mamó, wyszłaś. Wyszliśmy stąd.

Matka śmiała się do siebie, w ciemności błysnęły jej zęby.

– Nie wierzyłam. Myślałam, że już tam... – powiedziała, po czym nie była w stanie już niczego więcej wyrzec i stała tylko, wpatrując się w piękno nocnego świata. Odwróciliśmy się w pewnej chwili, tknięci dziwnym przecuciem. Jakub stał w progu drzwi i wpatrywał się w nas spojrzeniem pełnym miłości i smutku.

– Idźcie.

– A ty?

– Mam tu coś do zrobienia. Idźcie. Masz nóż. Masz pieniądze. Idźcie. Opiekuj się. Ja muszę...

Nie dokończył, zatrzasnął szybko drzwi. Usłyszałem, jak zamyka od środka zamek.

Matka może chciałaby go powstrzymać, może chciałaby po niego wrócić, ale była zbyt słaba, zbyt zdezorientowana. Także ja chciałem wrócić po Jakuba, ale wiedziałem dobrze, że wszelkie moje usiłowania były bezcelowe. Jakub zapragnął dotrzeć do pana Motta, udowodnić sobie jego nieistnienie. W tym celu musiał stać się pełnoprawnym mieszkańcem, ba, obywatelem tego przerażającego domu. Musiał poznać lepiej jego prawa, tylko tak mógł dotrzeć dalej, poza część, którą mieszkańcy określali jako *rejon ciała*. Patrzyliśmy na wielką budowlę, wtopioną w las. Nie sposób było ocenić jej rozmiarów, które rozpląwały się w cienistej gęstwinie drzew, wlewały się w nią, gubiąc konkretność kształtu. Powiedziałem matce, że Jakub wrócił, by ocalić ojca. Nie wiem, czy uwierzyła w moje kłamstwo.

Nieopodal, w wysokich zaroślach, zauważyliśmy skorodowany, pozbawiony kół i szyb wrak czegoś, co kiedyś mogło być samochodem. Oplatały go rośliny, wchłaniała ziemia.

A potem szliśmy, znowu szliśmy. Uciekaliśmy, bo życie to ucieczka. To, co żyje, zawsze będzie uciekać, tak długo, jak żyje. Więc szliśmy, mając siebie, mając swoją słabość

i cierpienie. Nie wiedziałem dokąd, droga prowadziła nas, a my daliśmy się jej nieść. Z transu powolnego marszu wyrwały nas rozcinające noc światła reflektorów nadjeżdżającego pojazdu. Tknięty lękiem, ukryłem nas w przydrożnych zaroślach. Po chwili ujrzałem dziwny, jakby wojskowy samochód zmierzający w stronę domu pana Motta. Gdy odjechał, gdy zniknął mi z oczu, zapragnąłem iść dalej, ale moja matka wyszeptała, że nie ma już siły.

Pomny dziwnego przecucia, nie protestowałem, jedynie usiadłem obok niej. Opieraliśmy się razem o drzewo.

– Zimno, synku. Synku... pamiętam cię takiego małego, a przecież niemal skończyłeś już szkołę.

Przytuliłem ją.

– Co się stało, mamó? Możesz mi wreszcie... Muszę wiedzieć. Co się stało.

A ona zaczęła mi mówić. Rzeczy, w które nie chciałem uwierzyć, rzeczy zbyt obrzydliwe i straszne. O wielkim ogniu, o wielkiej czystości, o jedności i sile. O wielkim, zbiorowym szaleństwie, które obróciło nasz świat w pył. O wielkim obłędzie, którego duch raz na jakiś czas zstępuje pośród ludzi, wradza się w Molocha łaknącego ofiar. O ojcu, który uwierzył kłamcom, bo tylko kłamcom mógł uwierzyć, by spróbować nas uratować.

A później mówiła, słabnącym szeptem.

Idź, dziecko.

Idź i kryj się w cieniu.

Między drzewami, w załomach murów, idź, otul się w noc i gwiazdy.

Płyn razem z nurtem rzek i potoków, zwłaszcza gdy wnikają pod ziemię. Bądź jak wiatr. Kryj się i idź. Może spotkasz dobrych ludzi. Może dadzą ci chleb. Może pomogą ci się ukryć. Ale idź, nie zatrzymuj się. Uciekaj. Kiedyś. Kiedyś dojdiesz w miejsce będące przeciwieństwem tego, które zostawiliśmy za sobą. Zapragniesz w nim zostać, bo to będzie dobre miejsce. Kiedyś, może kiedyś. Ale nie teraz, to daleko, daleko. Dlatego musisz iść i nie oglądać się za siebie. Idź, proszę.

Więc szedłem, mając na ustach słony smak skóry na jej czole, gdy złożyłem na nim pocałunek. Szedłem, kryjąc się w cieniu, wśród drzew, pod murami, w zaroślach. Jak podziemne rzeki, jak wiatr. Czasami karmił mnie świat tym, co wydał, czasami karmili mnie jacyś ludzie, czasami kradłem, a czasami na długie dni towarzyszem drogi stawał się mi głód.

Miałem ich wszystkich ze sobą. Wewnątrz. Chociaż tak, chociaż w ten sposób.

Aż po nie wiem jak długim czasie znalazłem miejsce, z którego nie mogłem iść nigdzie dalej. Z którego nie chciałem iść nigdzie dalej, z którego – jak mi się wydawało – nie musiałem uciekać.

Ale to było złudzenie, bo człowiek, póki żyje, póty ucieka. Od czegoś albo ku czemuś. Od wspomnień ku teraźniejszości bądź od teraźniejszości ku wspomnieniom. Od prawdy do fikcji, od fikcji do innej fikcji, od innej fikcji do prawdy. Od konsekwencji do chaosu, od życia do śmierci, od śmierci do życia i tak w koło, wciąż, zawsze, bez końca. Od jednej udręki ku innej.

Wiele lat później wróciłem w rejon, w którym znajdował się dom pana Motta, pragnąc dowiedzieć się, co się stało z Jakubem. Upłynęło dużo czasu i pobliskie miasto wyparło las. Zapomniało o tamtych czasach. Byłem już stary. Choć drzewa zostały wyparte przez beton i cegły, wciąż nie było możliwe ocenienie rozmiaru tego, co niegdyś stanowiło dom pana Motta. Wielopiętrowa, bezkształtna bryła rozrastała się niczym rakowata narośl na tkance nowoczesności. Promieniowała, jak wtedy, rozpadem i przytłaczającym smutkiem.

Pewnego dnia w jej pobliżu ujrzałem nędzarza. Odziany w łachmany, brudny, z długą brodą zdawał się być uwiązany do tej obrzydliwej ruiny. Zdawało mi się, że go rozpoznaję i że on rozpoznaje mnie, ale gdy tylko ruszyłem ku niemu przez ulicę, pokręcił głową, po czym zniknął w zaroślach otaczających zdewastowaną budowlę.

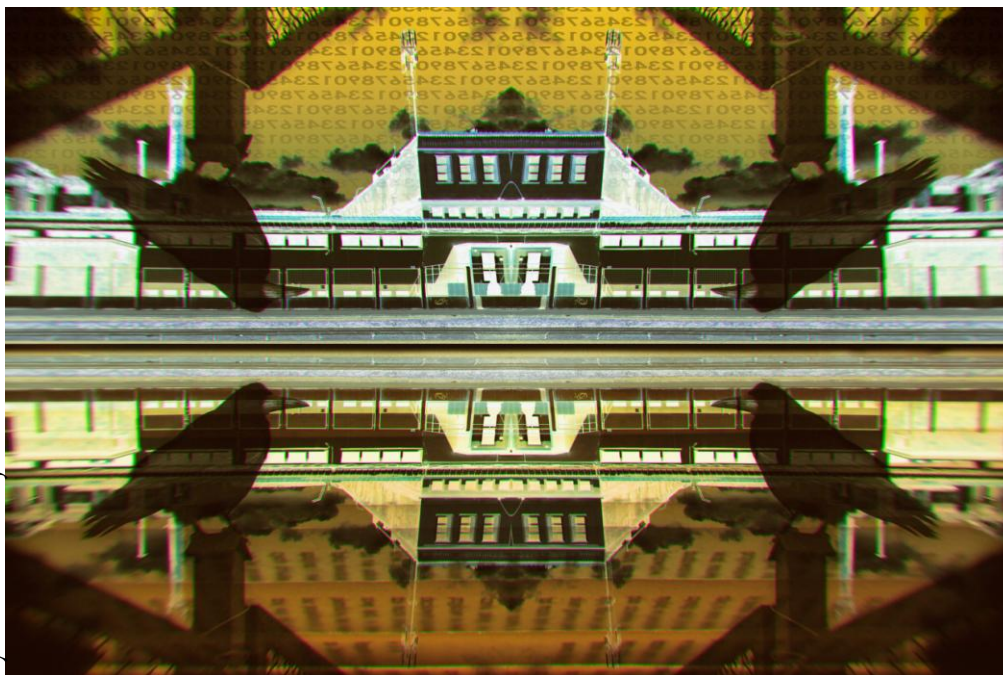
Być może Jakub wciąż nie ustawał w wysiłkach, by dotrzeć do centralnej części domu pana Motta, być może odkrył, że skrzydło, które zamieszkivaliśmy, wcale nie sąsiadowało z częścią centralną, ale było ledwie pierwszą z warstw, szczelnie otulających odległe centrum. Jak odległe? Jak dalekie i nieosiągalne?

Jak dalekie?

Jak nieosiągalne?

Belgrad-Warszawa, V-IX, 2015

rys. Izabela Wojciechowska



EFEKT ROSENTHALA

Alicja Temptowicz

A co, jeśli się nie mylę i między liczbami naprawdę jest wolna przestrzeń?

Co, jeśli tkwisz między ścianą a farbą na ścianie i mieszkasz w moim domu, w przewodach, obok sygnałów, niemożliwy do wykrycia, bo nieregularny?

Tak czy inaczej, przysłali mi dzisiaj ankietę.

Ile pani ma lat, czy pali albo pije?

Nie palę i nie piję. Jestem trzeźwa. Jestem normalna. Jestem poczytalna. Ja tylko czasami zastanawiam się nierozważnie, co wypełnia szczeliny między jedną liczbą a drugą.

Czy korzystam z produktów firmy X. Nie pamiętam, muszę się zastanowić. Czy jestem z nich zadowolona. Tak, czemu nie? Ołówek mechanicznie sunie po kartce, przecież nie mam niczego lepszego do roboty, jak to poetka. Przynajmniej przez trzy godziny między powrotem z fabryki a pójściem spać. Obiadów nie gotuję, obiady przynosi z pracy mąż.

Ale chociaż jestem poetką – a może właśnie dlatego – nie piszę wierszy. Pisałam je jako nastolatka, potem jako kobieta, narzeczona, żona, pracownica fabryki elementów złącznych. Jako poetka wypełniam ankiety.

Wymyślałam sobie też ten dziennik i zadaję ci te wszystkie pytania, na które nie odpowiadasz.

Nawet jeśli istniejesz, nigdy cię przecież nie zmierzę i nie zważę. Nie mogę cię także policzyć. To zaskakuje wciąż na nowo i wciąż z tą samą siłą – jak szalenie ogranicza mnie język, też na usługach matematyki. Liczba pojedyncza. Liczba mnoga. Liczba podwójna. Singularia tantum. Pluralia tantum. Nic ponad to. Ciebie taki stan rzeczy nie dziwi? Mnie bardzo i wciąż od nowa.

Dziś powiedziałam o tobie mężowi i zasugerował, że jestem przemęczona, a także, że piję za dużo kawy i mogę mieć niedobory magnezu i wapnia. Zapytał, czy nie zaczęłam czegoś łykać. Otóż nie, nie zaczęłam. Tak naprawdę, jak o tym myślę, chyba chciałabym być wariatką albo ćpunką. To powkładałoby wszystko z powrotem na regały liczb i obaliło cię ostatecznie – odmierzona dawka prochów, stała suma kroków z łóżka do szafki, z łóżka do łazienki. Tabletki ułożone w blistrach zawsze w taki sam sposób.

Nic z tego.

Niebo zrobiło się takie dziwne, po południu stanęła fabryka. Protest. Mała płaca, to zawsze powód (znowu liczby), ale tak naprawdę nie o to poszło. Ludzie są po prostu nerwowi. Dziś zatrzymali taśmy, jutro pożą się między sobą, jestem niemal pewna. Myślę, że poleje się krew.

Wiesz, to zabawne. Naukowcy ogłosili dzisiaj, że odkryli kolor, którego nie da się opisać jedną częstotliwością, a tylko ich zakresem. Mówią o niej błękit kwarkowy, bo to jak z tymi cząsteczkami, które decydują się, jakie są, dopiero gdy się je obserwuje. Nie znam się. Mnie interesuje tylko jedno – bezradność liczby.

Pośredni dowód na to, że mam rację, prawda?

Tak jak przewidziałam, w fabryce połała się krew. Widziałam ją na taśmie po tym, jak jeden z robotników został wrzucony do maszyny. Na półce w sklepie niczego nie będzie widać. Śrubki jak śrubki.

Nie napisałam wiersza, a ponieważ nie uwierzył mi mąż, próbowałam opowiadać o tobie koledze ze zmiany. Jest trochę upośledzony, więc uznałam, że to bezpieczne. No,

właśnie jest trochę upośledzony, ale i tak spojrział na mnie jak na idiotkę, a potem widziałam, jak się śmieje i wpada między tryby. To głupie, ale pomyślałam, że to może ja. Wiesz, że to ja ich zabijam. Zbyt banalne, nie sądzisz? Zdarza się i tak, że zwyczajny wypadek to ciekawsze rozwiązanie. Zresztą, ręce miałam w kieszeniach, szłam na przerwę. We krwi, bo chyba się skaleczyłam, ale też w kieszeniach.

Mąż mówi, że powinnam się zwolnić. Że jestem przemęczona, a poza tym w fabryce jest teraz niebezpiecznie. To już w końcu dwóch zabitych. Albo trzech. Nie mogę się doliczyć.

Nie chcę się zwalniać. Nie chcę być poetką przez cały czas, okrąglą dobę, bo wówczas nigdy niczego już nie napiszę.

Trochej. Jamb. Amfibrach. To wszystko też matematyka.

Od patrzenia w niebo boli mnie głowa.

Zamiast muzyki dają w radiu liczby, więc nie słucham.

Tabletki w blistrach układają się w powtarzalne sekwencje. Krew na taśmie produkcyjnej nie; tworzy zaskakujące, nieregularne plamy. Zastanawiam się, co bardziej jest poezją, bo przecież już nie słowa.

Pęczniejesz powoli między ścianą a farbą. Pęczniejesz w mojej głowie i na niezdecydowanym niebie, a ja nadal nie mam dla ciebie imienia poza Trochę Szalony Koncept Czysto Teoretyczny.

Obudziłam się w środku nocy z poduszką na twarzy.

– Nie zadawaj pytań – usłyszałam. – Wiesz, co to efekt Rosenthala?

Rano brygadzysta wziął mnie na stronę i oświadczył, że nie jest zadowolony z tego, jak bardzo spadła moja wydajność. Dokładnie to policzył i kazał mi wyjaśnić, dlaczego akurat dwadzieścia trzy przecinek sześć w okresie procent. Powiedziałam prawdę, że czytam poezję z taśm. Nie zrozumiał, więc mu pokazałam. Wyzwał mnie od wariatki, ale kiedy wychodziłam do domu, widziałam, że stoi tam i patrzy.

Na twarzy miał maskę z fascynacji i cyrkonii.

Deszcz wypalił mi dwie dziury w ręce. Następnym razem muszę wziąć parasol. Na przystanku słyszałam, że może wreszcie oczyści się powietrze. Nie wiem. Nie jestem pewna.

Przyszły też kolejne ankiety. Nadal nie piję, nadal nie palę, nadal jestem poczytalna, chociaż ulotka leków od męża twierdzi inaczej. Ulotka niczego nie wie. Nie widzi, jak niszczyć idealne sekwencje blistrów i spłukuję tabletki w ubikacji.

Teraz budzę się w nocy częściej, czasem w ogóle nie zasypiam, bo wiem, że poduszka czyha na moją twarz. Niekiedy, jak teraz, wychodzę na spacer. Znowu pada i zdaje się, że pada mi na głowę. Wrócę łysa, nie szkodzi.

Niebo nade mną jest ciągle takie samo, to znaczy żadne. Za każdym razem, kiedy w nie spoglądam, różni się od samego siebie. Minimalnie, ale wystarczająco, by mózg – nawet jeśli nie oko – wychwytał zmianę. To chyba nawet trudniejsze do zniesienia, bo nie potrafię powiedzieć, czy jest teraz bardziej fioletowe czy wręcz przeciwnie – zbliżyło się do zieleni. A może jedynie rozjaśniło lub pociemniało. Mam tylko świadomość, że przed chwilą było inne.

Wróciwszy z pracy, zastałam męża z uchem przy ścianie. Zapytałam, co robi, a on tylko spojrział na mnie, jakbym go o coś oskarżyła.

Nie oskarżam. Jeszcze nie.

Ale myślę – jestem niemal pewna – że szukał świata bez liczby.

To był ciężki dzień.

Od początku.

Gonili mnie. Czekali, aż wyjdę z fabryki, i zaczęli za mną biec, kiedy tylko pojawiłam się w bramie. Nie wiem, czego chcieli, ale nie sądzę, żeby mieli dobre zamiary. Dobre zamiary umarły już dawno, pochowałam je ze wszystkimi honorami. Więc zaczęłam uciekać, byle do przystanku, między ludzi, a potem do pierwszego autobusu, jaki nadjechał.

Pamiętam, że pachniało w nim potem i spalinami, i właściwie tyle, bo stałam na drżących nogach, uczipiona żółtej rury i usiłowałam nie zwymiotować ze strachu i zmęczenia. Bolała mnie głowa.

Tak bardzo bolała mnie głowa.

A kiedy ją podniosłam, zobaczyłam, że siedzą na tylnej kanapie.

Wrzasnęłam. Tak po prostu, nie zważając na tłoczących się wokół mnie pasażerów. Zaczęłam przepychać się w kierunku kierowcy, ale blokowali mi przejście, tłoczyli się, lepili jak góry kleju i sarkali, niczego nie rozumiejąc. Wrzący tłuszcz bulgotał pod ich skórą. Chciało mi się płakać. Chciałam wyc.

Rozejrzałam się, próbując ustalić, jaka to linia i czy na trasie jest jakiś przystanek dający mi jakąkolwiek szansę.

Nie potrafiłam odczytać numeru.

Do cholery, nie potrafiłam odczytać numeru! Nie rozpoznawałam też widoku za oknem, a litery na tablicy z planem jazdy rozmazywały się i rozpełzały jak robactwo. Jakbym była we śnie.

Ale to nie był sen. Wiedziałam – zdążyłam uszczypnąć się trzy razy.

– Niech pani wreszcie przestanie śpiewać!

To było do mnie. Rozejrzałam się ponownie. Patrzyli na mnie. Wszyscy. Patrzyli swoimi zimnymi, rybimi oczyma, cuchnęli potem i spalinami. Pozbawieni rysów, nosów, ust. Mieli tylko te oczy.

Albo ja dostrzegałam tylko oczy.

– Niech pan się zatrzyma! – Uderzyłam pięścią w szybę oddzielającą nas od kierowcy.
– Błagam!

Nie zareagował. Oczywiście, że nie zareagował, ileż to razy dziennie ktoś domagał się od niego złamania przepisów, jeśli tylko stanął w korku. Płakałam już całkiem głośno i histerycznie, dławiłam własnymi łzami i gdyby nie napierająca na mnie tłuszcza, zapewne osunęłabym się na kolana.

Nie rozumiałam, dlaczego. Co takiego zrobiłam. Kim takim jestem.

– Nic nie zrobiłaś. I nikim jesteś.

– Przestań śpiewać.

– Ośmielisz nieliczbę. Jest dobrze, kiedy się wstydzi.

Stali przede mną. Teraz widziałam już, że jest ich... nie potrafiłam stwierdzić, ilu. Żółta farba na rurach łuszczyła się, kiedy przepelzali pod nią, materiał obicia foteli wybrzuszał, plastik osypywał się jak czarny śnieg.

– Ta aplikacja jest mięsożerna. Czy kontynuować instalację?

Rozejrzałam się bezradnie, napięcie zeszło ze mnie w jednej chwili, poczułam się lekka, a jednocześnie jakby odlana z ołowiu. Ogarnęło mnie zrozumienie i poczułam ulgę.

– Jednak jestem szalona...? – spytałam cicho, z nadzieją.

– Nie – odpowiedział kierowca i otworzył drzwi. – To byłoby zbyt szczęśliwe zakończenie.

Kiedy wróciłam, mąż znów kucał przy ścianie. Wcześniej oderwał nieco tapety – ta walała się długimi, poskręcanyimi pasami na podłodze. W momencie, w którym weszłam, wymieniając się spojrzaniem z okiem w judaszu, zdrapywał gips łyżeczką.

– Możemy porozmawiać? – spytałam.

– Nie teraz. Jesteśmy zajęci.

Westchnęłam, rzucając palto na fotel, na którym sama po chwili usiadłam. Czułam się wykończona, a nogi pulsowały nieznośnym bólem, zwłaszcza pod kolanami.

– Coś się rozpadło – powiedziałam, mając wrażenie, że to wcale nie ja mówię, a ktoś za mną.

– Ciągłe się coś rozpada.

– Nie – pokręciłam głową – tym razem rozpadło się naprawdę.

Łyżeczka przestała skrobać po ścianie. Mąż spojrział na mnie zza ramienia, a potem usiadł na podłodze.

– Julka...

– Jestem Basia.

– Julka, już kiedyś przeprowadzaliśmy tę rozmowę.

Patrzyłam na jego twarz i nie widziałam w niej ani grama mężczyzny, którego znałam. Może wcale nim nie był. Może weszłam do nie swojego mieszkania.

Może ja to wcale nie ja.

– Kochasz mnie jeszcze? – pytam na wszelki wypadek, gdybym to jednak była ja.

– Co?

– Pytam, czy mnie kochasz.

– Gdybym cię nie kochał, nie spędzałbym z tobą tyle czasu.

– Tyle, to znaczy ile?

Prychnął z irytacją.

– No, nie potrafię ci tak policzyć...

I znów obudziłam się z poduszką na twarzy.

Myślę, że kiedyś się nie obudzę.

Zrozumiałam, że dziury po deszczu na moich rękach i głowie nie są ranami. Są po prostu brakiem. W tych miejscach mnie nie ma – nie wiem, gdzie jestem. Może na taśmie produkcyjnej w jednym z wierszy. Może pod tapetą. Może w bąblach z żółtej farby. Może nigdzie.

W fabryce pytali mnie, czy już słyszałam. Nie wiedziałam, o czym. Śmiali się, przegryzając kanapki z kiełbasą, których wcale nie ubywało; pili niekończącą się kawę.

– Jajogłowi twierdzą, że coś zabija liczbę – powiedzieli w końcu.

To może wydawać się państwu nieprawdopodobne, tak mówili naukowcy z telewizyjnych pudełek, podejrzewamy, że także zabawne.

Nie, nie, nic z tych rzeczy. Oni tam, w socjalu, śmiali się nad kanapkami z kiełbasą, ale ja nie. Ja opadłam na krzesło, w krzesło właściwie, bo kawałek mojego ramienia dostał się pod obicie.

Liczba okazała się w sumie niewielka i zaskakująco bezbronna, kompletnie nieprzystosowana do odpierania ataków. Prawdopodobnie się ich w ogóle nie spodziewała. Muszą państwo zrozumieć, że konsekwencje tego zwycięstwa będą niewyobrażalne. Od teraz możemy nazywać się istotami naprawdę wolnymi.

Nie ma żadnej konkluzji prócz tej, że jednak nie potrafimy być wolni. Tak długo, jak ograniczała nas liczba, to wszystko jeszcze jakoś działało. Teraz przestało.

Dziś na przykład nie zadziałała moja przepustka i nie weszłam na teren zakładu.

Wszystko jest liczbą. Wszystko jest wzorem. Albo jesteś wzorcowy, albo nie. Albo policzalny i uporządkowany, albo nie.

Albo jesteś – pomyślałam, patrząc na dziurawe ręce – albo cię nie ma.

Czy zatem odpowiedź jest aż tak prosta? Koniec świata? Znowu? Było ich już tyle, naprawdę. Zresztą, koniec świata miał wyglądać zupełnie inaczej. Koniec nie może być także nieskończonym koszmarem. To nielogiczne.

– Jeśli jest jakikolwiek sposób, żeby to przerwać, znajdę go – mówię do wiszącej nad moją twarzą poduszki.

– Nie ma innego końca niż śmierć – odpowiada ona.

Poczytalność jest liczbą, niepoczytalność jest liczbą. Albo mieścisz się z wynikiem w normie, albo nie.

Więc rozpełzam się dalej pod tapetą, wnikam w wolne miejsca skomplikowanego labiryntu z zaschniętego od lat kleju.

– Zostaliśmy bez odpowiedzi. – Łapię poduszkę, żeby odsunąć ją i zobaczyć twarz mężczyzny, który być może jest moim mężem, ale nie mogę już ocenić prawdopodobieństwa tego faktu. – Składamy się z określonej liczby białek, mamy tyle i tyle kończyn, nawet nasze włosy są rzekomo policzone.

– Były.

– Potrafisz określić, jak dawno temu, bez liczb?

– A jakie to ma znaczenie?

Jeśli nie ma znaczenia, to dlaczego się rozpadamy?

– Śpiewałaś i ośmieliłaś.

Głos jest cichy, znacznie cichszy niż w autobusie, już nie karcący, a po prostu smutny.

– Śpiewałaś i wymyśliłaś świat bez liczby. Wszystko twoja wina.

Nie, myślę sobie. To nieprawda. Nie jest przecież tak, że możemy sobie wymyślać prawdziwe światy.

Nagle decyduję się i dociskam poduszkę. Słyszę zduszony krzyk, czuję palce czepiające się rozpaczliwie skóry, ich kawałki mam we włosach, w puszcze z kawą, pod lakierem pokrywającym stół, wraz z nieokreśloną ilością innych obcych kawałków. Ciałem wstrząsają drgawki, rzuca się jeszcze chwilę jak wyciągnięta z wody ryba i wreszcie nieruchomieje, wpada między tryby i dalej, w strukturę taśmy, w nieregularne plamy wiersza, który nie potrafi być wolny.

I śmieję się. Śmieję się głośno z siebie, z nich, z tego, co zostało, i z tego, co nie zostało.

Proście, a będzie wam dane.

Szukajcie, a znajdziecie.

Zanim znajdzie was.

rys. Stanisław Lament



JESTEŚMY OHYDNI

Karol Zdechlik

Adam Szczygieł ocknął się nagle z głową w bębnie pralki.

Nie wiedział, czy to leki okazały się znów nietrafione, czy to tylko ich efekty uboczne. W wizjach bombardujących jego mózg w zimnym i wilgotnym wnętrzu pralki widział swój pogrzeb. Czuł wszechogarniającą wilgoć butwiejących jesiennych liści. Każda kropla jednostajnie padającego deszczu, zagłuszającego słowa księdza skrytego pod głębokim cieniem rozłożonego czarnego skrzydła parasola, niosła w sobie tę samą wilgoć. Przenikał go chłód, tak jak nielicznych żałobników, zgarbionych, ubranych jednolicie na czarno, zdawałoby się – zupełnie obojętnych widzów przedstawienia pod tytułem „Pogrzeb”. Chłonał zew rozkopanej ziemi, wołanie obiecujące uwolnienie od wszystkich dręczących go koszmarów. Kupa błota spadła z młaśnięciem na prostą trumnę, wiążąc ją w swoich trzewiach na zawsze, lub przynajmniej do następnej powodzi stulecia.

Wrócił do swojego pokoju, minął odgłosy intensywnego rozmnażania płciowego dobiegające z pokoju jednej ze współlokatorek.

Jego klitka tonęła w kurzu. Gdy się tu wprowadzał, myślał o zakupie szafy, ale przyzwyczał się do trzymania swoich ubrań i kłopotów w kartonowych pudłach, wnętrzu wersalki lub po prostu poskładanych w stosy bezpośrednio na gubiącej klepki podłodze.

Podciągnął żaluzję wiszącą na jedynym oknie w pokoju. Bezpośrednio za oknem stała uliczna latarnia, wyodrębniająca z nocnej ciemności w pomarańczowym świetle urywek zawieszonoego w czarnej przestrzeni chodnika, ławki z wylamanym oparciem oraz ściany rozłożystych drzew, ciągnące się we wszystkie strony wokół poza granicami wyznaczonymi przez światło.

Oparł się o biurko, wyteżył wzrok. W świetle latarni dojrzał całe chmury owadów, lecących ku światłu na własną zgubę. Mniejsze z nich wyglądały jak błyszczące punkty, większe machały masywnymi skrzydłami ciem.

Przebrał się w ciszy, zostawił domowe ciuchy na podłodze.

U współlokatorki, przypadkowej dziewczyny z portalu ogłoszeniowego, nadal było głośno.

Druga współlokatorka spała już od dawna albo modliła się w ciszy i ciemności, skupiona na swoim bóstwie i wpatrzona w jego gorejące oblicze. Z dwojga złego wolał już hedonistkę. Przynajmniej nie próbowała go nawracać, ilekroć przypadkiem spotkali się w kuchni.

Postanowił się przejść.

Miasto w którym mieszkał, odkąd sięgał pamięcią, rozrastało się mozolnie, lecz niestrudzenie. Nigdy nie było wielkie, ba, mógłby przysiąc, że raczej wyludniało się i stopniowo zanikało, pozostawiając całe dzielnice na wpół opustoszałe lub całkowicie porzucone. Odkąd zaczął przegryzać frustrację, rozgoryczenie i strach różnokolorowymi tabletkami, jego percepcja uległa zmianie. Gdy upadały kolejne nadzieje i marzenia, gdy nie pozostało już nic poza wyciągnięciem zaciśniętej pięści przeciwko losowi w akcie bezsilnego gniewu, dostawał kolejne pigułki. Widział coraz więcej nowych ulic, coraz więcej nowych osiedli. Krążących wewnątrz – zdawałoby się – zwartej struktury miasta niczym wędrownie

obozy. Jego drogi również ulegały przemianom. Spacerując po mieście nieraz trafiał do miejsc, których nigdy wcześniej nie widział, a które zaistniały tam, gdzie przedtem było coś zupełnie innego.

Niebosiężne konstrukcje miały niezupełnie na jawie, niezupełnie w delirium, niezupełnie we śnie, płataniny rur wiszących we mgle przyprawiały go o zawroty głowy. Surowe ściany niedokończonych wieżowców wspinających się pod samo niebo tworzyły kaniony żelbetu i szkła, formowały drogi wiodące znikąd-donikąd. Kolejne i kolejne alejki skrytego przed dniem pod gęstwiną koron drzew miejskiego parku, zadziwiająco rozległego, przenikającego w okoliczne osiedla bloków i wieżowców, zmieniały się w rozlewające się po urbanistycznych anomaliach strugi brudnej zieleni zachwaszczonych trawników i zaniedbanych drzew oraz rozsypujących się w piach betonowych płyt chodnikowych.

Wychodził nocami. Nie pamiętał już, gdzie mieszkał kiedyś. Odkąd regularnie łykał tabletki mające go uspokoić i uszczęśliwić, nie raz i nie dwa miewał wątpliwości, co w jego życiu dzieje się naprawdę, a co jest złudzeniem. Wspomnienia danego życia odchodziły w cień coraz bardziej, aż zanikły zupełnie, przygniecione przez doświadczenia teraźniejszości. Czasem budził się z płaczem w środku nocy. Był wtedy pewien, że śniło mu się dawne życie, zupełnie wyparte ze świadomości.

W miejscu gdzie mieszkał teraz, gdzie ze świadomości obcowania z absolutnie nieludzką, niezemską i absurdalną tajemnicą otaczającego go świata i rządzących nim reguł, codziennie przeżywał katusze bycia zgniatanym przez najbliższe cztery ściany i całą rzeczywistość rozpościerającą się za nimi, miał wspaniały widok na otaczający go świat. Aż po horyzont rozlewały się jęzory zwartej i chaotycznej zabudowy miasta. Denerwowało go jego blokowisko, płatanina ciasnych uliczek między ścianami z wielkiej płyty najeżonymi światłami mrugającymi różnymi kolorami w ciasnych oknach. Otwory w bryłach uważał za nieestetyczne. Porównywał je do widocznych oznak rozkładu, pękających bąbli rozlewających nieczystości, do rzygowin żywotów stłamszonych na małej powierzchni. Idealną bryłą byłaby bryła bez okien – i bez ludzi w środku. Świadomość, że gdzieś w trzewiach bryły żyją ludzie, wiją się tam jak robactwo, namnażają w ciemności, wegetują w wilgotnych tunelach wyścielonych wydzielinami ich ciał, nurzają się w nieczystościach produkowanych przez ich cielska, była dla niego nie do zniesienia. Nie tylko dlatego, że miał pełną, bijącą w oczy oślepiającym, jaskrawym blaskiem świadomość własnej przynależności do robactwa puchnącego w trzewiach brył, ale dlatego, że robactwu zamarzyło się bycie władcami tego świata, jakby wartości robactwa obchodziły kogokolwiek poza robactwem, jakby bogowie robactwa mieli być czczeni przez kogokolwiek poza robactwem, jakby święta

robactwa obchodzone były przez cokolwiek innego niż robactwo, jakby ich śmieszne pojęcia wymalowane na tysiącach sztandarów w różnych odcieniach kolorów spermy, gówna i potu miały znaczenie dla czegokolwiek poza robactwem i jakby mogły być zrozumiane przez cokolwiek lepszego od robactwa.

Co innego światła widziane w środku nocy, światła gasnącego w oddali miasta, stopniowo zalewanego przez ciemność. Całe drogi lamp ulicznych i sekwencje rozświetlonych budynków, korytarze w ciemności gasły stopniowo, zmęczone bezsensownością konieczności rzucania pomarańczowych i trupio bladych świateł co noc na te same obszczone bramy i śmieci gnijące w pokrzywionych, rdzewiejących kontenerach. Gasły stopniowo, przynosząc ulgę zmęczonemu światu, litościwie ukrywając jego szczegóły przed oczu przypadkowych obserwatorów.

Noc była ciepła, ale telepało go, trochę z powodu gorączki, trochę z powodu leków o trudnych do wymówienia nazwach. Gdy zamykał oczy, widział gasnące światła rozsiane po odległym horyzoncie, zdawałoby się: niedoścignionym i na zawsze wyznaczającym granicę znanej, poukładanej przestrzeni. Wśród idealnej nocnej ciszy raz na jakiś czas rozbrzmiewały dochodzące z oddali odgłosy jadącego pociągu, w ciągu dnia skutecznie zagłuszane przez wszechobecny hałas, stanowiący na tyle naturalną część świata robactwa, że niezauważaną. Echo niosło też wspomnienia po samotnym samochodzie, mknącym gdzieś w oddali, znikąd-donikąd pod rozgwieżdżonym niebem.

Zdawał sobie sprawę, że to też są odgłosy robactwa. A mimo tego wzruszały go pojedyncze dźwięki zanikające w ciemności, pobudzały jego tęsknotę, hamowały jego rozgoryczenie. Wyobrażał sobie, że gdzieś tam, hen daleko, jest jakaś przyszłość, stałość w ruchu. Że gdzieś tam skrywa się celowość wirowania po opustoszałym królestwie korony stworzenia, na granicy jawy i snu. Istnienie w świetle ulicznych lamp, rozmywanie się w nicości cieni między nimi.

Noc była ciepła, ciepłem parującej, wilgotnej ziemi, nagrzanego betonu oddającego ciepło w świetle księżyca, intensywnym gorącym czerwonych neonów na spelunach z automatami hazardowymi. Charakterystyczny zapach letniej nocy, zapach stygnącego dnia przywoływał tak wiele wspomnień. Wśród nocnej ciszy rozbrzmiewały niezliczone szmery, szepty wiatru i niesprecyzowane, odbierane na krawędzi świadomości odgłosy zwierząt przemykających zarośniętymi trawnikami. Mimo tego, i tak czuł się jak w komorze

deprywacyjnej, przyzwyczajony do wszechobecnego zanieczyszczenia akustycznego i stałych przekroczeń dopuszczalnych norm hałasu w miejscu pracy.

Bardzo chciał coś zrobić ze sobą, cokolwiek, nagle i od razu popchnąć swoje życie w dowolną inną stronę, ale nie miał żadnego pomysłu. Krążył bez celu po opustoszałym osiedlu. Mijając altanę śmietnikową, zwrócił uwagę na nowy rodzaj napisów na jej ceglanych ścianach. Poza nawoływaniem do samosądu nad takim czy innym konfidentem czy do linczu na kibicach takiej czy innej drużyny pojawiały się też nabazgrane z rozmachem czarnym sprejem teksty w stylu *XANAX-JUGEND*, świadczące o dokonywujących się przemianach społecznych.

Bezwiednie przeszedł przez zarastający park, powoli zmieniający się w nieużytki rozdzielające dwa gęsto zaludnione blokowiska. Nie wszystkie lampy były zapalone. Kroczył od jednej wysepki bladego światła do kolejnej. Pomiedzy nimi rozpościerały się mroczne korytarze, utworzone przez powyginane korony drzew pochylające się nad krzywymi płytami i korzeniami wystającymi z ziemi spod chodnika. Był jak ćma, płynąca przez jednolitą ciemność od jednej złudnej światłości do drugiej.

Kroki poniosły go na przystanek autobusowy. Zmrużył oczy, świeciło się tu o wiele więcej latarni niż w głębi osiedla. Kontrast między światłem a ciemnością był tu jeszcze większy – za obszarem skumulowanych latarni biegła droga na północ, ku krawędziom miasta, pogrążona w zupełnej ciemności. Uzmysłował sobie, że tak niewiele potrzeba do obudzenia w sobie atawistycznych, pierwotnych lęków przed koszmarami czającymi się w mroku. Że tam gdzieś czają się wszystkie jego koszmary.

Odwrócił się gwałtownie – tylko po to, by stanąć twarzą w twarz z niższym od niego człowieczkiem, który pojawił się nie wiadomo skąd i nie wiadomo kiedy. Wzdrygnął się.

– Przepraszam – powiedział nieznajomy – nie chciałem pana wystraszyć.

– Pojawił się pan tak nagle – odrzekł zaczepiony – czemu zawdzięczam to spotkanie?

Niski człowieczek poprawił o rozmiar za duży frak, uniósł na chwilę cylinder i podrapał się po łysinie. Wyglądał zupełnie niecodziennie. Jego obecność tam i wtedy była bardzo nie na miejscu, kompletnie nie pasował do otoczenia. Było w nim coś demonicznego. Jakby ze środka nocy, ze zgęstniałej, zbrylonej ciemności nagle wyłonił się jej przedstawiciel.

– Myślałem, że czeka pan na ten sam autobus, co i ja. Wyglądał pan... Ach, zresztą, przepraszam najmocniej, pomyliłem pana z kimś.

Człowieczek odwrócił się i chciał już odejść, ale Adam nie pozwolił mu na to. Tknął go nagły impuls, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Proszę zaczekać. – Zrobił kilka kroków w stronę odchodzącego. – Dokąd pan jedzie? Czemu uznał pan, że ja również się tam wybieram?

Zapytany, odwrócił się. Wysoki kapelusz opadał mu na oczy. Poprawił go nerwowo.

– Do doktora Leopolda, światowej sławy psychiatry. Przyjmuje pacjentów dzisiejszej nocy. Myślałem, że jest pan jednym z nas. Widziałem to w pana oczach.

Adam wiedział, że powinien się ująć honorem, ale bezpretensjonalność nieznajomego ujęła go.

– Co pan zobaczył w moich oczach?

Człowieczek we fraku uśmiechnął się smutno i przepraszająco zarazem. Miał oszałamiająco bladą cerę, gdzieniegdzie upstrzoną niebieskimi żyłkami.

– Pozwolę sobie na kolokwializm – widzę w pana oczach chęć wyjścia z siebie i stanięcia obok.

– Ma pan całkowitą rację – odparł Adam po dłuższej chwili milczenia, podczas której wpatrywał się w cienie tańczące na granicy wzroku. – Czy doktor przyjmuje nowych pacjentów?

– Och, tak. Stan większości z nas poprawia się znacznie już po pierwszym spotkaniu, więc doktor ma wiele wolnych miejsc. Proszę nie robić tak zdziwionej miny – ja sam po prostu lubię atmosferę intelektualną panującą na comiesięcznych spotkaniach.

– A czemu doktor przyjmuje w środku nocy? Poza tym, faktycznie myślę, że mógłbym skorzystać na spotkaniu z nim. Ale wie pan co, interesuję się trochę psychiatrią, skoro i ona się mną interesuję, ale nie słyszałem nigdy o doktorze Leopoldzie.

Człowieczek rozpromienił się, uśmiechnął się przymilnie.

– Nie dziwię się, że nie słyszał pan. Doktor wykorzystuje w terapii nietuzinkowe metody, nie cieszy się zaufaniem oficjalnej nauki. Dużą wagę przywiązuje do pewnej... – Zamyślił się szukając odpowiedniego słowa. – ...psychodramy. Pacjent musi wczuć się w odpowiedni klimat.

– Na czym więc polega terapia?

– Na spojrzeniu w głąb siebie i poznaniu swojego prawdziwego ja. Doktor twierdzi, że nasze jaźnie są iluzjami, za którymi rozciągają się kolejne iluzje. Nawet jednostka ludzka jako taka jest złudzeniem, produktem uwarunkowań, które kształtują nas od okresu niemowlęcego aż po śmierć. Wszystkie nasze myśli, zamiary, marzenia – wynikają z zewnętrznych uwarunkowań lub naszych reakcji zwrotnych wobec uwarunkowań którym bezustannie

podlegamy. Uwarunkowania te hamują dostęp do obiektywnie poznawalnego świata, istniejącego pod nimi.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się autobusu. W kłębach gryzącego dymu obity gruchot wtoczył się na przystanek, mącąc stonowany spokój nocy, zatrzymał się z piskiem i kakofonią ocierającego się o siebie metalu. Z podobnym piskiem otworzyły się drzwi. W środku migały autobusowe jarzeniówki. W zmieniających się jak w kalejdoskopie plamach trupio bladego światła i czerniejącego półmroku widniały siedzące na wytartych siedzeniach nieliczne postacie, oddalone od siebie, skryte pod ciemnymi płaszczami z wielkimi kapturami.

– To nasz autobus. Śmiało, proszę za mną. – Człowieczek ruszył do pojazdu, powłóczęg zniszczonym frakiem po nierównym chodniku. Nie zwrócił uwagi, że przeszedł przez kałużę. Drugi z mężczyzn poszedł za nim. W głowie kłębił mi się milion myśli. Jednocześnie chciał uciec stąd jak najdalej, z drugiej strony coś mówiło mu, że oto otwiera się przed nim szansa na ostateczne rozdarcie wypłowiałego płótna rzeczywistości i zajrzenie w głąb skłębionych otchłani wirujących w oparach odwiecznego szaleństwa pod kruchą warstwą opisanych i sklasyfikowanych pojęć. Że w końcu będzie mógł pogodzić się sam ze sobą, wreszcie odnaleźć spokój.

– Nie wiedziałem, że takie gruchoty jeszcze jeżdżą – powiedział, gdy już usadowili się w środku. Mrugające światło działało mu na nerwy. – Jaki właściwie ten autobus ma numer?

– Nie ma numeru. – Rozmówca Adama nie poprawił już opadającego na oczy kapelusza. – To specjalny autobus.

– Doktor Leopold ma własną linię autobusową? – odparł z nieukrywanym zdziwieniem w głosie.

– Można tak powiedzieć.

Spojrzał w kierunku kabiny kierowcy. Nie rozświetlało jej żadne światło, nic poza ciemnością nie odbijało się w lusterku zawieszonym pośrodku u jej sufitu.

Wzbudzający niepokój, przypadkowy kompan dokończył opowieść o doktorze Leopoldzie. Adam podchodził bardzo ostrożnie zarówno do scjentyistycznego

hurraoptymizmu, jak i do wszelkich objawów medycyny niekonwencjonalnej. W swoim życiu próbował już jednego i drugiego – to, co do zaoferowania miała konwencjonalna medycyna, działało na niego lepiej od ziołolecznictwa, akupunktury, praktyk parareligijnych, najróżniejszych innych dziwactw. Doktor Leopold, wyłaniający się z opowieści dziwnego człowieczka, sprawiał wrażenie nawiedzonego proroka pozbawionego prawa do wykonywania zawodu, przyjmującego pokątnie po nocach we własnym domu. Ponoć był on niegdyś niezwykle popularnym i obiecującym naukowcem, miał wielu pacjentów, którzy go ubóstwiali i stawiali za wzór lekarza. Jednocześnie coraz silniej zdradzał objawy obsesji, zaczął angażować się w budzące liczne wątpliwości projekty i badania. Jego upadek nastąpił po opublikowaniu artykułu, w którym sugerował, że leczenie chorych z osobowością wieloraką jest w istocie ludobójstwem. Utracił wtedy ostatecznie swoją wiarygodność rzeczowego naukowca. Niedługo potem powstał krąg najbliższych pacjentów, ślepo podążających za swoim guru, pocztą pantoflową przekazujących informacje o datach kolejnych spotkań. W międzyczasie doktora Leopolda miało spotkać jakieś nieszczęście o straszliwych skutkach, przez które praktycznie przestał pokazywać się publicznie – nawet spotkania z pacjentami, czy też raczej wyznawcami, odbywały się przy zgaszonym świetle.

To wszystko brzmiało zupełnie absurdalnie. Najprawdopodobniej szalony był lekarz, cudowne uzdrowienia, działanie w ukryciu. Adamowi nawet przyszło na myśl, że wszystkie docierające do niego bodźce są jednym wielkim kłamstwem, nic nie dzieje się naprawdę, on właśnie leży u siebie pogrążony w gorączkowych majakach albo dławi się rzygowinami po miksie leków, i oto zdąża do piekła.

Z drugiej strony, na ile poznał zarys poglądów i metod doktora, wyczuł, że ten patrzy na świat w bardzo podobny sposób jak on sam. Nie miał też niczego do stracenia. Na dodatek człowieczek we fraku zapewnił go, że jeśli mu się nie spodoba, nikt nie będzie go zmuszał do kontynuowania terapii.

Adam nie miał pojęcia, gdzie dokładnie znajdował się dom doktora. Podróż trwała bardzo długo, autobus zjechał z głównej drogi wiodącej za miasto. Silnik pracował nierówno, raz przeciążony był na pełnych obrotach, czasem rzęził jakby miał lada moment zgasnąć. Asfalt szybko ustąpił miejsca najpierw czemuś w rodzaju starego bruku, potem drodze nieutwardzonej. Przez okno niczego nie było widać – nie tylko dlatego, że było bardzo

brudne. Poza tym wszędzie wokół rozpościerał się gęsty, iglasty las. Adam nie miał nawet pojęcia, że pół godziny drogi za miastem rozciąga się tak nieprzebrany gąszcz.

Nagle autobus zatrzymał się. Zgasły migające światła – Adam przyjął to z ogromną ulgą – i ze zgrzytem otworzyły się drzwi. Pasażerowie powoli opuścili pojazd. Przez ich obszerne płaszcze nie dało się zidentyfikować ani ich wieku, ani nawet płci. Niektórzy mogli cierpieć na jakieś dodatkowe schorzenia lub silniejsze zaburzenia somatyczne czy dysocjacyjne, gdyż kilka sylwetek zdawało się być nieco poskręcanych, wykrzywionych, wyraźnie zgarbionych lub nienaturalnie, sztywno wyprostowanych. Adam wraz z wyraźnie podekscytowanym towarzyszem wysiedli na samym końcu.

Wzdrygnął się mimowolnie na widok domu doktora. Budynek stał pośród polany, gdzie kończyła się wąska droga. Wyglądał na opuszczony, pozostawiony samemu sobie nieukończony wrak ludzkiej siedziby. Nieotynkowany, pozbawiony wszelkich ozdób czy śladów użytkowania, piętrowy kłoc z białej cegły, z pokrytym eternitem dachem, wyrastał na zarośniętym krzakami i chwastami placu ogrodzonym tylko zwyczajną siatką, w wielu miejscach poprzerwaną lub pogiętą.

W żadnym widocznym oknie nie paliło się światło ani nie wisały firanki.

W świetle księżyca zauważył prowadzącą do domu przez zarastające nieużytki skrywające hałdy nakrytych plandekami śmieci i materiałów budowlanych, wąską ścieżkę.

– Wiem, nie wygląda to najlepiej – do Adama zwrócił się poznany na przystanku kompan. – Sam czułem się równie nieswojo, jak ty musisz czuć się teraz, gdy byłem tutaj po raz pierwszy, ale wiedz, że doktor Leopold nie przyjmuje pieniędzy za swoją pomoc, przez co ma ograniczone środki na wykończenie domu. Poza tym, on w sumie nie potrzebuje pieniędzy ani wygód, do których my jesteśmy przyzwyczajeni. On jest ponad to wszystko.

Adam udał, że nie usłyszał ostatnich dwóch zdań. Ruszył w stronę domu, starając się patrzeć tylko na drzwi – wciąż oklejone ochronną folią – za którymi zniknęli już wszyscy pozostali pacjenci.

– Poczekaj, przyjacielu. – Człowieczek we fraku wyminął Adama, rozdeptując kępkę pokrzyw. – Pójdę przodem, wewnątrz przyda nam się światło. – Zza poły fraka wyjął solidną latarkę i włączył ją.

Drzwi nie były zamknięte.

– Mam coś do załatwienia – powiedział niski człowieczek do Adama. – Proszę, weź latarkę. Zobaczymy się później, znajdziesz doktora o, tam. – Wskazał dłonią w białej rękawiczce wystającej ze zbyt długiego rękawa bliżej nieokreślony kierunek, mogący sugerować zarówno pomieszczenie obok, zejście do piwnicy po schodach w dół na przeciwnym końcu korytarza, jak i wspięcie się na piętro po schodach w górę na tej samej klatce schodowej.

Zanim Adam zdążył zasypać swojego przewodnika pytaniami, ten wepchał mu latarkę w dłoń i zniknął w bocznym korytarzu. W rozedrganym sztucznym świetle jego sylwetka zamajaczyła na końcu jednego z bocznych korytarzy, po czym zniknęła za załomem.

– Hej, zaczekaj!

Do Adama dotarło, że został sam w obcym domu, za granicami miasta, w lesie gdzie nie był nigdy wcześniej. Dotarło do niego jak bardzo jest zmęczony, i jak bardzo głupio postąpił, przyjeżdżając tutaj. Omiótł latarką najbliższe pomieszczenia, cały czas mając za plecami drzwi wejściowe. Wszystkie były puste. Dom najwyraźniej został porzucony w stanie niewiele lepszym niż surowy. Nie było podłogi, mebli, tylko gołe ściany, pod którymi gdzieś waleły się skłębione śmieci niewiadomego pochodzenia, zamknięte skrzynie i stosy pudeł. W jednym z pomieszczeń piętrzyły się stosy książek poruszających najróżniejsze kwestie psychologiczne i psychiatryczne, leżące wokół starego materaca.

– Doprawdy, nic tak nie zadziwia, jak własne życie – rzucił w przestrzeń i westchnął ciężko.

W pewnej chwili przerwał eksplorację, odwrócił się za siebie, tknięty nagłym impulsem.

Tam, skąd przyszedł nie było już drzwi, lecz lita ściana. Podbiegł do niej, czuł, jakby serce miało wyskoczyć mu z piersi, pociemniało mu w oczach. Przytulił się do ściany. Wyraźnie wyczuwał pod dłońmi i na policzku fakturę cegieł i spajającej je zaprawy. Wziął głębszy wdech, zakaszłał od ilości kurzu i pylistego cementu.

Oparł się o ścianę. Zamknął oczy, skupił się na swoim oddechu, wyobrażał sobie kosmiczne przestrzenie. Po dłuższej chwili uspokoił się na tyle, by iść naprzód. Nie pozostało mu nic innego. Nie wziął ze sobą pigułek „w razie potrzeby”. Czuł, że bardzo by mu się w tej chwili przydały.

Adamowi bardzo wiele rzeczy się nie zgadzało.

Przede wszystkim, dom doktora Leopolda widziany z zewnątrz wydawał się dużo mniejszy i dużo bardziej uporządkowany niż dom doktora Leopolda widziany od środka.

Po drugie nigdzie nie spotkał pacjentów doktora ani samego lekarza, a mógłby przysiąc, że obszedł budowlę dookoła już kilkakrotnie, łącznie z drugim piętrem i poddaszem, których to części domu – opierając się jedynie na obserwacji budynku z zewnątrz – nie powinno być.

Po trzecie, również wbrew temu, co sugerowałyby ogląd budowli z zewnątrz, wszystkie okna były zamurowane, czerwonymi cegłami wyraźnie odróżniającymi się kolorystycznie od ścian z cegieł białych.

Po czwarte, smartfon Adama wyłączył się i nie udało się go uruchomić ponownie. Mężczyzna nie wiedział więc, która jest godzina, stracił zupełnie rachubę czasu. Mogło być albo bardzo późno, albo bardzo wcześnie następnego z niekończącego się ciągu dni.

– Doktorze Leopoldzie? Słyszysz mnie pan?

Adam kroczył korytarzami, które zdążył już przemierzyć kilkakrotnie. W przerwach między nawoływaniem domniemanego właściciela śmiał się do rozpuku, przekonany, że jest zamknięty we własnym śnie. Wyjątkowo pokręconym, zapętlonym i rozbudowanym śnie.

– Tylko spokojnie, tylko spokojnie – powtarzał sobie. Dla oszczędności baterii wyłączył latarkę. – Lada chwilę się obudzę, lada chwila będzie po wszystkim.

Szczypał się co jakiś czas, licząc że wybudzi go to. Bez rezultatu.

Kiedy jakby nigdy nic nasikał na niewykończone schody, biegnące spiralnie przez wszystkie piętra domu, i nadal się nie obudził, znów zaczął się denerwować.

Właśnie wtedy, gdy czuł nachodzącą niczym fala tsunami panikę, gdy z nerwów ścierpły mu ręce, a mrowienie rozchodziło się po jego ciele od czubku głowy po palce u stóp, gdy biegł na oślep przez skryte w ciemności korytarze przekłętego domostwa w środku lasu, tam gdzie korytarz powinien zakręcić pod niewyobrażalnym kątem, tam Adam wpadł prosto na drzwi.

Jedynie drzwi, jakie znalazł w domostwie, gdyż wszystkie pomieszczenia, do których trafił wcześniej, jeszcze ich nie posiadały.

Drzwi ustąpiły pod jego ciężarem, otworzyły się gwałtownie, mężczyzna upadł bezwładnie na podłogę, zamknęły się za nim.

Leżał przez chwilę oszołomiony. Zgubił gdzieś latarkę. Kompletnie nic nie widział, otaczała go jednolita ciemność, tak przytłaczająca, że wręcz namacalna. Skrył twarz w dłoniach, lecz nawet ich nie dostrzegł.

– Nic się panu nie stało, panie Adamie?

Głos rozbrzmiał nagle, ani nie z bliska, ani nie z daleka, za to na pewno z tego samego pomieszczenia.

Przerażony Adam wrzasnął, nieprzygotowany zupełnie na usłyszenie głosu dobiegającego do niego z zupełnej ciemności.

– Nie chciałem pana wystraszyć, przepraszam najmocniej – w tonie głosu słychać było autentyczną skruchę – doskonale rozumiem, że nowym pacjentom łatwo jest się u mnie zgubić. Wysłałem kilku pomocników, by pomogli panu odnaleźć drogę, ale najwyraźniej rozminął się pan z nimi. Ale gdzie moje maniery – jestem doktor Leopold Kowalski, musiał pan o mnie słyszeć, skoro trafił pan w moje skromne progi. Proszę się rozluźnić, wszystko jest pod kontrolę.

Słowa wirowały pod sufitem pomieszczenia, opadły niczym połyskujące w ciemności, opalizujące delikatnie miniaturowe czarne gwiazdy, opiłki, mika, kryształki lodu. Adam usiadł po turecku na podłodze, poczuł pod sobą gruby, ciężki, puchowy dywan. Głowa zrobiła mu się dziwnie ciężka, ale i lekka zarazem. Głos doktora miał kojące właściwości, nowy pacjent poczuł się niezwykle zrelaksowany.

– Już czuje się pan lepiej? Wspaniale. Proszę, proszę wstać, zrobić kilka kroków w prawo... O, doskonale, znalazł pan? Cudownie, proszę się położyć, na pewno poczuje się pan jeszcze lepiej.

Kozetka faktycznie była bardzo wygodna, na pewno wygodniejsza od siedzenia na podłodze. Adam mógłby przysiąc, że czuje na twarzy delikatny przeciąg – uczucie niewiarygodnie przyjemne po paru godzinach krążenia w zaduchu wewnątrz zamurowanego domu.

– Proszę o wybaczenie, że nie widzimy się twarzą w twarz, panie Adamie, jednak pewne okoliczności nam to uniemożliwiają. Być może po dzisiejszym spotkaniu sam pan zrozumie, dlaczego.

Adam chłonał każde słowo jak zahipnotyzowany. Słowa doktora opadały na niego, każde jedno było jak płatek śniegu, rozpuszczający się błyskawicznie na jego rozpalonej skórze, pozostawiający po sobie orzeźwiający wspomnienie.

– Panie Adamie, zastanawiał się pan wielokrotnie, co ukrywa się pod maskami, zakładanymi przez nas codziennie, co drzemie pod powierzchnią tysięcy kontekstów i wyuczonych sytuacji, sposobów zachowania.

Wiem, że nie daje panu spać myśl o tym, jaki naprawdę jest człowiek, co drzemie na dnie pańskiego ducha i wychodzi na zewnątrz, gdy nie zdaje pan sobie z tego sprawy, zajęty prozą codzienności lub odpływający w krainy snu.

Odpowiem na pańskie pytania, wszystkie, dotyczące natury człowieka i świata, przyczyny i celu, tak jak odpowiedziałem pozostałym moim pacjentom.

Nie będzie pan już potrzebować żadnych leków, już nigdy żadnego znieczulenia przed kontaktem ze światem takim, jakim jest naprawdę. Bo pod tym wszystkim, co nas otacza, jest prawdziwy świat.

Adam poczuł się dziwnie lekko, a po chwili stracił czucie w swoim ciele, by zacząć czuć coś innego, coś wzbierającego w najgłębszych zakamarkach jego samego.

Pulsująca ciemność zaczęła się poruszać, aż on sam wzleciał wysoko, nagle, niespodziewanie, ujrzał w całej okazałości kształty bez formy i cienie bez barwy, pojęcia bez nazwy i cuchnące błoto pierwotnego chaosu, gdzie wszyscy wracają wraz z zamknięciem oczu, raz na zawsze.

Skorupa jego ciała zrobiła się zupełnie nieistotna, gdyż oto nowy Adam budził się w swoim wnętrzu, gotowy na przyjęcie nauk doktora Leopolda i na zanieśenie ich potrzebującym. Nieporadnie wstał z kozetki, marionetka, która spojrzała w górę i zobaczyła, gdzie znikają wszystkie jej sznureczki. Stawiał sztywne, zbyt duże kroki, machał ramionami jakby chciał uderzyć niewidocznych przeciwników.

– Dzisiejszą wizytę uznajemy za zakończoną. Do widzenia, panie Adamie. Z tego, co widzę, jeszcze wiele razem osiągniemy.

Adam chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak to zrobić. Kłębził się w sobie, pełne zrozumienie pierwotnych instynktów, kłącze z żyłastego robactwa przelewające się w pustej skorupie. Nie pomylił się wcale, porównując w chwilach rozkosznej, lecz autodestrukcyjnej negacji ludzkości do robactwa. Był grudą wijących się robali, namacalnej ciemności przelewającej się przez żyły jego ludzkiego ciała, ciemności przenoszącej impulsy pomiędzy

komórkami nerwowymi, ciemności łączywie pochłaniającej każdy haust powietrza. Oto jego kawałek wypływał z dawnej lewej dziurki dawnego adamowego nosa, inny przesuwiał się w kierunku oczu, chcąc czym prędzej zastąpić je organem faktycznie widzącym, a nie jedynie patrzącym bez zrozumienia, bo ograniczonym go ludzkiej percepcji.

Bez trudu odnalazł drogę w ciemności do drzwi, wyszedł na korytarz.

– A nie mówiłem, że będzie dużo lepiej?

Przed Adamem stał mały człowieczek we fraku. W wyciągniętych w jego stronę rękach trzymał długą, czarną szatę z obszernym kapturem. Tuż za nim stali pozostali pacjenci doktora Leopolda, milczący i skupieni na kontemplacji ciemności w sobie. Uczący się rozpoznawać samych siebie i być samymi sobą.

rys. Paweł Chmielnicki



LUSTERNIK

Tomasz Krzywik

*Więc za szczęśliwych uznałem umarłych, którzy dawno już zeszli, od żyjących, których
życie jeszcze trwa; (...)*

~ Księga Koheleta

Pana Michała Wydmuchowskiego znaleziono martwego w jego własnym mieszkaniu na Ursynowie. Wcześniej przesiadywał tam, jak zeznał sąsiad, od wielu dni i najwyraźniej ani

myślał wyjść chociażby na klatkę. Nie odpowiadał na pukanie czy dzwonienie do drzwi, zlekceważył nawet policjantów, którzy któreś nocy zjawili się na wezwanie mieszkańców bloku. Zgromadzeni wówczas przed tajemniczym mieszkaniem ludzie twierdzili, że niepokoją ich dobywające się ze środka odgłosy, nasuwające skojarzenia z jakimiś rytualnymi zaśpiewami, a także inne ohydne dźwięki, jakie nawet strach wspominać. Funkcjonariusze jednak nie byli w stanie nic zrobić: żeby wejść siłą do cudzego domu, potrzebowali specjalnego zezwolenia, którego wówczas nie posiadali. Pozostawali więc bezradni, niemniej trzeba zaznaczyć, że już sama ich obecność okazała się niezwykle pomocna w późniejszym dochodzeniu; potwierdzili oni bowiem rewelacje, jakoby z mieszkania pana Michała dobiegały niepokojące odgłosy. Znamienne, że policjanci nie potrafili określić ich natury, gdyż – wedle raportu – brzmiały one jak „od dawna zapomniany język”, co sprawiło, że nad sprawą zawisło niepokojące widmo oniryzmu.

Wreszcie któregoś pochmurnego poranka przed blok przyjechało kilka radiowozów. Wsiadła z nich grupa uzbrojonych funkcjonariuszy, która wtargnęła do mieszkania Wydmuchowskiego siłą.

I tutaj opowieść zaczyna tracić spójność.

Nie do końca wiadomo, co znaleziono w środku, natomiast faktem pozostaje, że kilka osób biorących udział w akcji podupało na zdrowiu psychicznym i w ostatecznym rozrachunku zaistniała konieczność hospitalizacji nieszczęśników. Ponadto krążą plotki o tym, że otworzono ogień, choć nie było słycać strzałów, a jedynymi zwłokami wywożonymi przez karetkę było ciało nieszczęsnego lokatora. Kto i do kogo miałby więc strzelać? I przede wszystkim – dlaczego? Sekcja zwłok wykazała, że mózg pana Wydmuchowskiego przeszła tylko jedna kula: ta, którą sam umieścił w swojej głowie, pociągając za spust nielegalnie zdobytego pistoletu.

Samo mieszkanie do dzisiaj jest zamknięte i właściciel budynku z determinacją broni wszelkiego dostępu do niego. Ostatnie lokum pana Wydmuchowskiego zostało wymazane z jakichkolwiek rejestrów i bardzo prawdopodobne, że do dzisiaj nikt tam nie postawił nogi. Jediną wskazówką, co mogło się dzieć z tamtym biednym człowiekiem, jest pewien zapis dźwiękowy, który funkcjonariusze znaleźli w jego mieszkaniu. Nie chcę zdradzać, jak wszedłem w posiadanie tego nagrania; to nieistotne. Odgrywałem je już wiele razy i wciąż zastanawiam się, czy słuchanie owej gorączkowej relacji nie wpłynęło jakoś negatywnie na mój umysł; tyleż bowiem w niej szaleństwa i hysterii, że po jakimś czasie człowiek zaczyna wierzyć...

Zresztą, sami posłuchajcie. Pewne dźwięki mogą wydawać się niewyraźne, w końcu na swoim własnym nagraniu puszczałam czyjeś, ale myślę, że sens tej całej dziwnej opowieści nikomu nie umknie. Nie chcę, nie potrafię tego zachować dla siebie... Choć wciąż dręczy mnie niejasne przeczucie, że powinienem. Może więc po prostu to puszczać.

...zywam się Michał Wydmuchowski, mam czterdzieści dwa lata i nie wiem, od czego zacząć. Siedzę teraz w swoim ulubionym fotelu, patrzę w czerwone oko dyktafonu i przerzucam pistolet z dłoni do dłoni. Być może powinienem już dawno temu strzelić sobie w głowę, ale żadną miarą nie potrafię tego dokonać. Wciąż jestem uwięziony na tej strasznej smyczy, którą sam sobie narzuciłem. Zresztą, jakie tam narzuciłem! Noszę ją od zawsze, od urodzenia; od momentu, kiedy pierwszym krzykiem oznajmiłem światu swoją przynależność do rasy ludzkiej, a co się z tym wiąże – stałem się jednym z głównych elementów spisku przeciwko tejże rasie.

Osoba, która będzie odsłuchiwać to nagranie, pomyśli sobie zapewne: „O Boże, wariat. Wariat filozof!”. I chciałbym to móc zbagatelizować, gdybym nie czuł, że doskonale pasuję do tego opisu. Dlatego pozwolę sobie kontynuować: takie mało ustępstwo na minuty przed tym, jak strzelę sobie w głowę i zabryzgam tę ohydnie pokolorowaną ścianę.

Otóż mówiąc o spisku przeciwko rasie ludzkiej, muszę zaznaczyć, że sam aż nadto zdaję sobie sprawę z tego, że może brzmieć niewiarygodnie czy nawet – pretensjonalnie. Niemniej nie jestem w stanie myśleć w inny sposób po tym, co mnie spotkało.

Wszystko zaczęło się dwudziestego trzeciego lipca tego roku. Było już późne popołudnie, jedno z tych, w trakcie których przez Warszawę przetacza się fala upałów, a nad rozgrzаныmi drogami i chodnikami unoszą się drgające miraże. Już wtedy, wracając z pracy i kierując się w kierunku metra, powinienem coś zauważyć. Ludzi było mniej niż zwykle o tej porze, lecz tłumaczyłem to sobie nieznośnie wysoką temperaturą i brakiem chociażby najłżejszego powiewu wiatru. Zaniepokoił mnie tylko obraz, jaki zastałem na ulicy Chmielnej – wydawała się całkiem opuszczona. Kamienice, ciągnące się długim szeregiem, pochylały się lekko ku sobie, to znów odchylały, oszukując mój umysł i błędnik. Obarczyłem winą za to zjawisko powietrze, które przecież nagrzane falowało niespokojnie, jak morze podczas przyływu...

Przyływu. PRZY-PLY-WU.

Słowo klucz...

Pamiętam, że ciągle przecierałem spocone czoło i ulegałem złudzeniom fonetycznym: gwar sąsiednich ulic stawał się coraz bardziej odległy, jakby przytłumiony przez niewidzialne

ściany. Dręczyło mnie pragnienie, ale i tak dążyłem bocznymi uliczkami, byle szybciej zdążyć do zbawiennego chłodu tuneli warszawskiego metra. Miałem nawet ochotę kupić wodę, ale z jakiegoś powodu wszystkie witryny świeciły pustkami, a sklepy zamknięto na cztery spusty. Jakby cała ulica nagle postanowiła się gdzieś wynieść.

Szczególnie zapadł mi w pamięć jeden plakat; nawet nie wiem czemu, nie wyróżniał się na tle innych śmieci szpecących ściany kamienic. Pstrokate kolory, tandetna forma... I tylko ten napis: „ZAMKNIĘTE DO PRZYWOŁANIA”.

Dokładnie tak: nie „odwołania”, ale „przywołania”. Ten głupi błąd, nie wiedzieć czemu, zasiał w moim sercu niepokój, którego ziarno zaczęło kiełkować w zatrważającym tempie. Przyspieszyłem kroku, chcąc jak najszybciej opuścić to nagle złowieszcze gardło ulicy.

Ludzi jakby ubywało: widziałem ich ciągle na krawędzi wzroku, widziałem jak wchodzą za rogi budynków, ale wydawali się odlegli, jakby nieobecni; odniosłem wrażenie, że celowo mnie unikają. Spojrzałem po sobie, sądząc, że być może ubrudziłem się, ale nic podobnego: mój garnitur prezentował się nienagannie, choć marynarkę dla wygody przerzuciłem przez ramię.

W tak dziwnej atmosferze dotarłem wreszcie do płyty przed zejściem na stację metra „Centrum”. Tutaj tłum był nieco większy, ale podejrzanie milczący... Zauważyłem, że mam problem z rozpoznaniem twarzy; wszystkie wydawały się podobne, dziwnie znajome, wszelako nie potrafiłem zapamiętać żadnej z nich. Na uczucie, które wówczas mnie ogarnęło, znajduję tylko jedno słowo: oniryzm.

Dziwnie bowiem było tak stać na rozgrzanym powietrzu, w otoczeniu milczących twarzy bez wyrazu. Spoglądać na falujący w upale cyklopowy Pałac Kultury, którego sylwetka drgała w konturach, jakby nagle przykryta folią.

Ale nawet wtedy tłumaczyłem to sobie gorącem – liczyłem, że owe dziwne uczucie zniknie, gdy tylko uderzy mnie powiew chłodnego powietrza, bijący z ciągnących się pod stolicą tuneli kolei podziemnej, dlatego też czym prędzej udałem się w kierunku schodów.

Stacja była pusta, jeśli nie liczyć jednego człowieka, najpewniej arabskiego pochodzenia, który siedział skulony pod ścianą i bełkotał coś do siebie w swoim języku. Głowę miał nisko pochyloną, a twarz schowaną w cieniu narzuconego na głowę kaptura. Nie budził zaufania, wręcz przeciwnie: ominąłem go szerokim łukiem, zwłaszcza mając w pamięci ostatnie napięcia w Europie. A mimo to usłyszałem jego głos: cichy, gorączkowy, podniecony, może nawet nieco fanatyczny. Nie zrozumiałem tej mowy, jego słowa układały się w odpychający galimatias, który pojąć mógł chyba tylko inny Arab...

A jednak pamiętam. Siedzę w tym przeklętym mieszkaniu, słyszę Lusternika i słyszę tę złowieszczą mantrę:

– M'urat Alrrajul! M'urat Alrrajul!

Oddaliłem się od Araba czym prędzej, w myślach mimowolnie wzywając imię Boga.

Metro przyjechało wkrótce, ale zamiast chłodnego powiewu pchało przed sobą falę rozgrzanego powietrza, które wypełniło całą swoją rozedrganą obecnością komorę stacji. Zafalowały przykryte przyplywem kształty, poruszyły się kontury, a ja coraz bardziej gorączkowo modliłem się o kufel zimnego piwa, który zamierzałem wychylić, gdy tylko dojadę do swojego mieszkania na Ursynowie.

Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że być może wtedy, na peronie, miałem jeszcze ostatnią szansę, żeby się wycofać. Do dziś zachodzę w głowę, jak mógł mi umknąć tak oczywisty fakt, którego istnienie uświadomiłem sobie dopiero wtedy, gdy było za późno.

Otóż metro wsunęło się na stację całkiem b e z z e l e s t n i e.

Nie pamiętam co dokładnie działo się dalej, w trakcie podróży; pamiętam tylko, że wyjąwszy smartfona, zagłębiłem się w odmętach internetu, do reszty tracąc poczucie otaczającej mnie rzeczywistości.

Być może przytłaczające mnie teraz poczucie beznadziei i marności własnego życia osłabia moją pamięć, ale faktem jest, iż nie potrafię powiedzieć, ile trwała owa fatalna w skutkach podróż metrem. Wydaje mi się, że całkiem długo, a na pewno dłużej, niż powinna zajmować zwykła podróż między stacjami. Z pewnego odrętwienia wyrwał mnie dopiero głos – nie pamiętam, czy był męski czy żeński – który oznajmił, że dojechaliśmy na stację „Plac Konstytucji” i że na tej właśnie stacji pociąg zakończy swój bieg.

Właśnie wtedy uderzyło mnie pewne zakłócenie rzeczywistości, pewna aberracja: nie przypominałem sobie bowiem, żeby w stołecznym metrze kiedykolwiek istniała stacja o takiej nazwie. Spojrzałem nawet na plan metra, lecz informacje na nim zawarte potwierdzały tylko komunikat maszynisty.

Ciężko mi teraz oddać konsternację, jaka mnie wtedy ogarnęła – po prostu wysiadłem z ogarniętego duchotą wagonu i stanąłem na peronie „Placu Konstytucji”. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, w swojej konstrukcji nasuwał skojarzenia ze stacją „Politechnika”. Chłodna marmurowa posadzka, zamknięta u góry szarym, pozbawionym charakteru sufitem. I tylko tyle stamtąd zapamiętałem. Choć mam wrażenie, że szczegółów było znacznie więcej, to sytuacja z nimi miała się i ma nadal podobnie jak z tamtymi ludźmi, których spotkałem na płycie metra „Centrum”; to jest, nie potrafię w żaden sposób przypomnieć sobie jakichkolwiek detali czy cech szczególnych.

Ogarnięty dojmującym poczuciem nierealności ruszyłem w kierunku prowadzących na powierzchnię schodów. Wchodząc po nich, starałem się nie zwracać uwagi na to, że ich marmurowe stopnie zdają się roztopiać pod moimi butami... A także na to, że prowadzą na ulicę Smolistą.

Spróbujcie znaleźć na mapie Warszawy ulicę Smolistą...

Wyszedłem na powierzchnię i wtedy nabrałem pewności, że stało się coś strasznego.

Były ich dziesiątki, jeśli nie setki. Otoczone mirażami pięły się wysoko w górę, odbijając tysiącem lustrzanych okien światło popołudniowego słońca. Falując na rozgrzanym powietrzu, zdawały się być żywymi bytami. I choć wiedziałem, że są to tylko konstrukcje, to jednak nie mogłem oderwać oczu lśniących linii biurowców.

Być może właśnie przez to zapatrzenie, dałem się podejść niskiemu człowieczkowi w garniturze. Zaszedł mnie od tyłu i zwrócił na siebie uwagę dopiero cichym chrząknięciem.

Prawie umarłem wówczas ze strachu!

Musiałem go speszyć, bo zaczął przeproszać, ale powiedziałem mu, że nie ma za co: nie mogłem go przecież winić za coś, co de facto wynikało z mojej winy. Poza tym wyglądał na mocno zestresowanego, bo ciągle rozglądał się nerwowo, przebierał nogami, jakby gdzieś się śpieszył, a także jękał się. Jękał! Zaskakujące, że tę jedną rzecz zapamiętałem aż nadto wyraźnie z tamtego strasznego dnia. Być może dlatego, że przez pryzmat tej wady zauważyłem jego nerwowość.

Nie przypominam sobie, żebyśmy się sobie przedstawili, a co się z tym wiąże – nie usłyszałem jego imienia. Zamiast tego zadałem pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy: „Co to za dzielnica?”

O dziwo, to pytanie zdenerwowało go jeszcze bardziej. Przetarł rękawem spocone czoło.

– Przecież umawiał się pan na rozmowę o pracę, mam rację? – spytał, rozglądając się nerwowo. – A skoro tak, to na pewno panu podali konkretny adres, na pewno sprawdził pan to wszystko na mapie...

Zaoponowałem, twierdząc, że nie, wręcz przeciwnie – pracę mam i z nikim się tutaj nie umawiałem. Interesuje mnie tylko konkretnie położenie tej dzielnicy, bo przecież nigdy tu nie byłem, zresztą nie zamierzam tu zostawać na długo. Ale mego rozmówcy to nie interesowało, wręcz przeciwnie! Powiedział, że skoro tu jestem, to znaczy, że byłem umówiony. Dodał także, że jest rozczarowany moją postawą wobec zespołu i że na pewno jestem już spóźniony. Próbowałem się dowiedzieć czegoś więcej, ale powiedział, że nie ma na to czasu: ma masę

celów do zrealizowania, gonią go terminy i jeśli będzie dalej marnował czas na rozmowę, to straci premię.

Widząc, że otwieram usta, prychnął ze zniecierpliwieniem i ominął mnie w pośpiechu, by wkrótce zniknąć w jednym z tych lustrzanych biurowców. Przez chwilę czułem straszną ochotę, by pójść za nim, ale powstrzymał mnie zdrowy rozsądek, którego resztki wciąż jeszcze wtedy zachowałem. Zamiast tego odwróciłem się i ruszyłem czym prędzej w kierunku zejścia do metra. Złe miejsce, myślałem wówczas, trafiłem w złe miejsce.

Wciąż pamiętam tamtą gonitwę myśli. Nigdy nie byłem osobą pojętną w dziedzinie fizyki, ale wpadła mi swego czasu w dłonie książka niejakiego Tomasza Lebańskiego o aberracjach – osobliwych zjawiskach polegających na zakłócaniu normalnego przebiegu rzeczywistości, zgodnie z jej prawidłami. Nie rozumiałem z niej niewiele ponad to, że są na świecie takie miejsca, na oko niczym się nie wyróżniające, w których tworzyły się dziwne zakłócenia, pewnego rodzaju „bąble” rzeczywistości – inne wymiary, ewentualnie „poszerzone” wersje naszego świata. Zaznaczę, że nigdy nie traktowałem tej książki poważnie i wciąż uważam ją za stek bzdur, ale w tamtej chwili tezy w niej zawarte wydawały się przerażająco prawdziwe. Uznałem jednak, że być może, jeśli znowu zejść do metra i pojedę na właściwą stację, wszystko wróci do normy. A może nawet wystarczy się napić zwykłej zimnej wody?

Zmierzając z powrotem w kierunku zejścia do podziemi, czułem, że ogarnia mnie panika. Czułem, że musiałem gdzieś zablądzić; trafić w niewłaściwe miejsce, które uruchomiło mechanizm pułapki horroru. Nie podobała mi się ta nieskończenie wielka dzielnica biurowców – odbijane przez nie światło sprawiało, że nijak nie mogłem zajrzeć do środka, co nasuwało nieprzyjemne skojarzenia z jakimiś organicznymi bytami. Porównanie na pierwszy rzut oka nonsensowne, ale proszę mi wierzyć, że takie wrażenie sprawiały. Przez te wszystkie miraże i złudzenia ruchu wywierały niesamowite wrażenie organizmów, w których trzewiach pracują organy w postaci ludzi. Nawet tamten nerwowy człowieczek, pracownik – podążając za swoimi celami, dał się pochłonąć tej strasznej lustrzanej budowli, stając się integralną częścią jej ohydneho organizmu. Mógłbym pewnie zbadać te lustrzane budynki metodą organoleptyczną, wszelako napawały mnie obrzydzeniem do tego stopnia, że starałem się unikać niepotrzebnego zbliżenia do nich za wszelką cenę.

Już na schodach wpadłem na kobietę.

Wyglądała na typową businesswoman – zgrabna, ubrana w ciasno opięte, ale jednak eleganckie ubranie, eksponujące długie nogi. Ramieniem przyciskała telefon do ucha,

a w dłoniach ścisnęła plik kartek, który rozsypał się na wszystkie strony w momencie zderzenia.

- Boże! – krzyknęła i rzuciła się, żeby zebrać porozrzucone arkusze. – To pan nie w pracy?

Nie wiedzieć czemu, ale od razu zrozumiałem, że nie chodzi jej o firmę, w której faktycznie pracowałem, lecz o tę samą, o której mówił mi ów dziwny mały człowieczek. Zaprzeczyłem, twierdząc, że nie pracuję tutaj, tylko niedaleko ulicy Chmielnej, co jednak skwitowała z pobłażliwym uśmiechem.

– Tak, tak, oczywiście na Chmielnej... a na Smolistej znalazł się pan przez przypadek? Proszę nie odpowiadać, widzę, że będzie się pan zapierał. Nic dziwnego, pierwszy raz pana widzę, pewnie konkurencja albo inny dział. Nie? No, proszę! Pan naprawdę ma mnie za głupią! Co, może jeszcze myśli pan, że wyrobi się przed dedlajnem i zgarnie moją premię? Niedoczekanie! Proszę pana, ja już jestem zbyt wysoko na tej drabince, żeby mógł mnie ktoś taki jak pan z niej zrzucić... A zresztą, jeśli dalej będzie pan tak unikał pracy – a przypominam panu, że podpisał pan przecież umowę o horror – to zajmie się panem Lusternik. A tego, by pan oczywiście nie chciał. Dlatego proszę mi teraz wybaczyć, ale nie zamierzam tracić czasu. Muszę iść walczyć o awans.

To powiedziawszy, minęła mnie, zostawiając samego.

Co ona powiedziała: „umowę o horror”?

Mając przeświadczenie o konieczności jak najszybszego opuszczenia tego strasznego miejsca, szedłem na stację „Plac Konstytucji”.

Od razu zauważyłem zmianę: peron wyglądał na znacznie starszy niż wtedy, kiedy stąd wychodziłem. Marmur przykrywał teraz kurz, a sufit wydawał się tuszycić – jakkolwiek kuriozalnie by to nie brzmiało.

Przyływ, pomyślałem, nie wiedzieć czemu, przyływ się kończy...

Spojrzałem na tablicę pokazującą czas do przyjazdu najbliższego składu, ale wcale się nie zdziwiłem, gdy dostrzegłem, że jest wyłączona.

To znaczy nie, nie była wyłączona. Kogo ja oszukuję, siebie? Przecież wyraźnie widziałem w miejscu, gdzie powinno widnieć odliczanie, napis: PAN WYDMUCHOWSKI Z DZIAŁU PR PILNIE PROSZONY O POWRÓT DO PRACY. ZAWIEDZIE PAN ZESPÓŁ I SIEBIE.

Nie, cholera, nie zamierzałem wracać do żadnej pracy, a już na pewno nie do tych ohydnych lustrzanych biurowców. Byłem na tyle przywiedziony do desperacji, że zbliżyłem się

do krawędzi peronu, by zeskoczyć na tory i próbować ucieczki tunelem. I wówczas usłyszałem...

Straszliwy głos, brzęący jak tysiąc tłuczonych luster, których odłamki klują serce swoim nienawistnym dźwiękiem i sieją w umyśle obłęd. Nawet teraz, będąc już w domu, nie jestem w stanie wyrzucić go ze swojej głowy; to dlatego siedzę obecnie z pistoletem w ręku, mówię coraz bardziej roztrzęsionym głosem, w głębi ducha mając nadzieję, że nie zabraknie mi odwagi w ostatecznym momencie.

– PROSZĘ NATYCHMIAST WRACAĆ NA STANOWISKO!

Odwrociłem się w miejscu i spostrzegłem owego Araba, którego twarz wcześniej krył cień kaptura. Teraz zsunął nakrycie głowy, ukazując swoje oblicze, a to, co ujrzałem, na zawsze nadszarpięło moje zdrowie psychiczne.

Nie miał oczu, nosa czy chociażby ust; zamiast tego jego głowę zdobiła plugawa mozaika błyszczących w półmroku fragmentów lustra. Pochylał się nisko, w podobny małym sposob i podpierał na nienaturalnie długich rękach.

– PRZECIEŻ MUSI PAN OSIĄGNAĆ SUKCES – krzyknął do mnie, kalecząc mój słuch. – PRACA, PŁACA, MIESZKANIE, AUTO, PRACA.

Lusternik, pomyślałem, karykaturalny twór ulicy Smolistej...

Umowa o horror. Przyplływ.

Nie pamiętam, jak znalazłem się w tunelu, biegnąc przed siebie na oślep. Jak w akcie desperacji ciągnąłem przed siebie, czując, że otaczający mnie korytarz warszawskiego metra faluje i rusza się, w przykry sposób nasuwając skojarzenia z trzewiami żywego organizmu. Bałem się – ale jeszcze bardziej bałem się tego strasznego stworzenia, które puściło się za mną w pościg.

W którymś momencie poczułem, że towarzyszące mi od południa uczucie duchoty i nierealności ucina się; wypadłem na zalany zimnym światłem peron metra „Politechnika”...

Potem mówili mi, że miałem dużo szczęścia. Jakimś cudem przebiegłem długość tunelu na trasie Centrum-Politechnika i nie wpadłem pod żaden z przejeżdżających składów. Byłem zlany potem i wyglądałem jak wariat, rozglądając się wkoło rozgorączkowanym spojrzeniem.

A przecież ja wciąż ich widziałem: dziesiątki lusterników zgromadzonych na peronie. Wszyscy eleganccy, w garniturach, wracający z pracy. Ludzie sukcesu nie zdający sobie

sprawę z tego, że są niewiele więcej jak byłem wykorzystywanym przez spiskujących przeciwko nim właściciele owych strasznych, organicznych biurowców...

Boże, co się ze mną dzieje... Po co ja mówię te bzdury?

Nie chcę przytaczać tego, co się działo potem: wystarczy powiedzieć, że minęło dojmujące poczucie oniryzmu, dźwięki znowu słyszałem wyraźnie, a nie – jak wcześniej – w przytłumiony sposób. Nie chcę mówić o tym, jak zostałem zabrany na komendę, gdzie pokazano mi nagranie, na którym widać było, jak zeskakuję z peronu stacji „Centrum” i wbiegam do tunelu, by jakiś czas później wybiec na „Politechnice”. „Plac Konstytucji”? Nie, nikt o takiej stacji nie słyszał. Owszem, były plany budowy, ale zaniechano ich ze względu na koszty. Smolista? Przecież taka ulica nie istnieje!

W tym wszystkim najbardziej dziwię się, że wypuszczono mnie do domu bez żadnych konsekwencji. Funkcjonariusze uznali za genezę mego dziwnego zachowania przemęczenie pracą – wystarczyło parę telefonów, żeby potwierdzić fakt, iż od dwóch miesięcy wyrabiałem w firmie nadgodziny.

Głupcy...

Siedzę teraz w domu. Za oknem robi się coraz ciemniej, a ja wciąż czuję, jak rzeczywistość za oknem faluje w letnim upale. I choć od kilku dni nie doświadczyłem tamtego onirycznego uczucia, to wiem, że to pozorne poczucie bezpieczeństwa.

Lebański pisał o aberracjach jako punktach; osobiście sądzę, że owe zakłócenia mogą się przemieszczać, a ja tamtego popołudnia trafiłem akurat na „przyptyw”. Znalazłem się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie, wpadając w pułapkę innej rzeczywistości... Chociaż, czy ja wiem? Zaraz takiej innej?

Wtedy, na ulicy Smolistej, wpadłem w panikę. Znalazłszy się w innym miejscu i innym czasie, tak bardzo skupiłem się na dziwności tamtego miejsca, na jego obcości, że nie zauważyłem, że... Tak naprawdę byłem w rzeczywistości dobrze mi znanej. I to mnie przeraża.

Zastanawiam się bowiem, na ile rasa ludzka dokonała rzeczywiście postępu w dziedzinach innych niż techniczne. Mentalnie bowiem wciąż jesteśmy w przynajmniej części uwięzieni gdzieś w okolicach stosunków feudalnych. Kiedyś chłop był przywiązany do ziemi; dzisiaj człowiek jest przywiązany do pracy, bez której skazany jest na degradację. Mimo fałszywie propagowanego antropocentryzmu prosty człowiek nie jest najważniejszy, wręcz przeciwnie: jest tylko elementem funkcjonującego systemu gospodarczego. Socjaliści chcieli z ludzkości uczynić szarą masę; kapitaliści jeszcze gorzej – pod pretekstem wolności rynku zamieniali człowieka w kolejny trybik monstrualnej machinerii zarabiania, pozbawiając homo sapiens jakiegokolwiek tożsamości.

Dzisiaj zaś, uwięzieni w rozrastającym się molochu korporacji, znowu tracimy tożsamość i wyjątkowość; ginie człowiek w natłoku jego własnych idei, nie zdając sobie sprawy z tego, że otaczająca go rzeczywistość jest ukryta za sprawnie uszytą zasłoną własnego postrzegania.

Kończę już. Znowu słyszę ten głos, tą mantrę: „M’urat Alrrajul! M’urat Alrrajul!”. Wiem, że tu jest, że mnie pilnuje, czekając, aż wrócę do pracy. Ale nie zamierzam się poddawać – wciąż pozostaje mi rozwiązanie ostateczne. Lusternik powtarza mi, że nawet jeśli stąd ucieknę, to nigdy mu nie ucieknę. I choć nie wierzę mu, nie chcę wierzyć, to jednak wciąż, za każdym razem kiedy zasypiam, widzę je: skąpane w blasku ginącego słońca szeregi ponurych, lustrzanych biurowców. I napis „ODWOŁANE DO PRZYWOŁANIA”.

Boże, mam nadzieję, że w dobie antropocentryzmu wciąż jesteś w stanie przygarnąć tych, którzy zblądzili.

(strzał)

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

STEPHEN
KING



Prószyński i S-ka

M.R. CAREY

NAJBARDZIEJ ZASKAKUJĄCY THRILLER TEGO ROKU

PANDORA



VOGUE

HARPER'S BAZAAR



GRAHAM
MASTERTON



POTOMEK

Replika

WSTĘP: STEFAN DĄBDA
KACPER KOTULAK
PAULINA J. KRÓL
MAGDALENA DĄBROWSKA
JULIA SZCZEPANOWICZ
MAGDALENA SZYCHLA

A czy Ty lubisz się bać?

E-BOOKI NAWET DO 40% TANIEJ

Promocja ważna do: 28.07.2016

POKŁOSIS

Krwawy tydzień tylko z

woblink.com

MICHAEL
CRICHTON

ROBERT KIRKMAN PRZEDSTAWIA

THE WALKING DEAD
ŻYWE TRUPY

JAY BONANSINGA

SCN

Przegląd
Końca Świata

BLACKOUT

Znakomite dopełnienie dziennikarskiego dreszczowca zombie z przerażająco wiarygodną konkluzją. Blackout dał radę!
— JAKUB CWIĘK

MIRA GRANT

SCN

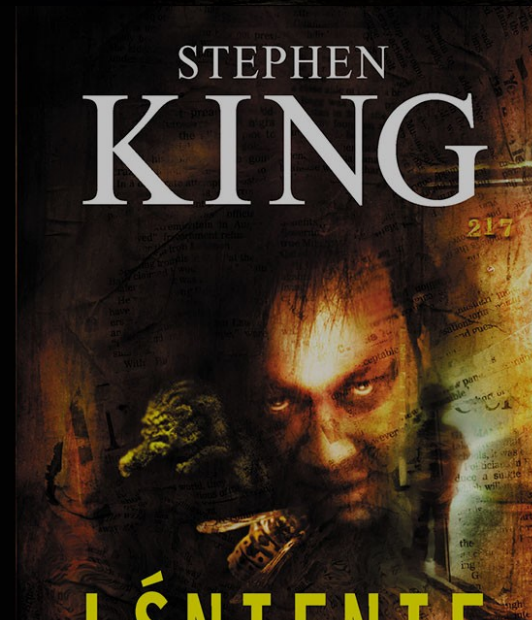
DEAN
KOONTZ



SZEPTY

Replika

STEPHEN
KING



LŚNIENIE

Prószyński i S-ka



MARTWY MĘŻCZYZNA STOJĄCY NAD RZEKĄ

Karol Zdechlik

Poza naszym hotelem, który niegdyś był więzieniem, a zanim przerobiono go na hotel, przejściowo spełniał jeszcze rolę akademika, rozciąga się szeroki świat. Dlatego tu zamieszkałem, bo bardzo chciałem o nim zapomnieć. Nie mogłem o nim zapomnieć dzięki licznym historiom docierającym z Miasta lub przywożonym przez kolejnych gości.

Hotel był nie tylko hotelem, ledwo utrzymującym się z opłat wnoszonych przez stale zmniejszającą się liczbę gości, lecz stanowił też przystań dla tych, którzy z tylko sobie znanych powodów zatrzymali się tu na stałe. Stali lokatorzy snuli się po korytarzach, niektórzy

przesiadali w oknach, jakby nie mogli do końca pogodzić się z myślą, że świat za brudnymi szybami głęboko osadzonymi w drewnianych, zbutwiałych ramach jest miejscem wyjąłowanym i nie mającym niczego do zaoferowania. Nie wszyscy z nich tak myśleli. Część z nich zadowalała się hedonizmem; wśród szminki, alkoholu i mocniejszych używek starała się zapomnieć o własnych rozczarowaniach.

Pokoje były umiejscowione tylko od strony północnej budynku, korytarze wiodły przy ścianie południowej przez całą długość każdego piętra – przy ścianach wschodniej i zachodniej znajdowały się klatki schodowe wraz z od dawna nie działającymi windami. W pokojach nie było okien, zajmujący je rozbitkowie, zmierzający znikąd donikąd, nie mieli dostępu do naturalnego światła. Przypadkowi turyści nie raz awanturowali się o to, stałym mieszkańcom nie robiło to jednak różnicy.

Parter opierał się o stary market spożywczy. Sklep został przejęty przez innego właściciela – mieszkającego wśród nas – i uruchomiony ponownie. Wśród długich rzędów pustych, białych półek, wyłączonych lodówek, pod bladym światłem jedynej działającej świetlówki, ustawiono stary stół rodem z dawnej więziennej stołówki. Jeśli ktoś ze stałych lokatorów jeszcze pracował, mozolnie docierał do Miasta, a potem wracał, by zagrzebać w swojej własnej klitce bez okien, płacił za nieliczne nabyte dobra, jak i za swój pobyt. Jeśli nie pracował – nie musiał płacić. Właścicielowi zdawało się to być zupełnie obojętne. Całe dni przesiadywał nieruchomo w recepcji, niewidzącym wzrokiem wpatrzony w jeden punkt.

Na północ tuż za naszym hotelem, u podnóża urwiska, rozciągało się wielkie, spienione morze. Nie było plaży, tylko rumowisko czarnych kamieni bezlitośnie chłostanych przez lodową wodę. Nad morzem od lat wisiały – zdawałoby się – te same czarne chmury.

Na horyzoncie tkwiło coś niepokojącego. To właśnie przez to nasz wzniesiony z wielkiej płyty, żelbetowy moloch, więzienie, akademik i hotel nie miał okien od strony północnej. Na naszej małej wyspie nie było żadnych dróg prowadzących nad brzeg morza. Jedyna, praktycznie nieuczęszczana ścieżka prowadziła przez lasek skarłowaciałych, powykęcanych sosen nad krawędź urwiska – mało kto jednak, łącznie ze mną, był w stanie patrzeć na horyzont w oddali dłużej niż przez chwilę.

Każdy postrzegał to inaczej. Jedni odczuwali tylko nieokreślony niepokój, inni przechodzili ciężkie chwile dręczeni omami wzrokowymi i słuchowymi. Należałem do tej drugiej grupy. Odczuwałem masochistyczną przyjemność, narażając się na atak paniki mogący skończyć się upadkiem z klifu i roztrzaskaniem się na opalizujących głazach oblewanych przez niespokojne morze. Gdy stałem na krawędzi urwiska zbyt długo, od strony horyzontu docierał do mnie szept. Początkowo bardzo cichy, nie do odróżnienia od dźwięku, jaki wydaje szum wiatru wśród sosnowych gałęzi, następnie narastał stale i nieubłaganie, aż przekształcał się w ciąg jednostajnie

wypowiadanych słów, rozbrzmiewających we wnętrzu mojej głowy okrutnych prawd o otaczającym mnie świecie.

Miasto potraktowało problem morza bardzo poważnie, ale nie potrafiło w żaden sposób go rozwiązać – zamiast tego skutecznie odseparowało się od czarnej kipieli, od złudnie uspokajającego szumu fal, od przenikliwego krzyku nielicznych mew. Miasto nie miało portu, długie kilometry kamienistego wybrzeża pozostały niezagospodarowane. Leżeliśmy na północy kraju, lata były zimne i deszczowe, nie istniał tu zorganizowany ruch turystyczny.

Stojąc na urwisku z odsłoniętą głową, wolałem patrzeć nie w morze, na płataninę nieznanych świateł i migoczących kształtów przelewających się dokładnie na północ ode mnie, pośrodku równego horyzontu, gdzie czarne wody przechodziły w czarne niebo, lecz na nasz hotel. Wyglądał równie nieładnie, równie przytłaczająco i monumentalnie. Gargantuiczny prostopadłościan, zupełnie czarny, ze strupami schodzącej z niego soli, z wysepkami karłowatej trawy rosnącej w powiększających się nieubłagane wyrwach w kolejnych warstwach żelbetu, wyżartych przez wiatr i wodę – sprawiał wrażenie konstrukcji wzniesionej przez obcą cywilizację, w jego wielkości i umiejscowieniu na osamotnionej wyspie było coś demonicznego, tak jak i w braku okien. Budził niepokój samym swoim rozmiarem, wyjątkowo nie pasował do otaczającego go odludzia.

Wiele historii przyniesionych z Miasta dotyczyło naszego hotelu. Wszystkie z nich, co do jednej, były nieprawdziwe i stanowiły oczywiste potwierdzenie bardzo starej i wielokrotnie sprawdzonej tezy, że to co obce bądź świadomie wyobcowane prowokuje ludzki umysł do snucia niestworzonych bajeń na swój temat.

Mieliśmy też nasze własne historie, przyniesione przez uciekinierów z Miasta, lub pozbierane od najstarszych stażem lokatorów przez samozwańczych kronikarzy obiektu. Mieliśmy nasz własny folklor, pełen strachu i beznadziei, które kierowały krokami kolejnych przybyszy w to odludne miejsce. Czasem dorzucali się do niego przypadkowi podróżni.

Słyszałem historie, powtarzane po cichu na opustoszałej stołówce, że w budynku znajduje się ukryty pokój z oknem na stronę północną. Historia nie wyjaśniała, co byłoby niezwykle w istnieniu takiego pokoju – w domyśle za niezwykłość miała odpowiadać jakakolwiek różnica od pozostałych pomieszczeń. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby takie pomieszczenie faktycznie istniało, jednak podczas moich nocnych wędrówek na skraj urwiska nigdy nie widziałem, by palące się światło zdradziło położenie tego ukrytego pokoju. Nawet jeśli ktoś miałby obserwować mnie skryty w ciemności – nie obesłoby mnie to.

Za Miastem znajdowała się ogromna kopalnia odkrywkowa, niegdyś główne źródło utrzymania dla Miasta, obecnie porzucone w pośpiechu i pozostawione na pastwę mściwej natury. Pośród wszystkich niesamowitych tajemnic Miasta i jego okolic byli górnicy i operatorzy ciężkiego

sprzętu przynieśli do hotelu jedną z tych historii, których prawdziwość jest dla mnie możliwa do zaakceptowania, mimo że świadomość tej prawdziwości wiele innych rzeczy, które miałem za pewnik, czyni mało prawdopodobnymi. Nie miałem nigdy okazji potwierdzić jej swoim własnym doświadczeniem, jednak stojąc na szczycie klifu doświadczałem czegoś podobnego. Oficjalna historia zamknięcia kopalni mówiła o pelzającej katastrofie ekologicznej. Tyle że w mieście nikt nigdy nie przejmował się ochroną środowiska, a obiekt został zamknięty z dnia na dzień, bez wcześniejszych zapowiedzi.

Pan Zbigniew, wywożący gruz ogromną machiną o kołach sięgających nieba, codziennie przebywał tę samą drogę w głąb odkrywki. Jeździł ostrożnie, uważając na zakręty. Droga wiła się spiralnie wzdłuż ścian kopalni, aż na samo dno, gdzie w blasku sztucznych, białych światel emitowanych przez ogromne reflektory usadowione na strzelistych stelażach – ściany odkrywki były tak wysokie, że na dno nie docierało światło słoneczne – gigantyczne koparki rozpostarte w pajęczej sieci piętrowych taśmociągów wielkości drapaczy chmur dzień i noc wydobywały czarną, pulsującą ziemię, najeżoną geodami i druzami ametystów, jak i pojedynczymi odłamkami tego minerału. Otwierały podziemne korytarze naturalnych jaskiń, wiodące znikąd donikąd i cuchnące stęchlizną tysiącleci.

Pan Zbigniew zbladł, gdy opowiadał nam tę historię – skupionym na półpiętrze klatki schodowej „A”, stałym mieszkańcom kilku kondygnacji hotelu.

Zaczęło się niewinnie, było to odczuwane jak lekki powiew wiatru, wyraźnie wiejący ze środka nieludzko ogromnej spirali wykopanej za pomocą ludzkiej technologii, z wnętrza pieczary, najprędzej niewyobrażalnie wielkiej, ametystowej geody, do której dokopała się jedna z machin. Z otworu miało trysnąć obce światło, w nieznanym na ziemi kolorze. Gdy opadło pierwsze poruszenie, w idealnej ciszy powstałej po wygaszeniu dziesiątków silników wyrzucających z siebie kłęby czarnego dymu dodatkowo ograniczające dostęp naturalnego światła, wyraźnie zabrzmiał szepczący głos, o sile dodatkowo zwielokrotnionej przez odbijanie się od ścian prowadzącej spiralnie w głąb ziemi kopalni odkrywkowej.

Nie wszyscy mieszkający w hotelu zetknęli się z tym szeptem. Niektórzy trafili do nas ze znacznie bardziej przyziemnych powodów: rozczarowania światem, bliskimi, Miastem, po mniejszych bądź większych życiowych tragediach. Lub z nudów. Nie miało to znaczenia.

Z początku opowieść o martwym mężczyźnie stojącym nad rzeką była jedną z wielu niepokojących nowin przyniesionych z odległych miejsc. Nie wyróżniała się niczym szczególnym pośród historii o zaobserwowanym psie latającym brzuchem do góry czy wronach szczekających

dupami, instynktownie czułem jednak, że było w niej coś więcej. Zapewne wpływ na to miała też bliskość wystąpienia niecodziennego wydarzenia – martwy mężczyzna stojący nad rzeką miał stać tuż nieopodal mostu łączącego z Miastem nasz stojący na wyspie hotel.

Nie dowierzałem więc tym, którzy przynieśli nam historię o martwym mężczyźnie stojącym nad rzeką, dopóki grupka lekkoduchów, jeżdżących stopem po kraju studenciaków, którzy zatrzymali się u nas na weekend, nie postanowiła zabić przytłaczającej nudy i zweryfikować prawdziwości tej opowieści. Wtedy to zmieniłem swoje nastawienie.

Wyszli wieczorem, w wyśmienitych humorach. Zabrali ze sobą kilkanaście butelek rozmaitych alkoholi, z myślą, że niczego nie znajdą, a przy okazji napiją się na świeżym powietrzu, śmiejąc się z obalenia absurdalnej opowiastki.

Pojawienie się czegoś niezwykłego, ale nie aż tak niezwykłego, jak obcość tkwiąca w morzu czy obcość wyzierająca z głębi ziemi, otworzyło furtkę do wyśmiania tego czegoś. Z pewnością poczuliby się lepiej, gdyby ten jeden punkt odniesienia – przekonanie, że martwi mężczyźni nie stoją przy rzekach – udało się potwierdzić.

Obserwowałem, jak wyszli: zwartą grupką, około dziesięciu osób. Szklane butelki pobrzękiwały w plastikowych torbach, księżyc świecił na niebie. Myślałem o tym, kiedy opowieść po raz pierwszy pojawiła się u nas. Musiał przynieść ją któryś z tych, którzy jeszcze wracają z pracy lub którzy po prostu mają jeszcze, skąd wracać. Z racji na to, że niewielka część stałych mieszkańców opuszcza wyspę, o samym hotelu nie wspominając, opowieść musiała wzrastać stopniowo, być przekazywana z ust do ust.

Wtedy jeszcze łudziłem się, że nie została przyniesiona przez kilka nieznających się osób równocześnie.

Stałem i obserwowałem, jak młodzi ludzie w kolorowych kurtkach, dziwnie kontrastujących z wszechobecną szarością otoczenia, oddalają się od hotelu; jak znikają za zakrętem asfaltowej drogi wiodącej w stronę mostu na rzece. Głośno się śmiali, naigrawali się z całej sytuacji, z martwego mężczyzny stojącego nad rzeką. Odgłos brzęczących butelek zapakowanych po kilka w plastikowych torbach stopniowo nikał, zagłuszony przez wiatr narastający wraz z zapadającym zmrokiem.

Wiedzieliśmy, że coś się zmieniło, i że teraz będzie już z górki, ponieważ żadnej z tych dziesięciu osób nigdy nie widzieliśmy już w hotelu.

Myśleliśmy początkowo, że upili się nad rzeką, co samo w sobie było niebezpieczne, gdyż wcale nie była płytka. Założyliśmy, że jak wytrzeźwieją, to wrócą. Po kilku dniach zaczęliśmy się martwić. Gdy pojedyncze osoby poszły nad rzekę ich poszukać, ktoś zajrzał do pokoi

zaginionych.

Okazało się, że zniknęły ich rzeczy.

Najwyraźniej musieli niezauważeni wrócić do hotelu, zapewne którejs nocy, spakować swoje nieliczne manatki i wyprowadzić się. Nie było niczym dziwnym, że będący przejazdem w tych stronach opuścili hotel; zdarzało się, że ktoś ze stałych mieszkańców wyprowadzał się, zazwyczaj po kryjomu i bez zapowiedzi, jednak tym razem nierozzerwalnie związana z tym była przejmująca groza, coś nie dającego się w żaden sposób wyjaśnić; coś równie przerażającego jak szepty z morza i szepty z głębi ziemi, o których codziennie usilnie starałem się zapomnieć, a które jednocześnie były tak bardzo pociągające. Zdałem sobie sprawę, że znad rzeki nadciągało coś równie niepojętego, coś odcinającego nas od miasta.

Spośród tych osób, które poszły nad rzekę poszukać zaginionych, wróciła jedna osoba.

Mężczyzna zataczał się, jęczał, reagował krzykiem na próby uspokojenia lub – ostatecznie – schwytania go, by nie zrobił krzywdy sobie i innym. Miał podarte ubranie, jakby biegł przez las i przedzierał się przez kolczaste krzewy. W jego szeroko rozwartych oczach nie pozostało nic poza najbardziej pierwotnym strachem. Obserwując, jak niewiele człowieczeństwa zostało w jego sylwetce przypominającej zbitego, zdziczałego psa, miałem nadzieję, że nigdy nie będzie mi dane doświadczyć takiego strachu. Nie pozostało w nim nic poza szaleństwem. Mężczyzna posiwał, kilku obserwatorów zarzekło się, że gdy szedł nad rzekę miał czarne włosy.

Chcąc nie chcąc, zamknęliśmy go na klucz w pomieszczeniu na jednym z wyższych pięter, jednym z pięter całkowicie opustoszałych, od lat niezamieszkałych. Zamknęliśmy go przy wyłączonym świetle, żeby mógł spróbować zasnąć. Nie był to dobry pomysł, bo nieludzkie wycie i odgłosy walenia pięściami, nogami i rzucania się na drzwi były słyszane jeszcze kilka pięter niżej.

Mój brat obiecał, że wróci do niego rano i zapali mu światło.

Tak naprawdę całe życie hotelu toczyło się na kilku pierwszych piętrach. Powyżej siódmego nikt się nie zapuszczał, pomieszczeń znajdujących się powyżej piętra piętnastego nie pamiętał nawet obecny właściciel, zakładając, że odwiedził je kiedykolwiek.

Następny dzień przyniósł traumatyczne odkrycie.

Spółeczność mieszkańców hotelu zmniejszyła się o połowę. Jak się okazało, gdy znużony emocjonującymi wydarzeniami, toczącymi się za dnia, położyłem się spać w moim pokoju na czwartym piętrze, spontanicznie zawiązała się koalicja – których trzon stanowiło kilkoro podróżnych – chcąc natychmiast opuścić hotel. Niestety, jedyna droga wiodła obok martwego mężczyzny stojącego obok rzeki.

Kilka osób było w stanie wrócić znad rzeki do swoich pokoi, trzęsącymi się rękami spakować swój nieliczny dobytek i ponownie opuścić hotel, tym razem na zawsze. Sprawiali wrażenie zupełnie nieobecnych, ich oczy stały się podobne oczom namalowanym na główkach lalek, poruszających się tylko razem z głową. Nie reagowali na prośby, groźby i błagania, zderzali się z ludźmi stojącymi im na drodze. Zniknęli za zakrętem, szli jeden za drugim, w całkowitym milczeniu, przygarbieni.

Kilka osób nie wróciło.

Kilka osób wróciło w takim samym stanie jak nieszczęśnik z poprzedniego dnia.

Mój brat przyszedł kilka godzin później. Zemdlał na kamienistym placyku przed hotelem. Podbiegłem do niego, próbowałem ocucić. Bez rezultatu. Razem z kilkoma znajomymi z piętra zanieśliśmy go do jego pokoju. Leżał nieprzytomny. Sprawdziłem – oddychał.

Siedziałem przy nim aż do wieczora. Wpatrywałem się w bladą twarz, którą znałem od tak dawna. Twarz, która zawsze była gdzieś obok. A teraz leżał, zatopiony w obcym świetle. Albo w pustce.

W budynku panowała panika. Słyszałem śmiechy, krzyki, ujadanie. Kakofonię rozmaitych dźwięków, zlanych w jeden. Kogoś zgwałcono. Ktoś wyskoczył przez okno. Kilka osób biło się na korytarzu. Jacyś ludzie biegali po schodach; góra, dół, góra, dół, bez przerwy. Ktoś krzyczał, że postara się naprawić któryś z telefonów, stojących w kabinach po jednej na korytarz. Zapewnienia na nic się zdały, bo linia była nieczynna od dawna. Telefonia komórkowa nie miała tu zasięgu, internet też nie.

Zamknąłem brata na klucz, poszedłem sprawdzić, co stało się z nieszczęśnikiem zamkniętym w dniu poprzednim.

Gdy dotarłem na miejsce, drzwi do pokoju były szeroko otwarte. Korytarz zalewało mdłe, białe światło wylewające się z pomieszczenia. Moją uwagę przykuły drzwi – zostały wyłamane od środka. Zrobiono je – jak zresztą każde drzwi do każdego pokoju w budynku – z kilku warstw płyt paździerzowych, zdeterminowany mężczyzna napędzany paniką nie miał więc trudności z ich wyłamaniami. W całym zamieszaniu nie miałem czasu odwiedzić go wcześniej, teraz tego pożałowałem.

Zaciekawiony, wszedłem do środka. Mężczyzny nigdzie nie było. Tam gdzie siedział, leżał, skakał, widniały świeże pasma wytartego kurzu, zalegającego w pomieszczeniu od tak wielu lat. Otworzyłem starą szafę. Była pusta. Zajrzałem pod proste łóżko, raczej stelaż na materac niż pełnoprawny mebel.

Szeroko rozwarte oczy wpatrywały się we mnie. Zdążyły już stracić swój blask. Przywiodły mi na myśl wytrzeszczone oczy śniętej ryby.

Zgasilem światło, nie zamknąłem za sobą – chociaż prowizorycznie – drzwi.

Wróciłem do brata. Po drodze widziałem skutki paniki. Minąłem martwą kobietę, stratowaną na schodach, pojedyncze krople jej mózgu ciekły po schodach jeszcze piętro niżej. Przez okna na poszczególnych piętrach klatki schodowej widziałem stos rozrzuconych ciał przed budynkiem – samobójców, którzy wyskoczyli przez okna. Jeden nieszczęśnik próbował czołgać się w stronę mostu – najwyraźniej wybrał zbyt niskie piętro.

Mój drogi brat otworzył oczy, ale jego stan nie zmienił się. Leżał bez najmniejszego ruchu, w takiej samej pozycji, w jakiej został położony, z niewidzącym wzrokiem utkwionym w cieniach błędzących po suficie. Oddychał równomiernie. Zrobiło mi się przykro, prawie tak przykro, jak po śmierci rodziców. Niczym większość mieszkańców Miasta pracowali w jednej z setek miejskich fabryk. Gdy upadła, zabrała ze sobą ich marzenia i nadzieje. Ojciec podniósł się na tyle, by znaleźć pracę w kopalni za miastem, matkę dręczyły napady przenikliwego bólu głowy. Gdy pewnego dnia dowiedziała się, że jej mąż a mój ojciec zginął w wypadku, przedawkowała leki przeciwbólowe.

Nigdy nie byłem dobry w okazywaniu emocji. Nigdy nie byłem dobry w odczuwaniu emocji związanych z relacjami międzyludzkimi. Chciałem się tym zasmucić, przejąć, miałem mnóstwo dobrych wspomnień związanych z rodzicami, jednak nie mogłem wykrzesać z siebie prawdziwego, głębokiego smutku. Jakby od świata, od ludzi, od własnych uczuć, emocji, doznań, przeżyć oddzielała mnie gruba, mlecznobiała szyba.

Poszedłem zobaczyć, co robi mój dobry przyjaciel. Jedyne przyjaciel, jakiego tu miałem. To nie tak, że miałem problem z nawiązywaniem relacji międzyludzkich jako takich – po prostu nigdy nie czułem potrzeby nawiązywania owych relacji. Fakt faktem, miałem jednego dobrego przyjaciela, z którym łączyło mnie wiele wspólnych tematów do rozmów i który postrzegał świat podobnie jak ja – zza szyby oddzielającej go od niego.

Zastąpiłem go siedzącego po turecku na – jak zwykle rozgrzebanym – łóżku. Kiwał się w przód i w tył, wydając przy tym monotony jęk.

Nie zareagował na moją obecność. Tak jak w przypadku wielu innych ofiar martwego mężczyzny stojącego nad rzeką, jego szeroko rozwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Zastanawiałem się, czy był w stanie dojść tu samodzielnie, czy został przyniesiony w takim stanie. Na zawsze pozostanie to już dla mnie tajemnicą.

Zszedłem na parter. W budynku panowała cisza. Na poszczególnych piętrach walało się mnóstwo śmieci, pośród śladów po toczących się walkach. Gdzieś leżały nieruchome ciała. Niektóre nawet rozpoznawałem. Drzwi do pokoi były szeroko pootwierane. Paliły się światła. Okna na korytarzach były otwarte lub wybite. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek przytomny został w hotelu, czy też właśnie dziś nastał ten dzień, w którym rola hotelu wyczerpała się. Dopóki ktoś nie sprowadzi pomocy, nieliczni dogorywający szaleńcy i katatonicy są skazani na powolną śmierć głodową.

Pomyślałem, że równie dobrze to ja mogę spróbować sprowadzić pomoc. Zakładając, że już ktoś tego nie zrobił. Myśl, że wszyscy którzy nie wrócili znad rzeki, zostali gdzieś tam w nadrzecznych chaszczach, martwi lub pozbawieni zmysłów, wydała mi się absurdalna. Ktoś mógł przebiec przez most, z zatkanymi uszami i zamkniętymi oczami, ktoś mógł po prostu odwrócić głowę w drugą stronę. Do Miasta nie było daleko, ale Miasto działało opieszale. Zapewne weryfikują opowieści przybyszów z wyspy, zanim wyślą tutaj pomoc.

Zaświtała mi druga myśl, że martwy mężczyzna stojący nad rzeką działa w obie strony – i teraz Miasto bezskutecznie szturmuje most, zderzając się z czymś absolutnie niehumanicznym, czymś równie obcym jak słyszane przeze mnie szepty znad morza i szepty z głębi ziemi, których prawdziwości byłem już całkowicie pewien.

Pomyślałem, że to cud, iż w zamieszaniu nikt nie podpalił budynku.

Właściciela znalazłem na schodach przed budynkiem. Siedział spokojnie i palił fajkę. Wypuszczał raz za razem kręgi szarego dymu. Po zapachu mogłem stwierdzić, że nie był to tytoń.

– A, jesteś. – Odwrócił się do mnie, gdy usłyszał moje kroki. – Wspaniale, siadaj, opowiem ci coś.

Usiadłem obok. Mimo panującego chłodu siedział w samej flanelowej koszuli w czerwono-brązową kratę. Uśmiechał się. Miał krótką siwą brodę i marynarską czapkę. Tak sobie wyobrażałem marynarza na emeryturze, starzejącego się godnie.

– Śniłem o tym dniu, i śniłem o tym człowieku – rzucił w przestrzeń, nie patrząc na mnie. Oświetlały nas światła z budynku, nieopodal piętrzył się stos pokiereszowanych ciał, połamanych jak zerwane ze sznurków marionetki. Niebo było rozgwieżdżone. Przegapiłem moment zapadnięcia nocy.

I tak się skończyła jego historia. Im dłużej wpatrywał się w gwiazdy, tym mniej było go tam obok mnie, siedzącego na splekanych, betonowych schodach. Fajka wypadła mu z ust.

Uderzyło mnie, że po drodze do mostu panowała absolutna cisza. Nie słychać było morza, nie słychać było żadnych ptaków ani innych zwierząt wychodzących nocami na żer. Powietrze stało w miejscu.

Nie słyszałem nawet odgłosów własnych kroków.

Najpierw usłyszałem narastający szept. Doskonale go znałem, ten sam szept docierał do mnie znad morza. Nie miałem możliwości obronić się przed nim, odwrócić się na pięcie i zawrócić, mogłem jedynie iść naprzód, coraz bardziej bezwolny.

W końcu doszedłem do mostu. Stara kratownicowa konstrukcja – pod nią spienione, czarne wody, nad nią stalowoszare, ciężkie chmury, wokół zgniłozielona roślinność po obu brzegach.

A przecież jeszcze przed chwilą była noc. Nie zastanawiałem się nad tym.

W końcu ujrzałem martwego mężczyznę stojącego nad rzeką. Miał szeroko otwarte oczy, stał wyprostowany, patrzył na mnie i na cały świat. Przenikał wzrokiem materię, z której utkana była otaczająca nas rzeczywistość. Był ubrany bardzo zwyczajnie, nie do odróżnienia od setek identycznie ubranych ludzi. Zapamiętałem tylko jego wzrok, żadnych szczegółów twarzy, żadnych znaków szczególnych.

Z otwartego brzucha na trawę wysypały się zwoje jelit. Kałuża krwi musiała już wsiąknąć w ziemię. W końcu od momentu morderstwa – nie wyobrażałem sobie, żeby nie była to ofiara makabrycznego mordu – minęło już kilka dni.

Jego obraz był nieruchomy. Nic się nie poruszało. Statyczne niebo, woda jakby stojąca w miejscu, bezruch. W mojej głowie poruszały się myśli, tysiące myśli, każda jedna będąca absolutnym koszmarem. Nie były to moje myśli, szept zachrypł.

W końcu dźwięki, rumor gdy wszedłem na most. Zachwiałem się. Chciałem zamknąć oczy, ale nie mogłem. Nagle stało się dla mnie jasne, że znów jest noc. Most się skończył. Udało mi się dotrzeć na drugi brzeg. Podłoże znów tłumilo moje kroki. Nie miałem już głowy do szukania pomocy. Albo i znalazłem pomoc. Zaistniałą sytuację mogłem interpretować rozmaicie, gdybym tylko chciał.

Na asfalcie rozlane były kałuże wody. Opalizowały delikatnie w mroku. Szedłem kanionami wytyczonym pośród ścian opuszczonych magazynów. Światła gwiazd odbijały się w kałużach, aż nie wiedziałem, gdzie jest niebo, a gdzie jest woda, czy krocę po tonącym asfalcie czy płynę przez skąpaną w jednolitym mroku przestrzeń. Czuję się tak bardzo ciężki. Przytłoczony prawdami o świecie wypowiedzianymi wprost w mojej głowie przez martwego człowieka stojącego nad

rzeką. Z każdym moim krokiem świetliste punkciki bladły, oddalały się, aż co do jednego zgasły.
Ostatnie kilka kroków zrobiłem w absolutnej ciemności.



rys. Anusza

PAMIĘTNIK ZNALEZIONY NA PROGU

Dagmara Fajt

Odkąd tylko pamiętam, dom znajdował się tam, na skraju smutnej, szarej łąki, za starymi torami, pokrytymi od dawien dawna rdzą. Rdza ta zdawała się być granicą jakiejś krainy reliktyw, przejściem między zwyczajnym, rozbrajająco nudnym życiem małego miasta, a dominium dziwności, pełnym powykręcanych żelastw, jedynym, co pozostało z niegdyś dobrze prosperującej fabryki. Dla mnie – wtedy w końcu dziecka – grunty te niosły z sobą obietnicę przygody, zaznania odmienności, której przecież tak bardzo pragnęłam. Nikt jednak nie pozwalał mi przekroczyć granicy, z przyczyn dla młodzieńczej mnie całkowicie niezrozumiałych, które stały się jednak boleśnie oczywiste wraz z upływem czasu. Dom zawsze mnie jednak pociągał. Podziwiałam go z oddali, z wysoka, w jedyny dany mi sposób. Podczas rodzinnych przejażdżek, bądź mniej lub bardziej radosnych powrotów ze szkoły, które wymagały przeprawy przez remontowany od wieków

i na wieki wieków wiadukt miałam niekiedy okazję rzucić nań okiem. Mimo że zawsze mogłam podziwiać go jedynie w przelocie, dość szybko odcisnął się on w mojej pamięci. W sumie nazywanie go domem jest pewną przesadą – była to w końcu tylko chatynka z szarej cegły, pokryta nędznymi szczątkami dachu. Natura wzięła ją w swe posiadanie zapewne na długo przed moim urodzeniem. Spłowiąłe pnącza nieśpiesznie rozsadzały cegły, w środku rosło wysokie, lecz mimo wszystko dość rachityczne drzewo. Po zarysie fundamentów wnioskowałam, że niegdyś budynek musiał być większy. Teraz niewiele z niego zostało – nic ponad ruiny.

Pozwólcie jednak, że opowiem wam o mieście. Było prostym punktem przejścia, miejscem, z którego się jest, bądź przez które się przejeżdża, lecz na pewno nie stanowiło celu podróży samej w sobie. Miało miłą, małą nazwę, z gatunku tych, przed których tablicami co jakiś czas robią sobie zdjęcia ludzie obdarzeni co dziwniejszym poczuciem humoru. I z pewnością było małe, lecz zarazem trudno było je posądzić o bycie miejscem nadzwyczajnie miłym. Ogólnie rzecz biorąc, nie odznaczało się niczym szczególnym. Nie mogło się poszczycić jakimikolwiek tradycjami czy szczególnie porywającą historią. Ot, kolejna wioska, wyniesiona do rangi miasta po boomie kolejowym i chyląca się ku ekonomicznej katastrofie, gdy transport pociągowy przeminął. Pozornie nie różniło się absolutnie niczym od jakiegokolwiek innego wolno niszczonego postindustrialnego miasteczka. Szkielety dawnych fabryk, z których lata temu wyniesiono wszystko, co sprawiało pozory jakiegokolwiek wartości, prawdziwe upiory dawnej chwały, niemalże boleśnie raniły tutejszy krajobraz. Niskie, czynszowe zabudowania i nieliczne, z trudem utrzymujące się na powierzchni sklepy pozostawały z nimi w rażącym kontraście, tak małe w obliczu niszczonego ogromu.

Nie inny był mój rodzinny dom, szary, o grubych ścianach i niegdyś białym dachu, otoczony zwirowym podwórkiem i mimo bezustannych wysiłków mojej matki niemalże zupełnie pozbawiony zieleni. Jedynym efektem jej heroicznej, lecz przygnębiająco próznej walki była rachityczna trawa, tak słaba, że praktycznie przejrzysta. Nie miało to wiele wspólnego z jej marzeniem o amerykańskim domku na przedmieściach, podobnie zresztą jak my sami. Zamiast słodkiego rodzeństwa z masą przyjaciół byłam ja, zatopione w swoim świecie dziecko. Mój ojciec, ponury i milczący robotnik, w niczym nie przypominał idealnego, przystojnego męża, prawdziwego człowieka sukcesu. Nawet pies był nieodpowiedni – żaden tam golden, zwykły, łaciaty kundel, który zdechł zresztą szybko w tajemniczych okolicznościach i został uroczyście pochowany na tym nędznym spłachetku trawy, świeć dowolna istota wyższa nad jego duszą.

I tak sobie wzrastałam powoli na tym niezbyt przyjaznym gruncie, w mojej dziecięcej Arkadii z przymusu. Nie mogłam – i chyba nawet nie chciałam – bawić się z innymi dziećmi. Na starych, cudem ocalonych zdjęciach widzę jednak siebie z innymi, z grupką około dziesiątki rówieśników. Sama pamiętam to jak przez mgłę, nie widzę twarzy czy nawet imion, jedynie... wrażenia.

Szaleńcze zabawy z zasadami zrozumiałymi wyłącznie dla nas samych. Zwielokrotniony świat tuż po zejściu z karuzeli. Odpoczynek w cieniu śliwy. Błysk słońca w długich, brązowych włosach dziewczyny. Potem to wszystko, ten krótki okres mojego dzieciństwa, który chyba prawdziwie mogę określić moją Arkadią, po prostu znikł. Nie było już nikogo. Nie wiedziałam wówczas dlaczego. Po ulicach chodzili, najczęściej z trudem, coraz starsi i starsi ludzie, których coraz wyraźniejsze zmarszczko-maski przypominały mi mapy dawno zapomnianych krain.

To chyba wtedy zaczęłam na dobre pogrążyć się we własnym świecie. Zawsze byłam dzieckiem obdarzonym wyobraźnią, lecz po zniknięciu ostatnich elementów łączących mnie ze światem zewnętrznym moje rojenia stały się wybujałe, do granicy choroby. Nie miały lekkości i niewinności wcześniejszych marzeń, żywych tylko wtedy, gdy życia od nich wymagałam, wielkich historii, w których zimowe drzewa o poskręcanych subtelnie bądź prostych gałęziach łączyłam we frakcje i nakazywałam toczyć bezustanne bitwy, snuć intrygi i zmieniać stronnictwa. Teraz znaczną część dnia spędzałam na upajaniu się własnymi fantazmatami, które największą siłą zyskiwały oczywiście, gdy leżałam już w łóżku. Często, gdy byłam już w pełni przekonana, że moi kochani rodzice śpią snem sprawiedliwych, wymykałam się spod kołdry i godzinami wpatrywałam się w nocny, zachwycająco odmienny świat za zasłoną. Fascynowało mnie żółkłe światło ulicznych latarni, nieregularne z racji przerw w dostawach prądu, ich migotanie niczym nieznanym językiem. Nie mogłam liczyć na gwiazdy. Nieodmiennie nęcące były też pociągi, w późnych porach nierzadko całkowite puste, ale zawsze rześkie oświetlone, niemalże frunące przez noc. Zdawało mi się, że te składy mają w sobie jakąś tajemnicę, ducha o obecności niemierzalnej żadnymi dziennymi normami. Z czasem przeniosłam jednak swe zainteresowania, tę jakże durną i niestety nieskrępowaną w porę fantazję na tereny położone za torami. Przez długi czas podziwiałam je jedynie z okna, zastanawiając się, co może kryć się za tym rosochatym gruntem.

Ach. Rosochaty. Ro-so-cha-ty.

Słowo niczym ze starej, wygrzebanej z odmetów strychu powieści. Słowo, które znajduję wewnątrz siebie, lecz nie jest ono moje, jak zresztą wiele zakamarków tego, co uważam za „ja”. Zabijam w sobie świadomość tej obcości, podobnie jak inne rzeczy, które wyniosłam z miasta. Nie mam innego wyjścia, nie wtedy, kiedy chcę pozostać mną, mną-całą, a kiedyś może nawet spokojną-mną, bo na radosną-mnie, z gatunku radości nieskażonych, nie mogę już liczyć.

A skażenie było stale obecne w tym mieście, szczególnie zaś tam, gdzie mieszkaliśmy. Nie było w tym nic dziwnego czy złowieszczonego, bo czegoż można oczekiwać od gruntów położonych między torami a ruchliwą drogą, niedaleko fabryki, nawet jeśli dawno zamkniętej? Fakt ten pozostawał przedmiotem bezustannych dyskusji moich rodziców, sądzących, że winę za moje zamknięcie się w sobie ponosi właśnie środowisko. Mylili się, lecz nie można odmówić im troskliwości. W końcu robili, co tylko mogli, by pokazać mi coś chociażby dalece

przypominającego zdrową przyrodę. Żyliśmy jednak w tym mieście, zatem ich wysiłki skazane były na niepowodzenie, a desperackie poszukiwania natury niekiedy prowadziły nas w osobliwe miejsca. Pamiętam dobrze te skarłale lasy, może i niegdyś silniejsze, lecz teraz noszące brutalne ślady zbyt wielu ludzkich interwencji, poczynając od rabunkowej wycinki, kończąc na nielegalnych śmietniskach. W niczym nie przypominały one zielonych oaz, miejsc pełnych spokoju, ale i żywych, takich jakie znałam z książek. Nie było w nich zwierząt, nie słyszało się śpiewu ptaków. Z tych eskapad zawsze wracaliśmy przygnębieni, rozczarowani tym, jak nasze oczekiwania mijały się z rzeczywistością, tak jakby te parodie lasów miały jakoś wpływać na to, że przeze mnie parodią najwyraźniej stawała się też nasza rodzina. W końcu przestaliśmy wyjeżdżać, zapał moich rodziców wygasł – doskonale widzieli, jak bezsensowne są ich wysiłki. Ten jeden jedyny raz, dawno po zakończeniu naszych podróży, tego okresu szaleńczej aktywności, odezwały się w nich jednak najpewniej wyrzuty sumienia, gdyż przyszykowali nową wyprawę, choć wyprawa to chyba zbyt wielkie słowo. Była to prędeż zwykła przechadzka, lecz co istotne, z przyczyn dla mnie nieznanych zdecydowali się na spacer wzdłuż torów. Nie zdawali sobie nawet sprawy, jaki wpływ na mnie może odcisnąć ta rzekomo niewinna, rodzinna wycieczka, dająca pierwszy rzut oka na tak interesujące mnie grunty, poprzedzająca nawet oglądanie ich z wysoka. Mimo upływu lat pamiętam to, jakby wydarzyło się przed momentem, wspomnienia są żywe, w żaden sposób niezamglone. Była to sobota, atmosferę święta tworzyła już sama obecność mojego ojca w domu; jak dowiedziałam się później, przykładając oczywiście wścibskie ucho do drzwi i nasłuchując odległych wrzasków, do wzięcia urlopu zmusiła go moja matka, w imię tworzenia bliskości rodziny, którą, sądząc przynajmniej po wykrzywionych drewnem słowach, uznawał za wartość czysto abstrakcyjną, szczególnie wobec całkiem konkretnych pieniędzy, które mógłby dostać za dniówkę. Mimo tej kłótni, wyszliśmy z domu przed kolacją, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, nadając otoczeniu miękki, różowy poblask. Minęliśmy zakład samochodowy, zbudowany z blachy falistej, zwykłą budę właściwie, pokrytą obłazącą, liszajowatą wręcz farbą, obrzydliwą niczym ilustracje chorób skórnych ze starych książek medycznych, które wówczas zwykłam namiętnie i nieco masochistycznie przeglądać. Później zaczęliśmy się piąć ku górze skromną ścieżką, niknącą pod trawami. Ja sama dość prędko wysforowałam się naprzód, niezaprzeczalnie podekscytowana drogą. Rozglądałam się dookoła w próbie wchłonięcia tego, co mnie otacza – już wtedy powoli, niemalże podświadomie kielkowały we mnie plany ekspedycji w zakazane tereny, a każda zebrana informacja mogła się okazać niezmiernie cenna. Nie zwracałam uwagi na rodziców, parlałam tylko przed siebie. Znowu pogрузyłam się w swoich rojeniach, brutalnie zresztą przerwanych przez postać, która nagle wyłoniła się traw.

Był on całkiem wysoki, lecz wyraźnie zgięty brzemieniem zbyt wielu nieprzespanych nocy i nieprzeżytych dni. Stojem przypominał mi błazna – oczy raniła kakofonia niedobranego do siebie

elementów, barw i faktur. Wszystko to jednak przyprószone było solidną warstwą brudu. Jego pokrewieństwo bytom przynależnym do farsy nie kończyło się bynajmniej na stroju – ruszał się on niemalże boleśnie, w sposób skrajnie urywany, niczym marionetka pociągana przez niewprawnego lalkarza, zawsze na skraju kompletnego rozpadu. Gdy tylko jednak ujrzałam jego twarz, ukrytą pod masą skołtunionych, ciemnych włosów, farsa ustąpiła miejsca grozie, ale grozie połączonej z fascynacją, prawdziwym urzeczeniem koszmarem. Nie chodziło tu o ewidentne zniszczenie rysów, zdeformowanych przez liczne blizny i jątrzącą się ranę na czole, nie o usta, niedobrane jak on sam, złapane w skurczu – jeden koniuszek w obrzydzeniu, drugi w sardonicznym uśmiechu, lecz o jego oczy. Były one puste, tak puste jak nic, co do tej pory widziałam, już nie ludzkie, lecz bardziej zwierzęce, pozbawione świadomości, tak jakby coś umarło w nim dawno temu. Nie mogłam odgadnąć jego zamiarów, być może zresztą jak on sam. Zastanawiałam się, co zrobić, rozsądek mówił mi, że pora uciekać, lecz w głębi siebie pragnęłam nawiązania kontaktu z kimś tak kompletnie odmiennym od świata, który dotychczas znałam. Lecz nim zdążyłam podjąć jakąkolwiek decyzję, nadbiegli rodzice i ostrym krzykiem, pozbawionym już ludzkich sensów, niemalże pierwotnym w swej istocie, przerwali całą tę scenę. Mój ułomny błazen szarpanymi ruchami uciekł między trawy, a każdy jego krok był jak upadek z przepaści, niekończący się bolesny skurcz. Ja stałam w miejscu, wciąż oniemiała, lecz rodzice szybko mnie porwali. W ich szponiastych nagle rękach czułam się jak szmaciana lalka, przierzucana z miejsca na miejsce i kompletnie bezwolna. Nad moimi uszami rozgorzała kolejna wściekła kłótnia, ale jej słowa w znakomitej większości przelatowały przede mną bez zrozumienia; słyszałam tylko dźwięki, wysokie i drażniące, brzmiące w unisono wraz z ostrym wiatrem. Z nowej perspektywy ramion rodziców widziałam jednak więcej, do dziś nie wiem jednak, co z tego było prawdą, a co kolejnym rojeniem. Wyobraźnia mogła bez trudu kreować kolejne sylwetki w trawach, kobiety i mężczyzn, wyniszczonych, lecz z tłącą się w nich tajemną, zaprzeczającą powierzchowności siłą, czy daleki poblask ognisk, ale wówczas nie odbierałam tego w taki sposób. Chyba właśnie wtedy zaczęłam na dobre wierzyć w życie ukryte. Moja wiara na pierwszym miejscu była jednak wynikiem rozczarowania – wraz z biegiem lat miasto stawało się parodią, nędzną makietą samego siebie, do głębi fałszywą i nędzną. Teraźniejszość ustawicznie nie odnawiała i uzupełniała jego historii, a rzeczywistość pozbawiona była litości; to nie miejsce dla ideałów czy jakichkolwiek wzniosłych postaw i ludzi. Jedyne, co miałam okazję podziwiać na co dzień, to postępująca brzydota nigdy pięknego w gruncie rzeczy industrialnego miasta, brzydota objawiająca się nie tylko w tektonicznych chodnikach czy wszechobecnych śmieciach, lecz w także ludziach, którzy coraz bardziej przypominali parodię samych siebie, pozbawione nadziei namiastki ludzi. Ich ruch tracił pozory celowości, oczy zaś wyraz. A może ja zaczęłam dostrzegać brzydsze strony rzeczywistości, gdy tylko przedwcześnie dojrzałam? Moje przeżycie na ścieżce za torami doprowadziło w każdym

razie nie tylko do pogodzenia się rodziców, ich zjednoczenia, by tylko mnie chronić, lecz nadało również formę wierze. I jak to w każdym kulcie bywa, desperacko wręcz zaczęłam wypatrywać śladów tego ukrytego życia, z nadzieją, że wstrętna dla mnie rzeczywistość nie jest jedyną, albo że wręcz w ogóle nie jest i za iluzją tego, co znane, skrywają się inne formy i inne możliwości. Czasami ten inny świat zdawał się być niemalże namacalny, tak jakby w niektórych miejscach i porach zasłona stawała się cieńsza. Niekiedy zdarzało mi się doświadczać momentów przejścia, jakkolwiek były one nadzwyczaj rzadkie... Po wielokroć zmuszona byłam do późnych powrotów starymi, rozlatującymi się autobusami, w dzień niezgrabnymi i oczywistymi, lecz po zapadnięciu mroku, gdy człowiek podróżował przez noc w smudze światła, rozmazującej i wykrzywającej każdy obraz za oknem, gdy odbicia nakładały się na siebie, a skulone sylwetki innych pasażerów w niczym nie przypominały tych dziennych, miałam poczucie, że ten inny świat jest tuż na wyciągnięcie ręki.

Przynajmniej raz w tygodniu musiałam też udać się do domu mojej korepetytorki, dobrej kobiety, która żarliwie starała się wydobyć mnie z edukacyjnych niepowodzeń, obecnych w niemalże wszystkich arenach. Nauka nie miała jednak ponętności moich własnych badań, tych gonitw za nieznanym. Na zajęcia chodziłam jednak z ochotą, nie ze względu na ich cel, który mało mnie obchodził, lecz na samą drogę. Domek mojej nauczycielki położony był na samym końcu miasta, gdzie władze zawodziły bardziej nawet niż w centrum. Gdy wracałam od niej, musiałam poruszać się w praktycznie całkowitej ciemności, rozjarzonej z rzadka latarnią, której słaby i niestały blask nie mógł być dla nikogo oparciem, bądź wyjątkowo osobliwie lampionem, rzeczą więcej niż niecodzienną w tych warunkach, najwyraźniej przejawem czyjejś przewrotności i pragnienia zaburzenia estetyki ulicy, mocniej nawet niż całe miasto oczywistej i nędznej. Jako chyba w jedynym miejscu w mieście, chodnik bardziej w sumie przypominający rozrzucony tu i ówdzie gruz przechodził w trawę, zaś księżycowo dziurawy asfalt w zwykłą, uklepaną ziemię. W takich warunkach prawie fizycznie doświadczałam świata za zasłoną. Jego obecność czułam w nieobecności tego, co w każdym innym cywilizowanym miejscu być powinno.

Początkowo starałam się analizować te rzadkie wrażenia, rozkładać je na czynniki pierwsze, lecz im bardziej się starałam, tym bardziej skomplikowane i szalone się stawały. W końcu dojrzałam do wniosku, że nie mogę ich odbierać tą stroną siebie, gdyż w ten sposób moje wysiłki z pewnością czeka porażka. Zbierałam je jednak cierpliwie i skrupulatnie, z pasją, lecz z konieczności bez metodologii badacza. Każde kolejne wrażenie, czy była to plama pierwotnej czerni w głębi zarośniętego stawu, czy samotnia za trzema dębami, zbliżało mnie coraz bardziej do najważniejszego ze wszystkich celów – mojego wyśnionego domu za torami. Wraz z biegiem lat miejsce to nabrało dla mnie zgoła odmiennego niż niegdyś charakteru. Dawniej widziałam tylko jego aurę, przyciągającą mnie jakoby ćmę do światła, lecz teraz dom stał się wyrażeniem moich

najgłębszych pragnień, ukoronowaniem nieustających poszukiwań, a także, jak mi się przynajmniej wydawało, szansą na spokój. Przez lata nie mogłam się jednak przemóc, by wreszcie przekroczyć te zardzewiałe wrota krainy przynależnej do mojego dzieciństwa... Obawiałam się, że rzeczywistość nie sprostą moim marzeniom, a ja sama jestem niczym więcej jak tylko fałszem, skoro fałszem jest też rzecz, która najpełniej mnie określa. Toczyłam nieustające bitwy w sobie, raz po raz próbowałam zabić samą myśl o temacie, w – jak się potem okazało – słusznej obawie przed ostatecznym poznaniem, lecz wszystko to spełzało na niczym. Musiałam wyprawić się za tory, pragnienie to bolało mnie niemalże fizycznie, niczym płomień palący me trzewia. Z perspektywy czasu dostrzegam, że byłam w pewnym sensie najbardziej ułomnym produktem miasta, niczym ponad narzędzie, zaś wszystko, co wydarzyło się potem, i tak było nieuniknione. Jeśli nie ja, zrobiłby to ktoś inny, choć koniecznie tak jak ja samo rozdarty. Potrzebowałam jednak impulsu.

Nadszedł on zimą, w jedną z tych bezksiężycowych i bezgwiazdnych nocy, gdy śnieg zdaje się lśnić bez żadnego przeciw źródła światła, a igły mrozu przeszywają do głębi, dotykając, zdaje się, nie tylko ciała. Wracałam z drugiej części miasta, co zmusiło mnie do wspięcia się na niebezpiecznie oblodzony wiadukt. Musiałam walczyć o każdy krok, w tę noc samotna jak żaden z ludzi. Drzewa, niegdysiejszy przedmiot igraszek mojej wyobraźni, pozostawały surowe i milczące, mimo wiatru praktycznie nieruchome, zastygłe w oczekiwaniu. Nagle jednak ujrzałam światło, nie latarni oczywiście, gdyż te zepsuły się długie miesiące temu, lecz dobiegające z dołu, po stronie łąk za torami. Wyrzałam za balustradę, walcząc z zimnem i zamykającą się nade mną czernią, która jednak nie zdołała zdusić źródła tego blasku – domu. Nie byłam zaskoczona. Czułam, że to musiało się zdarzyć. Ciężko mi było oderwać się od przedziwnego zjawiska... Nie był to bowiem żaden ze znanych mi blasków i nawet obecnie, wiele lat po tym wydarzeniu ciężko mi znaleźć słowa na jego opisanie. Przyciągał mnie do siebie, oczywiście, ale zdecydowanie nie nazwałabym go zachęcającym. Przenikał go duch zmiany, właściwy każdej energii, lecz tu patologicznie zwielokrotniony, skutecznie powstrzymujący moje nędzne, ludzkie próby definicji w tym jakże niedoskonałym języku. W końcu jednak oderwałam się od blasku, choć mam wrażenie, że gdybym była słabsza, zostałabym tam dłużej, zdecydowanie dłużej. Być może na wieki.

Zdołałam wrócić do domu, choć przepełniała mnie silniejsza niż kiedykolwiek tęsknota. Wiedząc, że muszę zachować siły, praktycznie zmusiłam się do odpoczynku. Sen nie chciał nadejść przez długie godziny, lecz w końcu, gdy już całkowicie się wyczerpałam, spłynął na mnie, nie przynosząc wytchnienia. Ściagałam bezustannie cienie, które zeszyły z kamiennych ścian. Drażniły mnie, rozwiewając się w dym za każdym razem, gdy byłam zaledwie o krok od ich złapania; wówczas chichocząc, zaczynały grę od początku i tak dalej, w pozornie nieskończonym, bolesnym cyklu. W końcu się jednak przebudziłam, zużyta do cna i zmęczona jak nigdy wcześniej. Czułam, że trawi mnie gorączka, mój pokój przepełniał zresztą zaduch, w którym niemalże nie mogłam

oddychać. Wytoczyłam się z niego z trudem. Zeszłam na dół, gdzie siedzieli już moi rodzice, zaprzętnięci swoimi zwykłymi, porannymi obowiązkami. Na moje wejście unieśli tylko głowy. Ich usta w uśmiechu, luźne uwagi, żarty. Śmiałam się i żartowałam wraz z nimi, lecz wszystkie słowa unosiły się i rozpląwały w powietrzu, tak ulotne jak obłok oddechu na mroźnym powietrzu. Chciałam coś poczuć, naprawdę chciałam, lecz nie potrafiłam. Zauważyli to i rozpoczęli taniec pełen mglistych obietnic, wyraźnie dążąc do zatrzymania mnie w domu. Kierowała nimi obawa, lecz nie mogłam ulec. Już nie. Wymówiłam się spotkaniem z koleżanką, wymyśloną oczywiście, która to miała dać mi nieistniejące notatki z równie iluzorycznej lekcji. Słowa spływały ze mnie niemalże w panice, oni wzięli jednak ich potoki za dobrą rzecz, być może w swej naiwności ucieszeni, że ich córka wreszcie kogoś poznała. Wyszłam z domu żegnana przez nich czule. W głębi ducha czułam się jak oszust. Mój cel wydawał się być efemerą, moje dążenia – farsą. Z każdym kolejnym krokiem oddalającym mnie od domu wracały jednak wspomnienia wczorajszej nocy. Powoli zatracalam się w nich, aż w końcu mnie ogarnęły. Nie miałam już wątpliwości, tylko płomień. Kilka krótkich, trzepoczących i ostrych minut wystarczyło, bym znalazła się przed granicą. Nie widziałam żadnej rdzy, gdyż wszystko przykryła białosc, nie lśniaca wprawdzie, lecz krucha, prawie idealna w swej istocie. Już nic we mnie nie wzbraniało się przed przejściem. Przepelniała mnie rozedrgana determinacja. Moje ruchy przypominały wtedy zapewne człowieka zza torów, ułomnego blazna. Być może wtedy zdołałam go zrozumieć, do tego stopnia, w jaki w ogóle można zrozumieć innego. Jego też musiała palić ta gorączka. Czy dzieliliśmy niegdyś wspólny cel? Czy on był tym, który odszedł, upadł? Nie wiem. Nie znajdę już żadnych odpowiedzi. Nie wiem, czy na nie nawet zasługuję. Nie po przekroczeniu granicy.

Chciałabym móc napisać, że po tym przejściu wstąpiły we mnie nowe siły, że bez trudu przeszłam przez łąkę i osiągnęłam swój cel, ale byłoby to czystym fałszem, a ta spisywana chyba tylko dla samej siebie relacja ma świadczyć prawdzie, nie zaś moim życzeniom. W rzeczywistości pierwszy i każdy kolejny krok wysysał ze mnie resztki sił. Czułam się gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Powoli przestałam widzieć kontury, mój świat ogarnęła mleczna białosc. Zagubiłam się na tej łące, której wielkosc nie miała jednak wiele wspólnego z tym, co obserwowałam z góry. Bez cienia wątpliwości dostałam się do krainy, której tak długo poszukiwałam, potwierdzał to dobrze mój stan, lecz nie wiedziałam, czy jestem w stanie dotrzeć do ostatecznego celu. Rozpadałam się, cała ja rozproszona w zimnie, choć wtedy chyba nie było już mnie, gdyż wszystko zostało wcześniej wypalone. Mimo to, coś szło dalej. Krok za krokiem. Później straciłam poczucie czasu, ostatnią już nić łączącą mnie ze światem po drugiej stronie. Brnęłam jednak dalej w tę białosc, aż w końcu po chwili nieskończenie długiej i nieskończenie krótkiej zarazem, z materii wyłonił się dom, ten któremu się poświęciłam. Upadłam wtedy, lzy zamarzały tuż po spadnięciu z policzków, by następnie przepaść w śniegu. Epifania na miarę moich możliwości. Kolejny moment bezczasu,

zdołałam jednak wstać, lecz wtedy znów zastygłam, przytłoczona domem. Teraz wydawał się być zdecydowanie większy, a jego szarości nie przykrył śnieg, przez co odcinał się skrajnie na całkowicie mlecznym tle. Paszcze okien szczyrzyły się w szyderstwie, resztki szkła jakimś cudem ocalały w wyprutych z koloru drewnianych ramach. Drzewo zaś, już w moich wizjach z góry wysokie, tu było jeszcze wyższe i potężniejsze. Oplotło dom, korzenie i gałęzie sięgały wszędzie, tworząc wraz z murem arabeski, pozbawione jednak ich zwykłej, roślinnej harmonii. Trudno było powiedzieć, gdzie zaczyna się ono, dzieło, a raczej abominacja natury natury, a gdzie sam budynek. Obeszłam dookoła linię fundamentów, wyraźnie widząc, że tworzą one kształt inny niż zwykły prostokąt, który niegdyś widziałam. Linia jednak zdawała się ze mną bawić; wiła się i zakręcała, aż w końcu zdezorientowana zrezygnowałam z prób uzmysłowienia sobie jej formy. Wtedy właśnie przekroczyłam tę ostateczną granicę. Zrobiłam kilka drobnych kroków i w swej słabości obróciłam się, by zobaczyć mnie i mnie, i mnie, całą moją drogę, aż do samego początku, i mroźne sylwetki w powidokach, które natychmiast umknęły przed okiem badacza, rozbijając się w proch. Wiedziałam, że nie mam wyboru. Zamknęłam oczy, tak jak dawniej, gdy byłam jeszcze dzieckiem i myślałam, że wszystko przestaje wtedy istnieć. Wkroczyłam do domu. Czułam, że jego szara forma mnie przytłacza, moja głowa, barki, wszystko pękało. Ból ustąpił, gdy tylko otworzyłam oczy, by ujrzeć...

Nic.

Pustkę.

Śnieg wypełniał niedzisiejszą podłogę, wtlaczał się między cegły, nie widziałam nic ponad pustkę właśnie, pustkę starego, opuszczonego domu. Wszystkie te lata, wyzute z życia, by ujrzeć nic. Zatoczyłam się wtedy, przytłoczona prawdą. Nie, nie mogłam dłużej znieść tego widoku, niepomna zmęczenia, gorączki, nawracającego bólu rzuciłam się z powrotem w kierunku granicy, moje stopy plątały się w szoku, jak całe moje ciało. Nie było beczasowości i bezprzestrzeni, nie błąkałam się jak uprzednio. Jeden krok wystarczył, by przekroczyć tory.

I oto pustka wróciła za mną do domu. Z perspektywy czasu wiem, że była ona najgorszym, co mogło mnie tam spotkać. Widzę, że nie stanowiła ona wszechogarniającej nicości czy wręcz otchłani, gdyż te sugerują coś wyższego, coś ponad człowieka, a ona jest niższa, zdecydowanie niższa, pozbawiona wszelkich pryncypiów i absolutnie jałowa. Nie mogła obezwładnić w chwili poznania, nie wyściełała żadnej ścieżki w mych snach. Podbijała jednak teren, kawałek po kawałku. Wpełzała w ściany i w dusze. W ludzkich terminach nieustępliwa w swej powolności, jednak ludzkich terminów nie można do niej odnieść, gdyż jest tak skrajnie nam obca. Gdy wracałam do mojego domu, nie spodziewałam się, że siła, której istnienia nie mogłam pojąć, zawitała tam przede mną. Przekroczyłam próg, radośnie i z fałszem w głosie obwieszczając mój powrót. Nie doczekałam się jednak odpowiedzi. W niezmiernej, obejmującej całą mnie i dom ciszy szukałam

bezszelestnie i coraz bardziej rozpaczliwie moich rodziców, by w końcu natknąć się na nich, siedzących w spokoju na kanapie. Ku mojemu zdziwieniu nie reagowali na nic, całkowicie zastygli. Po chwili zorientowałam się, że w istocie ruszają się, lecz był to ruch pradawnego stworzenia zatopionego w żywicy, od samego początku widać jego nieubłagany koniec. Sam czas i przestrzeń zdawały się kostnieć, powoli umierać, zarówno w domu, jak i w mieście. Nie poznawałam już dawnych miejsc, wszystkie przynależały do innego świata, który odszedł, skazany przeze mnie na zagładę. Piszę to jednak jako głos z przyszłości, mądrzejszy niż młodzieńcza ja, wskrzeszona na ten ulotny moment, który przeminął wraz z końcem opowieści. Mogę sobie mówić, że być może przyspieszyłam tylko zmiany, ale wcześniejsza zagłada miasta, choć równie nieunikniona, była jednak naturalna. Coś miało szansę przetrwać, w ograniczonej i może smutnej formie wsi na krańcu świata, gdzie nie pozostał już prawie nikt, ale to przecież życie, jakiegokolwiek by ono nie było. Przeze mnie miasto objęła w swe posiadanie pustka, tworząc swoje życie-nieżycie, ludzi o pustych oczach i ciałach, szkielety budynków i nowe miasto zawsze pogrążone w nierzeczywistym, niemalże szpitalnym świetle, wyostrajającym do bólu wszystkie kontury rzeczy, tak że cienie nie miały prawa istnieć. Przyznaję się, uciekałam. Nie wiem, dlaczego w ogóle było to możliwe. W innym przypadku powiedziałabym, że ktoś musi dać świadectwo rzezi, zostać na sam koniec. Że może ta siła chciała, bym spędziła resztę swego nędznego życia pogrążona w nienawiści do samej siebie i frustrującej niemocy. W pewnym sensie byłoby to pocieszające. Rozumiem te motywy, mogę się do nich odnieść, porównać, lecz nie chcę nadawać cech pustce. Piszę tu jednak prawdę, a faktem jest, że to nie siła niszcząca, zło uwolnione z puszczy Pandory, lecz coś poza moim pojmowaniem, obojętne wobec ludzkości, nieokrutnego, tak jak okrutna nie może być bakteria tyfusu. To coś po prostu istnieje w ten sposób, na naszą zgubę. Uznałam w końcu, że może kontakt z tą siłą sprawił, że stałam się odporna. Było to dobre wytłumaczenie, które musiało stać się fundamentem mnie, przez dekady jedną z wielu podobnych myśli przynajmniej pozornie utrzymujących całość ciała i duszy. Zdołałam uciec, lecz żadne miejsce, do którego zawitałam, nie dawało wytchnienia. Wszędzie byłam pariasem, zawsze, nieodmiennie i boleśnie obca. W końcu zaczęłam separować się od ludzi, w strachu, że noszę w sobie odłamek pustki, który kiedyś wyjdzie poza mnie i zniszczy kolejne życia. Lecz teraz, na skraju życia, zdecydowałam się wrócić do miasta, ostatni już raz. Jestem niesamowicie już zmęczona, ale też w niemalże dziecięcy sposób ciekawa. Niegdyś ciągnęło mnie w ten sposób do katalogów chorób, potrafiłam się nimi upajać, zafascynowana i przerażona zarazem. Teraz nie mam już nic więcej do stracenia. Życie minęło mi jak sen. Zawsze stałam na marginesie rzeczywistości, jak bezstronny obserwator, i w ten sposób nie zyskałam sobie nikogo. Nieszukana, powracam. W nadziei, w bezsensie, być może w pragnieniu rozgrzeszenia, a także – w zagładzie.

Te słowa piszę już w mieście. Widzę dom, choć określenie go tym mianem zawiera w sobie krztynę przesady. To bardziej chatka, choć niewątpliwie była niegdyś większa – widać to w zarysie fundamentów. Leży ona w kręgu szarej trawy, pozbawiona dawno dachu, w środku zaś rośnie drzewo. Wszystko jest szare, wyzute z barw i śmiertelnie ciche, na wieki już zastygłe. Siedzę na progu tego domu. Tu przynależę, to tu jest moje miejsce. W końcu to wiem, lecz smutna to wiedza. Wspominam swoje życie, ten krótki okres do momentu ucieczki, kiedy rzeczywiście zasługiwało na to miano. Ach... Moje westchnienie nie jest w stanie poruszyć martwego powietrza. Widzę chwile spędzone w tym domu, moim w końcu domu, cały ten bezmyślnie odrzucony przeze mnie świat, po którym nie zostało żadnego śladu. Siedzę i wspominam, czekając. Jestem spokojna. Nie zostało mi więcej słów.

rys. Marcin Koziarkiewicz



PRISMA

Daniel Gapiński

Pierwszym wrażeniem, które poczuła po przebudzeniu, był ból głowy. Uniosła powieki, dostrzegając w pomieszczeniu dwójkę pochylonych nad nią mężczyzn. Pierwszy – krępy grubasek wystrojony w kraciasty trzyczęściowy garnitur – przedstawił się jako Bonaventura Hoffmann, dyrektor trupy cyrkowej „Prisma”. Towarzyszący mu chudy i wysoki mężczyzna w pogniecionym trenczu był natomiast dopiero co przybyłym z okolicznego miasteczka lekarzem.

Kobieta nazywała się Gloria. Godzinę wcześniej pilotowana przez nią awionetka spadła niedaleko miejsca, gdzie rozstawiano namiot cyrkowy. Jednak dokładniejszego przebiegu katastrofy oraz jej przyczyn nie była sobie w stanie przypomnieć.

Ratunek zawdzięczała pracownikom cyrku. Pozostając bezpośrednimi świadkami wypadku, niezwłocznie pośpieszyli z pomocą, wyciągnęli nieprzytomną z wraku i ułożyli w jednej z przyczep taboru, po czym wezwali na pomoc lokalnego medyka, obecnego tu doktora Herberta Easta.

Zdaniem lekarza pilotka miała dużo szczęścia w nieszczęściu, bowiem pomijając niegroźne stłuczenia oraz lekkie wstrząśnienie mózgu, badanie nie wykazało żadnych poważniejszych, zagrażających życiu obrażeń. Gloria przyjęła diagnozę z zadowoleniem. Chciała niezwłocznie

zabrać się do miasteczka razem z doktorem, po czym wsiąść do pierwszego nadarżającego się pociągu i ruszyć w dalszą drogę. Dyrektor Hoffmann ubłagał jednak – skoro stan rannej nie jest poważny i wymagający natychmiastowej hospitalizacji – by oboje odłożyli wyjazd i zostali na zbliżającym się majstersztyku sztuki cyrkowej, wieczornym występie niezrównanego klauna i performerera, Sekstusa Wollastona.

– To doznanie iskrzące emocjami niczym kalejdoskop i zdolne całkowicie odmienić perspektywę i sposób patrzenia na świat, nie godzi się odmawiać, nie godzi! – rozemocjonował się Bonaventura Hoffmann. – Dla miłych gości wejściówki oczywiście na koszt cyrku!

Przez grzeczność nie odmówili, gdy niemal wpychał im prostokątne bilety do rąk. Na kwitach nie umieszczono nazwy cyrku, ograniczając się wyłącznie do prezentacji loga – trójkątnego kryształu z przechodzącymi przez niego siedmioma różnobarwnymi promieniami, podczas gdy czerń królowała niepodzielnie pod postacią otaczającego tła.

– Wszystkie codzienne aktywności mają właściwe sobie formy, pory oraz kolejności następowania. W innym wypadku triumf bałaganu i zagubienie w nim stają się wyłącznie kwestią czasu. Uratować mogą nas wyłącznie rutyna, twarde zasady i nieustanne trenowanie pamięci. Ile to już razy przez nieuwagę wasz ojciec zgubił klucze do samochodu? – pouczała ich w dzieciństwie matka, która do końca życia nie zdołała pokonać dręczącej jej nerwicy, ani nawet uzyskać na tym tle fachowej pomocy, choć zyski z prowadzonej przez męża firmy bez problemu mogłyby sfinansować terapie u najlepszych psychoanalityków. Harmonia Victis nigdy nie przyznała, że cokolwiek jest z nią nie tak. Wręcz przeciwnie, postrzegała się jako osobę najzupełniej normalną, a wręcz supernormalną, bowiem świadomą zagrożeń, które inni beztrąsko ignorowali lub trwożliwie wypierali ze świadomości.

W przeciwieństwie do reszty tłumnie zaludniających ziemię ignorantów, ona w pełni zdawała sobie sprawę z obecności, przewagi oraz perfidii wroga, z którym przyszło jej toczyć nierówną walkę. Chaos był wszechobecny i niebywale chytry. Gotów cierpliwie kiełkować na gruncie najdrobniejszych niedopatrzeń i rozrastać się w łańcuchy przyczynowo-skutkowe, które ostatecznie pochłoną całą jej rodzinę. Mógł objawić się jako zardzewiały gwóźdź w piaskownicy, raniący odsłonięte kolano dziecka niezaszczepionego na tężec przez niedbałość dorosłych. Mógł zmaterializować się pod postacią włamywacza dokonującego napadu akurat tego wieczoru, gdy zapomniano przekręcić klucz w zamku. Mógł też snuć intrygi dalece bardziej wyrafinowane i wieloetapowe. Jak chociażby wtedy, gdy usiłował doprowadzić do rozpadu jej małżeństwa, fabrykując symptomy niewierności męża, będące – była tego pewna – wyłącznie jednym wielkim,

niewartym przeanalizowania zbiegowiskiem okoliczności. Chaos z pewnością chciał, by podążyła za rozwijanym przez niego kłębkim nieuzasadnionych podejrzeń wprost do labiryntu urojeń, na końcu którego czyhał Minotaur rozvodu. Ona jednak znów była sprytniejsza, za jednym zamachem ucięła bezzasadne spekulacje, wykazując ich absurdalność: „Koszula pachnąca damskimi perfumami o niczym nie świadczy. Gdy pracujesz w branży handlowej, to siłą rzeczy spotykasz wiele osób – klientów albo współudziałowców na zebraniach zarządu – w ciasnych, zamkniętych pomieszczeniach, gdzie wszystko nieustannie usiłuje do siebie przyłgnąć... Czerwona plama na białym kołnierzyku? To już nie pamiętasz, jak niestaranie zwykł się golić?”.

Harmonia zdawała sobie sprawę, że panowanie wyłącznie nad własnym umysłem nie wystarczy, by sprostać czyhającym na rodzinę zagrożeniom. To dotyczyło ich wszystkich, więc by przetrwać, musieli stać się jednością, jak armia. A czymże jest armia bez dyscypliny, zasad, treningu, planu dnia, podziału obowiązków?

Dzięki przewlekłemu i nieświadomemu zastosowaniu szerokiego wachlarza technik psychomanipulacyjnych udało jej się ostatecznie dopiąć swego. Przekształciła członków rodziny w trybiki sprawnie funkcjonującego mechanizmu, w którym nie było miejsca na niespodzianki, a co za tym idzie, brakło też pola do działania dla chaosu.

Trybik imieniem Gloria zaczął się zacinać krótko po osiągnięciu pełnoletności. Kroki coraz częściej kierowały ją ku metropolii. Partycypowanie w przepelnionym nieprzewidywalną nowością nocnym życiu miasta stanowiło iście bluźniercze odwrócenie rytuałów odprawianych w domu rodzinnym, ich aktywną negację. Każdy zaułek, każde drzewo, każdy rozświetlony neonowym szyldem klub, każdy napotkany pies lub człowiek – wszystko to stanowiło tajemnicę. Tajemnicę samą w sobie. Niedefiniowalną i z pewnością niemożliwą do pełnego zgłębienia, a jednak wyczuwalną niczym zgrubienie pod skórą. Jedyne co pozostawało, to dać za wygraną lub ślizgać się po powierzchni tajemnicy – niczym łyżwiarka po lodowej tafli skrywającej pod sobą ocean. Gloria wybrała drugą drogę. Obserwowała, zadawała pytania, dotykała, wahała, smakowała; czekając z ufnością na moment ostatecznego objawienia – czymkolwiek miałyby ono się okazać.

Zbliżała się północ, gdy zdecydowała zadzwonić po brata. Godzinę wcześniej polizała zaoferowany jej w klubie żółty prostokątny kartonik – ośmielona jego zapraszającym i beztroskim piktograficznym uśmiechem. Nie wiedziała, że daje tym samym umysłowi sygnał do rozpoczęcia festiwalu, podczas którego barwy zaproszą kształty do tańca nowoczesnego przy akompaniamencie kosmicznej muzyki sfer. Sprawy i rzeczy raz nabywały ciężaru znaczeń czyniącego je niemożliwymi do udźwignięcia, innym zaś razem traciły go doszczętnie, co poniekąd było jeszcze

bardziej dotkliwie.

W uliczce spotkała chłopca z kalejdoskopem. Wskazał na zabawkę i poprosił o pomoc. Podobno weszli do niej tybetańscy mnisi i teraz za każdym razem, gdy usiłował się bawić, oni niszczyli nowo powstały wzór. Gloria poradziła mu, aby w zamian wyśnił sobie hipnagogi i ruszyła w kierunku budki telefonicznej.

Moneta runęła w przepastną otchłań automatu, budząc swą ofiarą do życia spoczywające wewnątrz, nieprzeniknione w swej zadaniowości mechanizmy. Musiała krzyczeć do słuchawki i dwukrotnie powtórzyć bratu prośbę, bo zagłuszał ją zagnieżdżony w słuchawce brzęk łańcucha.

Czekała. Miał być za chwilę. Nigdy nie dojechał.

Podobno jego żółty Triumph Spitfire w ułamku sekundy przybrał kształt spłaszczonego prostokąta. Dokładnego przebiegu zajścia nigdy nie ustalono, bowiem przesłuchiwany w charakterze podejrzanego kierowca tira naraz zaczął bełkotać w kółko coś o zerwanym łańcuchu i z tego zapętlenia nie wyrwał się już nigdy, nawet pomimo udzielonej mu pomocy psychiatrycznej.

Gloria pragnęła poświęcić noc, w której zdarzył się wypadek na szukanie odpowiedzi, lecz co paradoksalne, znalazła tylko pytania. Czy to ona ponosiła odpowiedzialność za śmierć brata? Gdzie w nieskończonym łańcuchu przyczyn i skutków znajdowało się ogniwo jej winy i jak bardzo było ciężkie? Czyżby odegrała rolę nieświadomej, bezwolnej dłoni kataryniarza, wprawiającej w ruch mechanizm, którego tryby wybrzmiały ostatecznie marszem pogrzebowym? A może była zaledwie przechodniem wrzucającym monetę do jego czapki, pragnącym usłyszeć nieznaną melodię ze wszystkimi jej nieprzewidywalnymi i potencjalnie katastrofalnymi dla nastroju konsekwencjami?

Victoria poznała w „Neonowej Otchłani”. Nostalgicznej przystani dla ludzi, którzy nie mieli już niczego do stracenia. Stałych bywalców klubu charakteryzowała natura ćmy: niegdyś zwykli igrać z ogniem, by wywalczyć należne sobie miejsce na świeczniku egzystencji. Z czasem jednak – na skutek tych bądź innych zawirowań życiowych – wypalali się i spadali zeń na samo dno. Zimny blask neonów klubu stawał się wówczas jedynym zewem, na który zdolni byli jeszcze odpowiedzieć. Jego opiekuńczej aurze polecali ostatnią pozostałą im formę afirmacji życia – rozpamiętywanie przeszłości – przybierające postać zbiorowego przeżuwania tych spośród wspomnień, które wciąż jeszcze nie zdążyły utracić resztek smaku.

Victor o swej przeszłości snuł najróżniejsze, często wykluczające się opowieści. Później, gdy zostali z Głorią kochankami, odkryła iż najczęściej powtarzaną, a przez to najbardziej prawdopodobną, była wersja o młodości spędzonej jako pomocnik antykwariusza.

To tam, pośród półek uginających się od wszelkiego rodzaju osobliwości: wypchanych

wybryków natury o dodatkowych bądź zdeformowanych kończynach i pustych szklanych oczach; oświeceniowych automatonów – w tym słynnej mechanicznej tancerki Olympii – oraz woluminów spisanych dawno zapomnianymi językami i zawierających w sobie ryciny stanowiące bluźnierstwo przeciw elementarnym prawom natury; odnalazł i zapragnął przedmiotu zdawałoby się zupełnie błahego i pospolitego. Był nim leżący na dnie zabytkowej, wyłożonej wyścielonej poźółkłymi stronicami numerów dziennika „Berliner Abendblätter” z 1810 roku; trójkątny pryzmat. Nawet po latach Victor nie potrafił bądź nie chciał wytłumaczyć, na czym polegał niespotykany magnetyzm kryształu, skutkujący natychmiastowym usiłowaniem przywłaszczenia go. Niestety, w momencie, gdy wsuwał przedmiot do kieszeni, poczuł zaciskającą się na jego przegubie kościstą dłoń antykwariusza. Dzień ów był końcem ich współpracy. Jakiś czas później antykwariat spłonął w podejrzanych okolicznościach, wraz z właścicielem i asortymentem. Śledztwo policyjne nie przyniosło ostatecznych rozstrzygnięć w kwestii przebiegu zajścia, a o wynaturzonych trofeach, tańczących lalkach, bluźnierczych księgach i niepozornym pryzmacie słuch zaginął.

Związek Glorii z Victorem zakończył się po pół roku, gdy ten uderzył ją po raz pierwszy i, jak się okazało, ostatni. Wykorzystała wiedzę o prowadzonych przez niego nielegalnych interesach, by sporządzić donos do stosownych służb.

– Pewnego dnia cię sprzątną, Glorio Victis – zapowiedział, gdy wyprowadzano go z mieszkania skutego kajdankami. – Zrobisz z tobą porządek, to oczywiste jak tęcza po burzy.

Uwierzyła mu natychmiastowo. I od tamtej chwili знаła już tylko ucieczkę.

– Szanowni Państwo, nadeszła pora na atrakcję wieczoru, popisowy występ samego Sekstusa Wollastona. Zapewniam, że już za chwilę będziecie państwo wyć i tarzać się ze śmiechu w reakcji na tę największą spośród grotesek. Tymczasem artysta już tu jest, proszę, powitajmy go gromkimi brawami!

Nieliczni zgromadzeni pod sceną widzowie zaklaskali niepewnie.

Klaun wszedł na scenę, taszcząc za sobą obdrapaną skórzaną torbę. Wydobył ze środka okazałych rozmiarów pozytywkę o kształcie sceny teatralnej z wykaligrafowaną na szyldzie gotykiem nazwą: „Das Sein”. Wollaston usiadł ze skrzyżowanymi nogami, nakręcił mechanizm, po czym złożył pozytywkę na kolanach i zastygł z przymkniętymi oczami.

Mechanizm ruszył.

Rozsuwa się kurtyna, zgrzyta zapadka, po czym z czeluści mechanizmu wyłania się na powierzchnię scenka rodzajowa: chłopiec i dziewczynka budujący na plaży zamek z piasku. Łopatki wędrują niespiesznie to w górę, to w dół przy akompaniamencie „Wassermusik”. Naraz

melodia milknie, zapadka zgrzyta, scenka znika we wnętrzu maszyny, by ustąpić miejsca kolejnej. Tym razem wesele przy dźwiękach tanga „Por una cabeza”. Nowożeńcy wirują w tańcu, jeden z biesiadników nalewa drugiemu kieliszek, ktoś inny wstaje, by wznieść toast, grupka gości wybucha gremialnym śmiechem. Trzask zapadki, kolejna scenka. „Gnossienne No. 1”, mężczyzna przegląda przy stole gazetę, kobieta usiłuje uspokoić płaczącego chłopca z obdrapanym kolanem. Zapadka. „Clair de lune”, na scenie dwójka staruszków. Mężczyzna leży w łóżku, kobieta karmi go zupą. Łyżka wędruje niespiesznie z talerza do ust. Zmiana scenki. „Mondscheinsonate”, staruszka samotnie karmi na ławce gołębie. Ptaki wydziobują rzucane im okruszki chleba. Zgrzyt mechanizmu. Nagrobek. Cisza.

– Co to ma być! – bulwersuje się jeden z widzów. – Śmiech obiecywaliście, śmiać się chcemy!

– Tak mało, tak nudno, tak bezsensownie, oddawać pieniądze! – piekli się kolejny.

– Kompletnie niezrozumiały bełkot artystyczny, sprzeczny z oczekiwaniami zgromadzonych – uskarża się dama w futrze z norek.

– Nie bełkot, a rzyg pseudoartystyczny, szanowna pani! – stwierdza mężczyzna w tweedowym garniturze – aż się napić muszę, by zneutralizować niesmak w ustach, jaki mi po tym rzygu pozostał! – stwierdza, sięgając po piersiówkę.

Gloria zaczyna słabnąć, ból głowy powrócił i teraz lawinowo narasta. Ostatkiem sił przepycha się przez tłum w kierunku wyjścia. Jeszcze tylko kilka kroków i powietrze, gwiazdy...

Nie ma gwiazd, a tylko różnobarwne, migotliwe światełka karuzeli w stylu „merry go round”. Gloria dosiada żółtego rumaka galopującego w rytm narastającej szaleńczo dekadofonii. Może gdyby dostać się do wnętrza mechanizmu, udałoby się wszystko naprawić? Może za nieład odpowiedzialna jest malutka usterka? A może nigdy nie było żadnej usterki, mechanizm działa tak, jak powinien, bowiem chaotyczność jest wpisana w jego istotę?

Sekstus Wollaston też jest na karuzeli i sporo wyprzedza Glorię. Dosiada sowy, z której całkowicie zeszła już brązowa farba, ukazując pierwotną czerń materiału. Zamiast głowy klaun ma trójkątny kryształ.

– Ile w tym wszystkim było mojej winy?! – woła Gloria. – Chcę wreszcie ujrzeć rzeczy w pełnym świetle!

– Nie ma, nie było i nigdy nie będzie żadnego innego światła oprócz sztucznego blasku neonów! – odpowiada Wollaston. – Nie ma też możliwości ucieczki, bowiem wszystko od zawsze kręci się kołem, niczym szkiełko kalejdoskopu. Nie sposób wygrać wyścigu na karuzeli. Ale równie

niepodobna w ogóle nie brać w nim udziału!

Obudziła się nad ranem niedaleko miejsca katastrofy. Pomimo starań nie udało jej się uruchomić silnika awionetki. Chwilę później nie miało to już żadnego znaczenia, bowiem nadeszli sprzątacze...



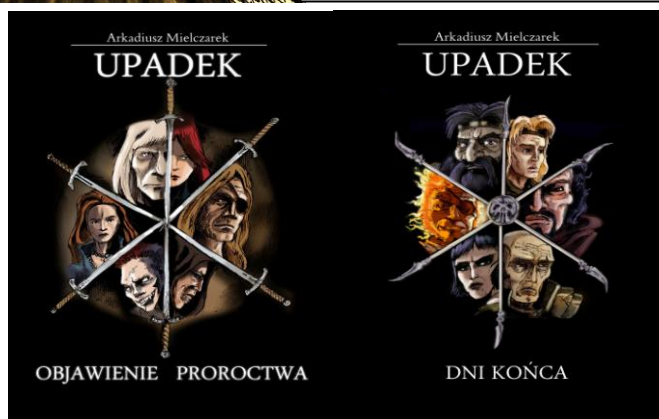
Trylogia „Upadek” to epicka powieść, mroczne fantasy z elementami horroru.

Potężne Imperium Talladuriańskie chyli się ku upadkowi. Objawiono proroctwo zapowiadające totalną zagładę. Liczne znaki potwierdzają prawdziwość przepowiedni. Jednym z nich jest Szept, zmieniający ludzi w szaleńców, których jedynym celem wydaje się być mordowanie i przelew krwi. Wybuchają wojny na tle religijnym i politycznym. Imperium staje w ogniu.

Czarownicy, do tej pory tępieni przez Świątynie Mrocznej Szóstki, wychodzą z ukrycia, klękając przed Niszczycielem i oddając mu swe dusze we władanie.

Nienawiść i miłość. Wojna i bohaterstwo. Magia i religia. Wszystkie wartości tracą znaczenie w dogorywającym świecie, a każdy z nieświadomych tego faktu bohaterów staje się pionkiem w diabolicznej intrydze knutej przez oszalałego boga.

**Na trylogię „Upadek” składają się:
„Upadek: Objawienie Proroctwa”
„Upadek: Dni Końca”
„Upadek: Egregora”**



O Autorze:

ARKADIUSZ MIELCZAREK

Rocznik 1972.

Zawodowo: socjolog i ekspert od zarządzania projektami.

Od lat związany z grami RPG, fantastyką (w szczególności fantasy) oraz grami PBF.

Autor jednej z pierwszych gier RPG w Polsce – „Aphalon: Świat Księżycowego Ostrza” (1995).

Publikował w magazynie Histeria nr 3/2015 – opowiadanie: Limithorolis.

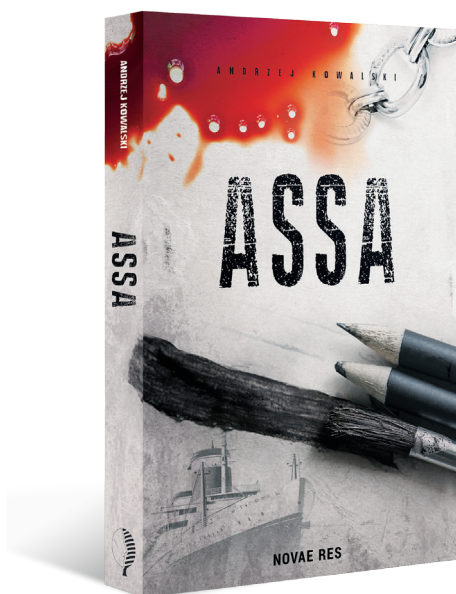
Więcej: <https://www.facebook.com/Upadek-dark-fantasy-909420995845386/>

ASSA

Firma Art Company kieruje się tylko jedną zasadą: „pełna dyskrecja”. Gdy niemiecki marchand prosi o zrobienie kopii zaginionego podczas wojny obrazu, nikt nie zadaje zbędnych pytań. Zadanie zostaje powierzone utalentowanemu artyście Danielowi Asmanowi.

Kilka dni później w Rumii umiera biedna emerytka. Listonosz twierdzi, że słyszał strzały, ale w ciele kobiety nie ma śladu po kulach. W domu wszystko jest na swoim miejscu. Dwie brudne filizanki leżą w zlewie, łóżko jest zaściłane, a nad nim wisi niewielki obraz.

Śledztwem kieruje Malena Marklund, żona Daniela. Wkrótce okazuje się, że sprawa tajemniczych zleceń, niewyjaśnionej śmierci staruszki i przybycia do Trójmiasta pięknej holenderskiej jubilerki Anastazji mają ze sobą więcej wspólnego, niż ktokolwiek jest w stanie podejrzewać...





SMOKOPOLITAN

CZASOPISMO OD FANÓW DLA FANÓW

www.smokopolitan.pl



rys. M.Z.



SPADAJĄC

Rafał Nowakowski

1.

Obudził mnie świst powietrza w uszach. I smagnięcia wiatru. Popychały mnie uporczywie do tyłu. Spróbowałem wstać na równe nogi. Zamiast tego wywinąłem kozła i zacząłem obracać się wokół siebie. Otworzyłem szeroko oczy. Wokół mnie było coś, jak nieskończone zwoje szarego filcu. Leciałem przez przestrzeń. Spadałem. Spadałem!

Obok mnie spadali inni. Wszyscy spadali. Lecieli w dół. Wszyscy... spadaliśmy.

Byłem w szoku. Nie wiem, ile czasu minęło. Cały czas spadaliśmy. Znajdowaliśmy się w stanie spadania, odkąd mogłem pamiętać. Lecieliśmy w dół, choć nie zawsze równolegle, nie zawsze pod tym samym kątem. Czasem kąt ruchu był tak dziwny, że wydawało się, jakby ktoś przelatował koło mnie skośnie lub prostopadle z jednej czy z drugiej strony. W każdej chwili czyjś wypięty tyłek mógł wałnąć mnie w policzek, albo czyjeś kolano mogło uderzyć mnie w łokieć czy w piersi.

Spadaliśmy w otchłań. Lecieliśmy w ciemności z góry na dół. W przestrzeni wokół nas panował mrok, ale my sami byliśmy otoczeni żółtawą, niewyraźną poświatą, jak migoczące światło posputej żarówki.

Pęd powietrza szarpał moje dziwaczne ubranie. Miałem na sobie garnitur, pod nim białą bufiastą koszulę z falbanami i koronkowymi mankietami, przypominającą siedemnastowieczne stroje arystokracji, a na moich nogach tkwiły strażackie buty. Inni wokół mnie nosili równie nietypowe kostiumy. Spadałem wciąż w strumieniu światła, przypominającym promień reflektora. Najwyraźniej byłem przebrany do jakiejś roli, jak inni wokół mnie.

Trudno powiedzieć, jak długo spadaliśmy, bowiem nie było tu dnia ani nocy, nie czuliśmy głodu, zimna ani zmęczenia. Jednak trwało to tak długo, aż wyrosły mi długie włosy i paznokcie. Trzeba było jakoś sobie uporządkować sobie życie podczas spadania. Niektórzy starali się stanąć prosto w pionie, jednak wówczas ciała nabierały prędkości i spadały jeszcze szybciej. Najwygodniej okazało się spoczywać lekko uniesionym, jakby kołysząc się w nieistniejącym hamaku.

I tak przelatywaliśmy obok siebie. Niektórzy chwyтали się za ręce lub obejmowali ramionami i spadali połączeni. Widziałem grupę, która rozmawiała, próbując przekrzyczeć szum powietrza.

Znów uderzyłem ramieniem o czyjąś nogę. Zabolało. Wówczas zobaczyłem, jak ktoś wpadł na kogoś innego. Usłyszałem krzyki i trzask łamanych kości, zobaczyłem rozbryzgi krwi. Obydwa ciała wypadły ze swoich strumieni światła i wirując bezwładnie jak manekiny, uleciały w otaczającą nas ciemność. Przypadkowe ofiary.

Spadałem więc dalej sam i zadawałem sobie pytania. Dlaczego nie wszyscy spadaliśmy pionowo? Jakby gdzieś kiedyś wypuszczono nas wszystkich razem, ale od tego czasu każdy powietrzny tunel, każda trajektoria wypaczyły się w stosunku do pierwotnego kierunku. A więc, czy mieliśmy gdzieś upaść, czy po prostu mieliśmy spadać przez całą wieczność? Jeśli tak, otchłanią była cała przestrzeń wokół nas, gdzie panowała ciemność, która rozpraszała jednostajne światło.

No tak, światło. Jasność nie wypływała z nas. Każdy z nas leciał we własnym strumieniu światła, które podążało za naszym ruchem. To dlatego wydawało się, że byliśmy otoczeni jasną poświatą. Podążaliśmy ku otchłani w strumieniach albo tunelach światła. Myślałem, że to akt łaski wobec nas, ale po czasie stwierdziłem, że światło rozjaśniało mrok tylko po to, aby łatwiej nas było obserwować.

Jedyne, co można było zrobić, to oddać się przestrzeni, lecieć i przyglądać się, jak inni przelatywali obok ciebie, wyczyniając dziwaczne ruchy podczas spadania. Jak zachowywali się w obliczu otchłani, jak się szamotali, jakie postawy przyjmowali. Jak próbowali zachować spokój i równowagę.

Chciałem porozmawiać z kimś obok mnie. Mężczyzna w śmiesznej czapce kolejarskiej spadał inaczej niż ja, spoczywając na brzuchu, pchany przez pęd powietrza. Krzyknąłem do niego. Tamten zmrużył oczy, potrząsnął głową i nachylił się do mnie. Wtedy nagle z góry ktoś przeleciał między nami i butem uderzył go w bark. Facet zwinął się z bólu i zawirował, pod wpływem uderzenia zmienił trajektorię i odleciał z krzykiem, obracając się wokół własnej osi.

2.

Spadałem dalej, posępny i bezradny. Rozpamiętywałem niedawny wypadek. Wówczas postanowiłem chwycić się kogoś. To mógł być jedyny stały punkt oparcia. Może w ten sposób opóźnimy swój upadek?

Postanowiłem wybrać kogoś blisko mnie. Kto nie cofał wzroku? Kto spojrzy mi w oczy? Zobaczyłem dziewczynę w jasnoróżowym uniformie kelnerki albo sprzedawczyni w cukierni.

– Czemu oddychamy? Czemu nie czujemy głodu? – odezwał się półgłosem, częściowo do siebie, częściowo do kobiety znajdującej się nieco za moim lewym ramieniem, z głową zwróconą ku mnie.

– To tylko złudzenie. Zamknęli nas wszystkich w jednym miejscu i coś nam podali. Albo trzymają nas podłączonych do zestawów wirtualnej rzeczywistości – mówiła szybko, z zaciętymi ustami. Jednak obejrzała się ciekawie w moją stronę.

Zaczęliśmy rozmawiać. Lecąc, obróciliśmy się ku sobie i omawialiśmy jej racjonalną hipotezę. Teraz spadaliśmy bokiem. Wiatr rozwiewał nam ubranie. Kobieta poprawiała swoją różową spódnicę.

Rozkołysaliśmy się oboje. Zamachaliśmy rękoma jak pływacy i zdołaliśmy zbliżyć się do siebie mimo pędu powietrza. Chwyciliśmy się mocno. Bliskość oddaliła wszechobecny szum. Poczułem jej zapach, gładką skórę w zagłębieniu szyi, delikatne kobiece ramiona i smukłe palce. Jej ciało zeszywniało w moim uścisku.

Utknęliśmy w swoich objęciach. Między nami rosło uczucie skrępowania. Jednak bliskość ciał zrobiła swoje. Doznałem erekcji, ocierając się o jej udo. Ogarnęło mnie zażenowanie i wstyd, ale nie potrafiłem walczyć ze swoją fizjologią.

Wówczas kobieta odchyliła głowę i odezwała się do mnie:

– No dobrze. I co dalej? – mówiąc to, odsunęła się nieco, mierząc mnie lodowatym spojrzeniem. – Nie oprzemy się sile instynktów. Będziemy się pieprzyć. Zapłodnisz mnie. Spuchnę. Wypadną mi zęby. Dziecko wyjdzie na świat, rozrywając moje krocze. Odleci tak daleko, na ile pozwoli naciągnięta pępowina. Wciąż jednak będzie zrosnięte z moimi trzewiami. Przegryziesz pępowinę, a wówczas ono siłą bezwładu odleci w kosmos. W tę otchłań. Mrugając niewidzącymi oczami i bezradnie szukając pokarmu. Tego chcesz? Tak ma być?

Mówiąc to, wyprężyła się, podciągnęła nogę i kolaniem uderzyła mnie w splot słoneczny, a potem kopnęła piętą w podbrzusze. Błyskawicznie oderwaliśmy się od siebie. Znowu zakręciłem się i uderzyłem w kogoś, rozcinając sobie ucho. Kobieta w różowym uniformie odleciała, wirując, po czym też wpadła na jakąś osobę, a z jej nosa popłynęła krew. Oddalaliśmy się coraz wolniej, w końcu dystans między nami przestał rosnąć.

Zaburzyliśmy tory spadających ciał. Inni ludzie wpadali na siebie, zwalniając lot. Zaczynali krążyć wokół siebie, zataczając coraz szersze kręgi. Obracali się wokół siebie na swoich orbitach.

Promienie światła pomieszały się, zmętniały, słabły. Świetlne strumienie traciły jaskrawość.

Wirowaliśmy wokół siebie z coraz większą siłą odśrodkową. Nie mogliśmy ani oddalić, ani zbliżyć się do siebie, bo dwie siły równoważyły się.

Krążyliśmy wokół siebie. Wyglądaliśmy jak groteskowe gwiazdozbiory i układy planetarne.

rys. Roman Panasiuk



ZBIERALI SIĘ W PIWNICY TEGO BUDYNKU WIECZORAMI

Damian Zdanowicz

O tym miejscu dowiedziałem się od przyjaciela, a właściwie od kogoś, kto kiedyś był moim przyjacielem, a z kim od dłuższego czasu nie utrzymywałem żadnego kontaktu. Nasze drogi rozeszły się, odkąd zamieszkał po drugiej stronie miasta. Nie bardzo żałowałem takiego obrotu spraw, bo zawsze wydawał mi się osobą pozbawioną pewnej głębi, czy może raczej

wrażliwości, którą cenię w ludziach. Pamiętam, że w dniu, w którym opowiedział mi o tym miejscu, spotkaliśmy się przypadkiem. Miałem do pokonania jeszcze dwa przystanki, on wracał do swojego mieszkania po drugiej stronie miasta.

Autobus zatrzymał się, pasażerowie wysiedli. Mój dawny przyjaciel zaproponował papierosa, ale odmówiłem. Żeby wypełnić czymś krępującą ciszę, która zapadła nagle między nami, zaczął opowiadać. Było to z jego strony działanie impulsywne, może nawet pochopne, jakiś wybryk języka, który, pod presją zbliżającego się ostatniego przystanku, wyrzucił na świat słowa nieprzetworzone, koncepcje nie do końca przemyślane; w każdym razie mój dawny przyjaciel co chwilę potykał się w swoim opowiadaniu i, kiedy wreszcie doznał do czegoś, co z braku lepszej alternatywy musieliśmy uznać za koniec, sam wyglądał na zdziwionego rezultatem. Coś, co miało być anegdotą, ostatecznie, opuściwszy bezpieczne schronienie w umyśle mojego dawnego przyjaciela, jawiło nam się jako stworzone techniką kolazu dzieło twórcy wyzwolonego spod wszystkich zasad logiki i spójności. Poszczególne elementy nie pasowały do siebie, między ich połączeniami brakowało sensu. Mój dawny przyjaciel próbował ratować sytuację, ale dociekliwymi pytaniami obnażyłem dziury w jego opowieści, tę ogromną pustkę ziejącą spod naprędce szytego płaszcza pozornej sensowności. Mrużył brwi nad rozsypiskiem faktów i domysłów, coraz silniej zaciągał się papierosem. Przypuszczam, że zaczął żałować, iż w ogóle podzielił się ze mną wspomnieniem o tym, jak mówił: „miejscu kuriozalnych przedstawień”, a stało się tak na zasadzie skojarzeń, bo i mnie miał za dziwaka i, co może ważniejsze, to miejsce znajdowało się tuż obok mojego mieszkania. Tuż przed ostatnim przystankiem zawarliśmy szybki rozejm wyrażony wzruszeniem ramion i przypieczętowany uściskiem dłoni. *W gruncie rzeczy każdemu może się zdarzyć, nawet ludziom takim jak on*, uznałem wtedy i z litości dla niego zająłem myśli czymś innym.

O historii przypomniałem sobie dopiero, gdy doszły mnie plotki, że niedługo po naszej rozmowie mój dawny przyjaciel porzucił żonę i dziecko i że zniknął bez wieści gdzieś za południową granicą kraju.

To wtedy zacząłem zwracać uwagę na tamto miejsce, na tamtą kamienicę, tak bliską wynajmowanego przeze mnie mieszkania, tak znajomą, ale nagle na powrót obcą. Postrzegając kamienicę przez pryzmat opowieści o dziwnych wieczornych zebraniach, które odbywały się w piwnicy pod nią, uległem potrzebie zrozumienia. Długie godziny spędzone na obserwacji okien nie dostarczyły żadnych rezultatów, za dnia nic się za nimi nie poruszało, a nocą wypełniała je czerń. Wyloty kominów bezużytecznie celowały w niebo. Kamienica była we względnie dobrym stanie i sprawiała wrażenie nie tyle opuszczonej, co czekającej.

Gdzieniedzie widziałem pęknięcia rysujące się białymi bliznami na czerwonym, wzdętym kadłubie ceglanego budynku oraz popielate skupiska dzikiego bluszczu, jednak nic nie wyjaśniało, dlaczego to miejsce jest nieużywane. Próbowałem dostać się do środka zamkniętej kamienicy, obchodziłem ją dookoła i szarpałem za klamki. Daremność tych prób powetowałem sobie zakupem lornetki, dzięki której potwierdziłem swoje wcześniejsze obserwacje: każdy pokój i korytarz budynku naprzeciwko okazał się pusty, pozbawiony szczegółów, utrzymany w nijakim kolorze. *Atrapa*, myślałem.

Oczywiście byli też oni. Zgodnie z opowieścią mojego dawnego przyjaciela zbierali się w piwnicy tego budynku wieczorami, ale nigdy nie widziałem, by zaludniali górne piętra, które pozostawały bezużyteczne, przestronne i, w moim wyobrażeniu, coraz bardziej nierealne, coraz bardziej wydumane.

Znalazłszy się w martwym punkcie i gnany przez rosnącą ciekawość, musiałem zrezygnować z badania pięter kamienicy i zacząć od podstaw, od tego, na czym kamienica wyrastała, mając nadzieję, że odnajdę tam coś, co uzasadni, a może uzupełni niedoskonałą pustkę zmyślenia. W piątkowy wieczór ubrałem płaszcz i poszedłem na jedno z tych spotkań, które mój były przyjaciel bezskutecznie próbował opisać i wydrwić.

Jak się okazało, ludzie zbierający się w piwnicy wiedzieli o budynku niewiele więcej niż ja i nie przejawiali prawie żadnego zainteresowania tematem. Odpowiadali na moje pytania uprzejmie, a nawet przepaszali za swoją niewiedzę, jednakże, jak twierdzili, nie mogli mi pomóc, bo nie interesowali się górnymi piętrami kamienicy, które uznawali za coś pozbawionego znaczenia. Jeden z nich określił je jako „marnowanie przestrzeni”, oraz „wybujął infrastrukuralną maskaradę”, jednak człowiek ten zamilkł i bez słowa odszedł na drugi koniec piwnicy, kiedy spytałem, co dokładnie przez to rozumie.

Wszelkie domysły co do budynku i jego właściciela pozostawały mgliste, oparte na nigdy niedokończonych konwersacjach, które prowadzili ze mną oszczędnie i z dość niepokojącą powściągliwością. Podczas tych rozmów uśmiechali się i samą mową ciała utwierdzali mnie w przekonaniu, że są nastawieni życzliwie. Z początku nie mogłem zrozumieć tej pozornej sprzeczności między ich grzecznością a małomównością. Próbując jakoś to sobie wyjaśnić, uznałem, że mowa stanowi dla nich dyskomfort, jakby wypowiedanie słów wiązało się z bólem. Było to wytłumaczenie niedoskonałe, bo na ich twarzach nie widziałem oznak żadnego bólu, żadnych grymasów, a słów nie zniekształcali, jak się to robi pod wpływem cierpienia. Po prostu mówili zbyt szybko i zbyt oszczędnie, jakby chcieli już mieć to za sobą.

Po godzinie mojej obecności w piwnicy te nasze rozmowy weszły w drugą fazę. Wyraźnie znudzeni, ci, którzy przyszli do piwnicy jako pierwsi, czasem nawet dwie albo i trzy godziny przed właściwym rozpoczęciem, tracąc wcześniejszą powściągliwość, popadli w przeciwną skrajność. Zapamiętałem, jak toczona rozmowa niespodziewanie przerodziła się w monolog mojego rozmówcy, jak daremne były próby wtrącenia własnych słów w ten niepenetrowalny potok mowy, którym mnie zalewał, a to, co mówił, stawało się coraz dziwniejsze, zbyt ściśle powiązane z metafizyką. Oczy mojego rozmówcy rozszerzyły się nagle, a jego dłonie zacisnęły w pięści. Toczył dookoła przerażonym spojrzeniem, ale nie mógł już opanować własnego języka, któremu zbyt pofolgował i który ożywał teraz, wyrzucając na świat słowa momentalnie obrastające brzemieniem znaczeń. Oniemiały słuchałem objawianych prawd i nie mogę tutaj przytoczyć niczego, co wtedy usłyszałem, nie potrafię przekazać sensu tych słów. Nie jestem nawet pewien, czy pojąłem ich sens, tak samo jak nie mam pewności, czy ten język był mi znany, czy może interpretowałem treści w jakiś nietradycyjny sposób. Było w tym coś nieuchwytnego. Mój rozmówca zamilkł; jego głos załamał się nagle pod ciężarem wypowiedzianych słów i zaległa cisza, w którą przypadły wszelkie konwersacje toczone przy małym stoliku. Znalazłszy się niespodziewanie w tej studni milczenia, niemal słyszałem echo ostatnich obco brzmiących zdań, i rozwarstwiały się te prorocze wieszczby na półprawdy i zmyślenia, po czym ulatywały kanałami wentylacyjnymi w puste przestrzenie górnych pięter kamienicy.

Po tej przemowie inni rozglądali się z zakłopotaniem po pustych ścianach podziemia, ale surowy kamień nie mógł rozproszyć rozmyślań nad słowami, które wypadały, nieumyślnie się z kogoś wytoczyły. Pili kawę, próbując nadać chwili pozory normalności, a ja szybko zacząłem ich naśladować.

Gdyby mogli, z chęcią obeszliby się bez tych pogawędek, ale nikt nie śmiał spóźnić się na piątkowe zebrania, przychodzili więc (a ja z nimi) zbyt szybko, a wtedy znudzeni zaczęliśmy rozmawiać.

Osobą, która zawsze ostatnia zjawiała się w piwnicy, był Sztukmistrz. Sam nie lubiłem tego określenia. Kojarzyło mi się z kapeluszem prestidigitatora i tanimi sztuczkami nieudolnych magików. Tylko niektórzy z nas preferowali tę nazwę. Jeśli się nie mylę, ci ludzie pracowali na budowie, a gdy siadali na krzesłach ustawionych w okrąg pośrodku piwnicy, ich wielkie ciała ledwie się na nich mieściły, potężne uda wylewały się poza siedziska, a łapska zwisały smętnie do podłogi. Wśród nas była też sprzątaczką, kierowca, hydraulik, który pewnego dnia został wezwany przez właścicielkę kamienicy do naprawienia awarii w moim mieszkaniu i udawał, że mnie nie poznaje, szkolna katechetka i jeszcze kilku

ludzi nieznannej profesji. Różnili się na wiele sposobów, ale wszyscy milkli, gdy Sztukmistrz włączył światła i wchodził do pogrążonej w ciemnościach piwnicy.

– To bardzo proste – powiedział podczas pierwszego spotkania, na którym byłem. – Usiądźcie na krzesłach.

Zastosowaliśmy się do tego polecenia ślamazarnie, natrafiając w ciemnościach na obce dłonie i ciała, a przy dotyku natychmiast odskakując, chowając się w ciemność. Było przy tym trochę nerwowego śmiechu, parę wyszeptanych przeprosin, ale dominowało uczucie podszytej niepokojem ekscytacji. Ciemność pulsowała w wolnych fazach ciałami nieznanymi, oblekała się na moich oczach w szare formy organiczne, a dobywające się z niej głosy nie przypominały tych, które słyszałem podczas rozmów przy włączonym świetle. Ludzie szeptali jak w kościele, jakby w obliczu tajemnicy albo w obecności umierającego.

Kiedy udało mi się wreszcie znaleźć wolne krzesło, z ulgą opadłem na jego bezpieczne, twarde siedzisko. Podczas gdy inni krążyli wokół mnie, ja dotykałem nóg krzesła, które z taką śmiałością wbijały się w nieprzeniknioną ciemność i dążyły niżej, ciągle tak cudownie rzeczywiste. Czułem się spokojniejszy. Palcami śledziłem ich bieg w dół, ku podłodze, aż do momentu, gdy odkryłem, że nogi krzesła zapędziły się w tej wędrówce, w tym triumfalnym pochodzie w głąb rozmięklej, nierzeczywistej ciemności.

Nie znalazłem miejsca, w którym powinny spotkać się z podłogą.

Podłogi nie było. Manewrowałem na krzesle, próbując ją odnaleźć, lecz moje dłonie natrafiały jedynie na nieskończenie długie nogi krzesła. Ciemność wypaczała moją orientację w przestrzeni. Nagle zaczynało wydawać mi się, że wcale nie zapadłem się wraz z krzesłem pod podłogę, że przeciwnie – wznosimy się na niebotyczną wysokość, w rejony, do których nie dociera światło gwiazd.

– A teraz wstańcie.

Wbrew sobie usłuchałem rozkazu, a może to krzesło wyślizgnęło się spode mnie. Zanurzyłem się w ciemność i chociaż żaden wiatr nie szarpał moimi włosami i ubraniem, to czułem w żołądku charakterystyczny uścisk towarzyszący bezwładności. Nim zdążyłem krzyknąć, Sztukmistrz chwycił mnie pod ramię. Wrażenie spadania ustało, lecz zamiast ulgi poczułem niekontrolowane obrzydzenie. Może chodziło o nieprzyjemny zapach, ten zatęchły odór roztaczany przez kościstego mężczyznę, jednakże nie zrobiłem nic, żeby się wyzwolić, bo wiedziałem, że Sztukmistrz powstrzymał mnie przed upadkiem w nieznanne. Nie zauważyłem, że zbliżył się jeszcze bardziej, póki nie wyszeptał wprost do mojego ucha:

– Są tutaj ścieżki i tunele, którymi was poprowadzę. Poprowadzę tymi ścieżkami i tunelami każdego z was. Ale tamtego dnia nigdzie nas nie zaprowadził. Kiedy zaświeciła żarówka po sufitem, był już w korytarzu, szara nogawka garniturowych spodni mignęła mi przed oczami, a w chwilę później drzwi się zamknęły. Zostaliśmy sami wśród przewróconych krzeseł. Budowlańcy chowali zapłakane twarze w bochniastych dłoniach. Szkolna katecheta leżała na podłodze, wytrzeszczonymi oczami wpatrując się martwo w jakiś punkt na ścianie i poruszała ustami, które pozostawały nieme. Pomogliśmy jej wstać. Ktoś powiedział, że to jej pierwszy raz. Później dowiedziałem się, że niedługo po tym dniu przestała uczyć i zmieniła profesję.

To, co wydarzyło się pod koniec jesieni i trwało jakiś czas przez pierwszy miesiąc zimy, w większej mierze dotyczy mnie niż pozostałych osób, które przychodziły w piątek do piwnicy, chcąc doświadczyć czegoś metafizycznego. Można powiedzieć, że to ja byłem głównym bohaterem tych wydarzeń. Wynajmowałem mieszkanie na tej samej ulicy, przy której znajdował się uspiony budynek nieznanego właściciela, a z okna miałem widok na mały zagajnik drzew i biegnącą nim ścieżkę, którą wielu z nas chodziło na spotkania. Przez pierwszy tydzień spędziłem przed tym oknem niezliczone godziny, mając nadzieję, że w bezlistnej szarzyźnie dostrzegę ruch i ujrzę znajomą twarz jednego z moich piątkowych kolegów. Ale tak naprawdę czułem potrzebę ponownego spotkania Sztukmistrza. Pragnąłem ujrzeć go pomniejszonego przez odległość i perspektywę, pragnąłem móc zasłonić go kciukiem, dlatego zrywałem się skoro świt, siadałem przed oknem i patrzyłem, jak noc markuje swój odwrót pasmami szarości i mgły. Moje obserwacje przerywała w końcu konieczność wyjścia do pracy, ale po powrocie ostatnie godziny popołudnia, a także cały wieczór i noc spędzałem na krześle przed oknem, wpatrując się w ścieżkę. Znałem ją w najdrobniejszych szczegółach, wiedziałem, gdzie jest silna, a gdzie słaba, które momenty jej historii były kluczowe dla osiągnięcia aktualnego wyglądu, dostrzegałem wielorakość możliwości, które otwierały się przed nią w przeszłości, gdy była jeszcze młoda. Widziałem potencjalne ścieżki, które nigdy nie zaistniały. Dorysowywałem je sobie w moim oddechu osiadającym parą na oknie, tworząc swój własny obraz zagajnika, a mój rysunek wyglądał z drugiego końca pokoju jak poskręcane drzewo o wielu gałęziach i licznych korzeniach. W czasie tego jesiennego sezonu często zasypiałem na krześle przed oknem, mimo promieniującego ze szkła chłodu, i śniło mi się, że spadam w mrok, jednak nie towarzyszył

mi strach, jaki czułem w piwnicy. Mrok nie skrywał pustki, lecz nieskończone możliwości, setki tuneli i ścieżek, które mogłem przemierzyć, a jeszcze więcej tuneli i ścieżek wciąż nie stworzonych, lecz jawiących się w drobnych zarysach, w potencjalności, którą można było dośnić. Nigdy jednak nigdzie nie dotarłem tymi ścieżkami. Gdy kończyła się substancja snu, ciemność, dotąd podatna na kształtowanie, twardniała wokół mnie i budziłem się skulony na zimnej podłodze wynajmowanego mieszkania, drżąc na ciele i szczękając zębami.

Dopiero w obecności Sztukmistrza śnione przez nas ścieżki nie zapadały się jak zbyt głęboko drążone tunele, i prowadziły w miejsca, gdzie dostępowaliśmy mrocznych objawień. Łapał nas za ramiona, podtrzymywał, gdy w swej wędrówce potykaliśmy się i upadaliśmy, rozciągał czarne zasłony, które opadały na nasze oczy i uwalniał nasze grzęznące stopy. Na rozwidleniach ścieżek wskazywał nam właściwy kierunek, a czasem szarpał nasze ręce i, niemal podskakując, zaciągał w którąś odnogę, zmieniając się w gнома oprowadzającego po swoim podziemnym królestwie i tracąc dotychczasową majestatyczność – najwyraźniej i jemu udzielały się emocje tych podróży, i on był ciekaw tego, co ostatecznie znajdowaliśmy u ich kresu. Nigdy jednak nie doszliśmy do żadnego miejsca, które można by uznać za ślepy zaułek czy za miejsce ostateczne. W ciemnościach wszystko było potencjalne, a docierając do tego, co wydawało nam się końcem podróży, odkrywaliśmy kolejne rozgałęzienia i ścieżki, w które popychał nas przewodnik. Zawsze był nieco rozczarowany, gdy nogi nie mogły nas już dalej nieść i pomimo jego ponagleń siadaliśmy wyczerpani. Wtedy nas opuszczał. Znikał nagle, a my znów zaczynaliśmy spadać i budziliśmy się oślepieni światłem na podłodze piwnicy. Jego już nie było.

Rozmowy kończące piątkowe wieczory były zdawkowe, w największym stopniu ograniczone. Nie dzieliliśmy się ze sobą tym, co znajdowaliśmy podczas podróży, odnosiliśmy wrażenie, że w ogóle nie jest możliwe opisanie tego w „zwykły sposób”, jakby w naszym języku brakowało słów, a w naszych umysłach myśli, które mogłyby podołać zadaniu. Z tego powodu również i w tym miejscu nie podejmę takiej próby. Zdaję sobie sprawę, że jest skazana na niepowodzenie, a nawet grozi sprowokowaniem niekontrolowanego językowego rozpasania, tego piwnicznego nawiedzenia ciał, czy bardziej precyzyjnie, narządów mowy, które zachodziło, gdy ktoś za bardzo się rozpędził i mówił zbyt wiele.

Całkiem możliwe zresztą, że mówiąc o „nawiedzeniu”, trochę się zagalopowałem, jako że tak naprawdę, prócz subiektywnych doznań, nie ma przekonujących dowodów ingerencji żadnej siły zewnętrznej, o czym z pewnością zaświadczyłby postronny obserwator, gdyby z jakiegoś powodu przywędrował nocą pod okno piwniczne i mógł snopem latarki rozświetlić

ciemności pomieszczenia. Przypuszczam, że w jego oczach horror ograniczyłby się jedynie do kręgu ciał podrygujących konwulsyjnie w ataku podobnym do padaczki, chociaż i tych przypuszczeń nie jestem w stanie udowodnić, a nawet wydają się one niezgodne z moimi doświadczeniami. Prawda o zewnętrznym lub wewnętrznym charakterze tego fenomenu może zresztą leżeć gdzieś pośrodku, jako że ataki padaczki były w przeszłości kojarzone z opętaniem, a wyczuwana przez nas obcość fenomenu mogła być obcością wewnętrzną, jakąś głęboką, nieodkrytą dotąd właściwością naszych organizmów. W gruncie rzeczy, badacz tego zjawiska, jak każdy inny badacz, który zetknął się w swym poznaniu z anomalią, powinien zapomnieć o stronniczości i nie uznawać anomalii za coś występnego, przeciwnego naturze, lecz traktować ją w tym względzie na równych prawach z wszelkimi innymi procesami, do których jest jako człowiek przyzwyczajony, nawet wciągnąć ją w zbiór tych naturalnych procesów. Jeśli nie jest w stanie tego zrobić, to albo odwróci się w przerażeniu od prawdy, albo, jak ja, będzie zmuszony zanegować naturalność wszelkich poznanych dotąd procesów, tworzących coś, co znał niegdyś pod pojęciem „ładu” (właściwie nie będzie miał wyboru), łuski spadną z jego oczu i wszędzie zacznie dostrzegać anomalię, sam stanie się we własnych oczach najbardziej dziwnym wybrykiem perwersyjnej natury ożywionej, która zresztą sama w sobie jest aberracją. Po tym rozpadzie naturalnego porządku rzeczy odwrót jest niemożliwy, pozostaje jedynie z lękiem wyczekiwać wyłonienia się nowych fenomenów, nurzających się gdzieś na niepoznanym dnie czarnego bagniska ciała i umysłu. Słowem, człowiek, raz straciwszy panowanie nad swoim ciałem, a nawet nad tak małym jego fragmentem jak aparat mowy czy język, przekonuje się, że w istocie nigdy nie był „kimś” ani nawet „czymś” więcej, niż funkcją śledzenia myśli aktualnie przewijającej się przez pofałdowane zagłębienia i kawerny mózgu – obcego, podejrzanego i nigdy niewidzianego narządu; nigdy nie był niczym więcej niż obserwatorem gęstej tafli czarnego bagniska, którą łamią zatopione, blade horrory. Pojawienie się tego przekonania jest oznaką, że niepowstrzymany rozpad trwa już od jakiegoś czasu.

Niezależnie od tego, czy już wtedy zdawaliśmy sobie z tego sprawę, czy może wystarczała nam sama dziwność fenomenu, milczeliśmy przepełnieni lękiem. Rozmawialiśmy dopiero w kolejny piątek, w oczekiwaniu na następną sesję. Nawet wtedy staraliśmy się nie poruszać tematów najważniejszych, chociaż, jak już wspomniałem, słowa czasem wytaczały się z nas same. Woleliśmy natomiast mówić o naszym przewodniku. Osoby uważające się za dobrze poinformowane donosiły, że jest bezdomny i za dużo pije. Mówiono, że kiedyś był buddystą, że uważano go za mędrca. Obecnie, według tych rewelacji, ledwie utrzymywał się na powierzchni i chociaż unikał ludzi, to widziano go, jak żebrał, albo

żywił się odpadami z publicznych śmietników. Gorzej poinformowanym pozostało jedynie odnieść się do zabawnej fertyczności, która pomniejszała przewodnika w naszych oczach.

– Niedobrze mi się robi, gdy za nim idę – stwierdził jeden z budowlańców. – Czuję się, jakbym wyprowadzał na spacer psa. Odwraca się do mnie i szczyrzy zęby, chodzi, jakby merdał ogonem. Gdy nie mogłem już iść, próbował wziąć mnie na ręce. Odepchnąłem go, ale on podbiegał, próbował mnie podnieść. Wreszcie musiałem go uderzyć.

To wyznanie przerwało nieliczne rozmowy, zapadła cisza.

– Chciałem, żeby dał mi spokój! Nie rozumiał, że jestem już wyczerpany. No, co tak patrzycie? Wicie przecież, że nasze zmęczenie nie wynika ze słabości mięśni, ale z niezdolności do przyswojenia tego wszystkiego. Po pewnym czasie zbyt dużo tego, schodzimy zbyt głęboko i dlatego nie możemy iść tak daleko, jak on by tego chciał. Nasza słabość to nie słabość mięśni, lecz raczej zbyt niska tolerancja. A on, ten chudzielec, ten strach na wróble, on by mnie poniósł, bo, tak jak mówię, tu nie chodzi o mięśnie. Mógłby to zrobić, ponieść mnie aż na sam koniec, na sam najczarniejszy dół.

Nikt mu nie odpowiedział. Nie ufaliśmy naszym językom – byliśmy zupełnie bezbronni w obliczu tego fenomenu, tej niespodziewanej niesubordynacji naszej mowy, której widmo unosiło się wciąż nad nami. Poza piwnicą żadne z nas nie doświadczyło takiego mechanizmu. Słyszeliśmy jednak o greckich wyroczniach, o ślepych jasnowidzach, natchnionych pustelnikach albo o średniowiecznych mnichach, których języki rozsypywały się nagle i wylewały z siebie niezrozumiałe objawienia. Te analogie budziły nasze przerażenie. Co by się stało, gdybyśmy się nie opierali i zamiast stawiać tamy, pozwolili rozlać się potokom mowy? Czuliśmy, że to, co wówczas wytoczyłoby się z naszych wnętrz, stopniowo zyskiwałoby coraz dziwniejszą treść, żyło własnym życiem, wykorzystując nasze usta w celu artykulacji tego, co niezrozumiałe, nakładało się na siebie, zyskiwało siłę, a wraz z siłą odrębność. Będąc częściowo oświeconymi co do natury tego czegoś, wiedzieliśmy, że dla naszych uszu ta wynaturzona mowa brzmiałaby obco i nie moglibyśmy nawet zrozumieć tajemnic, które padłyby z naszych ust, gdybyśmy ostatecznie oddali nad nimi kontrolę. Coś takiego prowadziło prosto do pomieszania zmysłów i szaleństwa. Dlatego trwaliśmy w ascetycznym milczeniu, tamując ogromny potencjał, który pęczniał w nas jak czarny guz.

A jednak mimo całej zgrozy zawsze przychodziliśmy w piątki do piwnicy, żeby odbyć kolejną podróż w głąb. Potrzebowaliśmy tego. Wielu z nas nie wiedziało o tym, póki nie spróbowało, ale ten głód był w nas zawsze, od początku naszego życia i gdy po raz pierwszy zaspokoiliśmy go czymś prawdziwym, a nie jakimś tam marnym surogatem, którego mnisi poszukują w ciasnych klitkach swoich cel, a wrażliwe dusze w gwiazdach albo falujących

plomieniach ogniska, wtedy już wiedzieliśmy, że nigdy nie będziemy mogli powrócić do wcześniejszych pustych egzystencji.

Dlatego tak wielkie było nasze przerażenie, gdy tego dnia przewodnik nie zjawił się w piwnicy, a my musieliśmy wreszcie przyznać się przed sobą, że jedyne, co nam pozostało, to wrócić do domów. Bez niego nie odważyliśmy się wyłączyć światła.

W następnym tygodniu spadł pierwszy śnieg. Z okna swojego mieszkania patrzyłem, jak zimowe mrozy skuwają ziemię, a drzewa trzęsą się na wietrze. Sam drżącym palcem rysowałem na szybie chaotyczne wzory. Zacząłem dostrzegać je także w drodze do pracy – narysowane patykiem na śniegu, zamrożone na oknach budynków czy wycięte nożem na fotelach w autobusie, wzory te zdawały się nie przyciągać niczyjej uwagi. Wiedziałem, że tworzą je moi piątkowi koledzy, gnębieni tym samym metafizycznym głodem, który dręczył i mnie. W tym czasie moje sny stały się majaczeniami umysłu trawionego gorączką. Zamykając oczy, widziałem te wzory, które czernią układały się na czerni moich powiek. Snułem się bez celu w ich enigmatycznym labiryncie, po czym budziłem się, gdy sen gęstniał. Przestałem pojawiać się w pracy. Roztrzęsiony i skrajnie wyczerpany całe dni patrzyłem przez okno, jedząc i pijąc w minimalnych ilościach wtedy, gdy uważałem, że już pora, że nie mogę dłużej czekać na nadejście głodu czy pragnienia. Stopniowo zacząłem ulegać myśli, że z racji mojego miejsca zamieszkania muszę podjąć kroki mające na celu powrót do stanu normalności – za który uważałem copiątkowe spotkania w piwnicy budynku naprzeciwko zagajnika, nie zaś życie prowadzone przed poznaniem Sztukmistrza. To ostatnie wydawało mi się czymś niezrozumiałym i obcym.

Pewnego dnia po zmierzchu wstałem z krzesła, ubrałem się ciepło (co nie pomogło na dreszcze) i wyszedłem z mieszkania. Z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza wędrowałem wyludnionymi ulicami, odnajdując w nich odbicie labiryntu, o którym śniłem. Dopiero po dłuższej wędrówce nogi przywiodły mnie pod drzwi piwnicy.

Wszedłem do środka. Piwnica była pusta, już od kilku tygodni nikt nie przychodził na spotkania, a jeśli ktoś zaglądał do środka, to tylko na chwilę, bez zbytej nadziei na powrót do normalności.

Było dostatecznie jasno, nie musiałem włączać światła. Kilkukrotnie przemierzyłem pustą salę. Miałem wrażenie bycia zauważonym, choć nie w tym sensie, że ktoś mógł na mnie patrzeć. Chodziło raczej o to, że ktoś lub coś zdawało sobie sprawę z mojej obecności.

Może dlatego, że byłem sam, a może z jeszcze innego powodu, nie powstrzymałem słów, które cisnęły mi się na usta i to w sposób bardziej natarczywy oraz nagły niż zwykle miało to miejsce w piwnicy. Najpierw wydobył się ze mnie cichy, obco brzmiący szept, który

chwilę później urósł do wyraźnej, lecz niezrozumiałej mowy w nieznanym języku. Chociaż słowa wydobywały się ze mnie, to nie ja mówiłem. Byłem raczej instrumentem, na którym coś, animując mój aparat mowy, wygrywało swoją muzykę. Powstrzymując przerażenie i chęć ucieczki, uczepony klamki od drzwi, próbowałem zrozumieć obcą mowę, a moja zdolność do rozumienia, do bycia w ogóle, malała w zastraszającym tempie, bowiem kurczyłem się w sobie, malałem i byłem spychany do prymitywnego odczuwania tych części ciała, które, można tak powiedzieć, wciąż należały do mnie, a przynajmniej nie buntowały się otwarcie. Wyższy proces bycia, w postaci myślenia, stał się niemożliwy. Zapadałem się w tym litościwym ogłupieniu, w tej atrofii procesów myślowych tak szybko, że nie zdążyłem świadomie pojąć znaczenia słów, chociaż im dłużej je słyszałem, tym bardziej złowróżbna zdawała się ich treść. Nawet wtedy, znizony w swoim rozumowaniu do prymitywnego zwierzęcia działającego na zasadzie impulsów, nie mogłem dłużej słuchać tego głosu. Czulem, jak nie mój język porusza się w ustach, jak skacze po podniebieniu, wydając syczące dźwięki i mokre gulgoty, jak kuli się za zębami. Wbiłem weń paznokcie, szarpnąłem. Zęby zatrzaskały się, wgrzyły, ból przyćmił pokój szarością. Wszystko zaczęło mięknąć i rozluźniać się, w centrum został twardy rdzeń wypełniony stęzającymi mięśniami i agonialnym bólem, ale cała reszta odpłynęła w mrok, w którym rozchodził się dźwięk nieznanych słów.

Kiedy wróciła świadomość, mrok pozostał. Leżałem na podłodze, a przez małe okienka pod sufitem piwnicy nie wpadał nawet najślabszy promień światła. Byłem sam w całkowitych ciemnościach. Tym razem nikt nie zapalił światła.

Czy już wtedy, gdy wyszedłem pod czarne niebo, na którym nie było księżycy i gwiazd, czy już wtedy wiedziałem, że ten koszmar jeszcze się nie skończył i że coś w otaczającym mnie świecie uległo przesunięciu, może nawet wywróceniu? Odnosiłem wrażenie, że napiera na mnie coś obcego, lecz byłem zbyt oszołomiony, by już wtedy wyodrębnić szczegóły, które składały się na to wrażenie. Poczłapałem do mieszkania, a światło przydrożnych latarni było tak słabe, że co rusz zapadałem się w śnieżne zasy, chociaż dobrze pamiętałem, że kiedy tego wieczoru wchodziłem do piwnicy, śnieg kładł się na ziemi jedynie cienką warstwą. Ile czasu minęło? Czy spędziłem w piwnicy ledwie parę godzin, czy kilka dni? Te myśli zaprzętały moją głowę, gdy przemierzyłem uśpione klatki schodowe i wszedłszy do wynajmowanego mieszkania, ległem na łóżku. Z tymi myślami, otępiony tabletkami przeciwbólowymi, zasnąłem i po raz pierwszy od dłuższego czasu nie śniłem o niczym, całkowicie rozpluwając się w ciemnościach.

Teraz, widząc i znając prawdę z bolesną wyraznością, tęsknię do tamtej ostatniej nocy, którą spędziłem w nieświadomości, umysłem wciąż pozostając na górze, chociaż ciałem byłem już po tej stronie.

Obecnie nie ma już miejsca na błogą nieświadomość, cudowną ignorancję. Wystarczyło nazajutrz zwlec się z poplamionego krwią łóżka i podejść do okna, żeby w jednym, bolesnym rozbłysku szarego, zbrukanego światła tego nowego świata stoczyć się na samo dno rozpacz, żeby z widmowego odbicia obcej twarzy, które widziałem na szybie, uleciało wszystko prócz przerażenia i żeby ta twarz stała się ohydną maską oświeconego.

Oto, co zobaczyłem:

Błady krążek anemicznego słońca zawisł na skraju wąskiego pasma szarego nieba, które jak gasnący płomień znikalo wchłaniane ze wszystkich stron przez pulsującą narośl, jakąś organiczną chmurę, z której opadały z wolna czarne płyty materii. Opadały te postrzępione fragmenty czerni i kładły się jak cienie bez obiektów na budynkach mojego miasta, jego uliczkach i chodnikach, przed stopy snujących się przechodniów, opadały i tworzyły zasy, i nie były to, jak myślałem wczoraj, brnąc przez nie w drodze do mieszkania, zasy śniegu. Wciąż nowe warstwy w niepojętej ilości zsuwały się z góry jak martwe ptaki, odrywały się od czarnego sklepienia, czasem zachowując półkulisty kształt wydrążonych korytarzy lub proste kąty pomieszczeń labiryntu, który przemierzałem tyle razy. Teraz widziałem go z zewnątrz, patrzyłem na spodnią warstwę labiryntu, jakbym patrzył z perspektywy umarłego na korzenie drzewa, zaś wokół mnie rozciągała się nieudolna kopia mojego dawnego miasta, już na pierwszy rzut oka wyglądająca jak falsyfikat, ale dopiero po chwili w całości i bez trudu rozszyfrowana jako figiel, kpiarska podróbka, która wciąż wymaga dopracowania, być może projekt odłożony w czasie albo dopiero zarys projektu naszkicowany węglem przy zbyt słabym świetle. Próbowałem skupić wzrok na tych budynkach i nielicznych jednostkach snujących się po chodnikach, ale było to równie daremne, co próba uchwycenia zapomnianego snu, bowiem i budynki, i ludzie rozplywali się pod ciężarem mojego wzroku, a może to wiatr rozwiewał te sylwetki w strzępy cieni, po których nie zostawało nic, prócz niepokoju.

Przeniosłem więc wzrok w górę. I patrzę w słońce, świeci tak słabo, że nie bolą mnie oczy. Oto moje odkrycie: po kilku godzinach słońce na zachodzie wznosi się parabolicznie i znika w czerni. Nie opada za horyzont, za ten horyzont już nie może opaść.



www.toon-art.pl



<https://www.facebook.com/Kozierkiewicz>



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

AMORFICZNE DEMONY WOLNEGO RYNKU

horror korporacyjny Thomasa Ligottiego

Wojciech Gunia

Prawdopodobnie każdy z nas zna kogoś, kto pracował bądź pracuje w korporacji. Ba, jest wielce prawdopodobne, że wśród czytelników *Histerii* znajdują się szczęśliwi posiadacze ubezpieczenia grupowego, grupowego karnetu na crossfitt, grupowego pakietu medycznego, grupowej zniżki na sushi i innych grupowych korzyści, jakie oferuje korporacyjna praca.

Legendy o korporacyjnym życiu, sublimujące do postaci zjadliwych memów opiewających specyficzną hojność pracodawców, nietypowo racjonalne wymagania, teoretycznie możliwe do dotrzymania terminy i symboliczny szacunek dla pozapracowego życia pracowników, utrzymują się od dawna na czele listy najchętniej czytanych i oglądanych. Cóż, własne lęki i bolączki najlepiej opakować śmiechem. A że czasami jest to śmiech przez łzy? Wtłoczeni w korporacyjną nowomowę i etykietę, odpodmiotowieni, odzyskujemy resztki naszych iluzorycznych „ja” na wszelkie dostępne nam sposoby. Dystansowanie się żartem od tego, co nas pożera, nie jest może metodą najbardziej skuteczną, ale z pewnością najbardziej skuteczną z tych powszechnie dostępnych. Jakże mamy bowiem alternatywy?

Świat, którego pierwszą cnotą jest skuteczność działania, nie pozostawia nam szerokiego pola wyboru. Napompowani potrzebami i oczekiwaniami niczym mięso w sklepie mieszankami hormonów i sterydów, godzimy się na to odpodmiotowienie w zamian za mglistą perspektywę spełnienia naszych oczekiwań. Przystępujemy do gry biznesowej z szczerym zamiarem ugrania czegoś dla siebie, uczciwego sprzedania części siebie w zamian za szansę na dopełnienie siebie. Niektórym, wyposażonym w specyficzny zestaw cech osobowościowych, ta gra się udaje, ale jeszcze inni najchętniej powiedzieliby „pas”, przeczuwając, że niebawem nie będzie już nikogo, w którym imieniu można by w ogóle podejmować jakąkolwiek grę.

Thomas Ligotti znany jest przede wszystkim jako twórca metafizycznego weird fiction, nazywanego przez niektórych filozoficznym horrorem, choć obydwa określenia są nader nieostre i wypada je obowiązkowo uzupełnić słowami takimi jak „pesymizm” i „nihilizm”. Utwory Ligottiego, będące wykładnią jego skrajnie pesymistycznej wizji ludzkiej obecności w świecie,

znaczenia samoświadomości i wolnej woli, traktowane są często jako dość abstrakcyjne, hermetyczne w swoim radykalizmie, a jednocześnie nader osobiste psychotopograficzne wycieczki. Taki obraz pisarza zdaje się powoli utrwać w świadomości odbiorców, a tymczasem warto poszukać innych, bardziej konkretnych, bardziej „tu i teraz” matryc odczytu jego pisarstwa.

Tak się bowiem składa, że Ligotti, będący zdeklarowanym pesymistą, w licznych utworach daje się poznać także jako zaangażowany społecznik, który ostrze pióra, jak przystało na człowieka określającego się jako socjalista, wymierzył przeciwko demonom kapitalizmu, których najbardziej jaskrawym uosobieniem są właśnie korporacje.

Żeby zrozumieć, skąd u Ligottiego to dość specyficzne połączenie, należy przyjrzeć się uważnie jego wizji świata jako miejsca, którego dynamika napędzana jest tym, co metaforycznie określa jako „cień i ciemność” – Schopenhauerowską Wołą, spotworniałym Bergsonowskim élan vital. Energią, która prze bezwzględnie naprzód, w bezsensownym pędzie, zużywając w nim wszystkie ciała tego świata – ożywiając je i pożerając. Siłą, która tworzy, by tworzone zużyć i unicestwić.

Siła pustosząca świat, który jednocześnie animuje, to paradoksalne uwikłanie, uobecnia się najpełniej w sposobie, w jaki działają te spośród podmiotów, którym połączenie rozproszonej tożsamości i sztywno określonych priorytetów pozwala na podejmowanie działań w oparciu o pryncypium amoralnej skuteczności. Innymi słowy, wielkie korporacje, bo to o nich mowa – podmioty, których tożsamość rozprasza się pomiędzy grupy bezosobowych udziałowców i podmioty zinkorporowane – w strategicznej grze o przetrwanie przyjęły reguły gry, jakie wyznaczyła ślepa natura; reguły gry, spisane przez specjalistów od ewolucji.

W świetnej dylogii korporacyjnej z *Teatro Grottesco* upiorna korporacja przyjmuje nazwę Quine Organization. Pomińmy na potrzeby tych rozważań konotacje z osobą Willarda Van Ormana Quine i przyjmijmy, że chodzi o ten specyficzny rodzaj programu komputerowego, którego jedynym celem jest reprodukcja własnego kodu źródłowego. Nietrudno się domyślić, że quine jako metafora dobrze odzwierciedla mechanikę pędu świata, ewolucyjnych imperatywów, z których Ligotti szydzi. O ile jednak cel informatycznego quine nie wykracza poza niego samego – nie wychodzi ku żadnej zewnętrżności, nie wpływa na nic, nie wchodzi w żadną interakcję, jego reprodukcja jest całkowicie wsobna i neutralna, o tyle złowieszczą organizacją z opowiadań Ligottiego zdaje się rozrastać, pochłaniać, zagarniać kolejne rejony świata – zarówno obszary całkowicie fizycznej topografii, zdominowane przez wszechobecność fabryk, biur, delegatur i centrów operacyjnych firmy, jak i rejony wewnętrzne, osobiste ludzkie światy. Reprodukacja idei, która leży u podwalin tej metakorporacji, jest możliwa jedynie poprzez całkowite pochłonięcie i zużycie wszelkich możliwych zasobów; co więcej, wszelkie podmioty, niewolniczo uczestniczące w tym procesie, są pozbawione wglądu w nadrzędny cel procesu, w jego strukturę i przebieg.

Trudno w tym nie doszukać się analogii do działania rzeczywistych korporacji, już w naszej rzeczywistości.

Niedawno szumu w Polsce narobiła książka *Chciwość – jak nas oszukują wielkie firmy* Pawła Reszki. Oprócz ujawnienia sposobu, w jaki przedsiębiorstwa na rynku finansowym podchodzą do klientów, reportaż Reszki pokazuje też karykaturalną mechanikę, którą firmy działają na pracowników, uzależniając ich od siebie i prowadząc do naruszenia nader kruchego kręgosłupa moralnego; wszystko w imię „realizacji targetów”. Jeszcze wcześniej ogólnopolskie media donosiły o nader dyskusyjnych metodach zarządzania załogą w zlokalizowanych w Polsce magazynach Amazona. Zarówno bezwzględność firm z sektora finansowego wobec pracowników i klientów oraz równie duża bezwzględność giganta e-handlu nie są pierwszymi w Polsce przypadkami nieuchronnego wstąpienia na ścieżkę deprawacji przez duże podmioty rynkowe. A przecież to, co nami wstrząsa i nas oburza, nie jest w skali globalnej w żaden sposób wyjątkowe. Wszyscy z grubsza wiemy, choć staramy się tę świadomość wypierać, w jakich warunkach powstają nasze ubrania sygnowane logotypami sieciowych marek, czy czemu zawdzięczamy względnie tani sprzęt elektroniczny. Niewolniczo pracujemy, by regularnie nabywać owoce czyjejs jeszcze bardziej niewolniczej pracy. Zarówno my, niewolnicy nabywcy, jak i niewolnicy wytwórcy, sycimy tego samego potwora.

Czy da się tego potwora obarczyć odpowiedzialnością? Ligotti zadaje bardzo celne pytanie: a właściwie kogo obarczać odpowiedzialnością? Co to bowiem znaczy korporacja? Przecież na wierzchołku drabiny nie przesiaduje żaden złośliwy, zły demiurg, czy choćby odziany w garnitur demon z kalkulatorem zamiast serca. Potwór ten jest pozbawiony kształtu, pozbawiony wyraźnej tożsamości, jego działania nie są kierowane spaczoną samoświadomością opanowaną przez piekielne moce. Demon jest amorficzny, rozpełzły. Jest kłęczem złożonych zależności, z wdrukowanym tylko jednym celem: generować zysk, przedłużać własną ideę, której sednem jest zysk.

Kiedy nie tak dawno pewien niezbyt sympatyczny pan nazwiskiem Martin Shkreli, właściciel Turing Pharmaceuticals, podniósł ceny wykupionego przez swoją firmę Daraprimu – leku kluczowego dla chorych na AIDS z 13,5 dol do 750 dol. za tabletkę, większość ludzkości mającej dostęp do wiadomości w internecie życzyła mu zapewne bolesnej śmierci. Ale czy słuszny gniew internautów dotknął też anonimowych udziałowców firmy? Ile razy dochodziło do sytuacji, w których odpowiedzialność za moralnie wątpliwe działanie jakiegoś koncernu rozplýwała się, roztopiała gdzieś na drabince podmiotów zarządzających i udziałowców? Czy inwestorzy firmy Shkreliego zaprotestowali przeciwko jego decyzji, uznając, że ta droga czerpania zysków jest nie do zaakceptowania? Któż miałby zaprotestować: fundusze inwestycyjne? Czyli znów: właściwie kto? Za siatką twarzy i przypisanych im nazwisk właścicieli kryje się kolejna siatka – inwestorów,

udziałowców, którzy mają z kolei swoich inwestorów, swoich udziałowców... i tak dalej.

Quine Organization nie ma twarzy, nie ma nawet dyżurnego kozła ofiarnego, którego wizerunek stałby się firmowym znakiem patologicznej chciwości. Chciwość bowiem zwykliśmy traktować jako cechę ludzką, i o ile dawny kapitalizm uosabiał się w obrzydliwie bogatym jegomościu, który z cygarem między grubymi palcami, pod cylindrem jechał dorożką po drodze wybrukowanej czaszkami robotników, o tyle ten współczesny – równie agresywny, tak samo dewastujący środowisko naturalne, wciąż wykorzystujący niewolniczą ludzką pracę i brudzący nam pospołu ręce odpowiedzialnością za niedolę ludzi w innych rejonach świata – zdaje się mieć w miejscu twarzy czarną dziurę, pulsującą cieniem i ciemnością otchłan. Chciwość przestała być cechą, ułomnością ludzkiego ducha; stała się ideą, która wzniósłszy się ponad człowieka, uczyniła z niego swoje narzędzie. Realizuje samą siebie, napędza samą siebie. Tworzy byty, które wykorzystuje i zużywa. Ale przecież tak działa samo życie: sieje się, pleni, jedne jego wykwyty pożerają inne, formy wyrastają na stosach trupów innych form. Wielkie korporacje pożerają nie tylko własną siłę roboczą, pożerają też i podgryzają siebie nawzajem; napędzane tą samą ideą toczą bezwzględną walkę.

Ta amorficzność ma jeszcze jeden skutek. W dyskursie dotyczącym wolnego rynku jego obrońcy często bronią jego idei jako ostoji świętego prawa własności. Święta piramida własności, na której jest się posiadaczem określonej – od zajmowanego miejsca uzależnionej – puli wypracowanych dóbr. Tymczasem – jak pokazuje Ligotti – w świecie korporacyjnym wypracowana własność przypisana osobie fizycznej jest mitem. Wszystko, co wypracowane, przynależy do korporacji. Praca nie jest metodą wypracowywania dóbr proporcjonalnie dla wszystkich uczestników procesu, ale, zarządzana poprzez ustanowienie niemożliwych do zrealizowania norm, jedynie pogłębia dług pracownika wobec pracodawcy. Pracując, nie wypracowujesz własnego zysku, jedynie powiększasz własne zadłużenie. Pracując, umniejszasz wirtualny plan, traktowany jako poziom zero, stan bazowy. Wciąż wypychasz swoją pracę siebie samego pod kreskę. Choć brzmi to absurdalnie, tego typu praktyki wcale nie należą do rzadkości. Pracownicy firm z sektora finansowego biorący kredyty we własnej firmie po tym, jak nie udało im się wypracować założonego planu (i w rezultacie otrzymać wynagrodzenia umożliwiającego realizację nadmuchanych przez *korporacyjny lifestyle* potrzeb bytowych) czy szeregowi sprzedawcy sieci Empik, kupujący na własną rękę produkty z tzw. „ofert specjalnych” sieci, byle tylko zrealizować założony przez centralę cel sprzedażowy, którego niezrealizowanie oznaczałoby przykre konsekwencje, to w gruncie rzeczy ofiary tego samego zjawiska. Wspomnijmy teraz otepiałych od leków, udręczonych pracowników Quine Org., którzy nie są w stanie wypełnić narzuconych norm (w realizacji zadań, których ostateczny cel pozostaje dla nich niejasny) ani zrezygnować ze swojej pracy, nie są w stanie wydostać się z korporacyjnej orbity czy uciec poza horyzont korporacyjnego

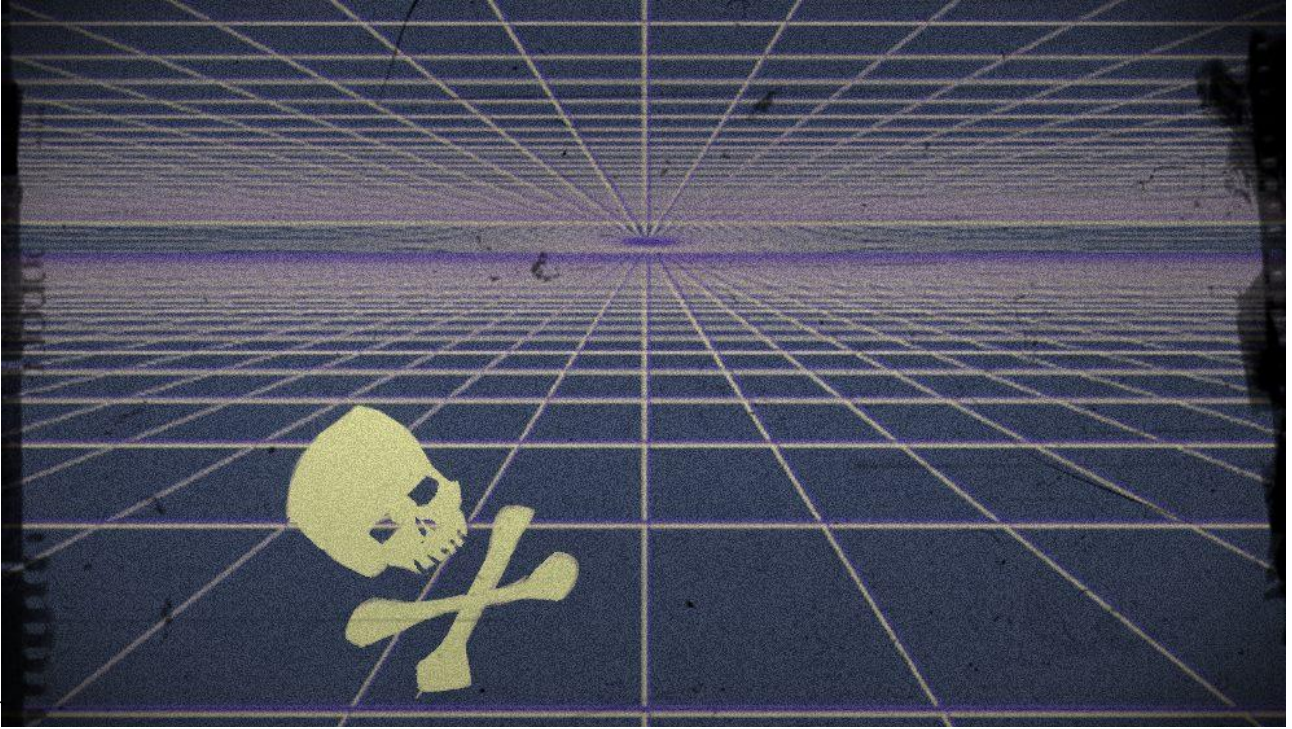
świata. Dlaczego tego typu praktyki są rezultatem amorficznej struktury własności, rozproszonej tożsamości?

Odpowiedź na to pytanie już poniekąd padła: określona tożsamość jest równoznaczna z odpowiedzialnością. Nawet jednostki amoralne, bezwzględne jak przyroda, pokroju Martina Shkreli'ego, tłumacząc motywy swoich działań, odwołują się do figur anonimowych, pozbawionych twarzy. Wdrożenie działań wiążących się z czyjąś krzywdą jest zdecydowanie najłatwiejsze – także z psychologicznego punktu widzenia – gdy ciężar decyzji spoczywa nie na barkach osoby, ale siatki osób, nie na jednostce, ale na strukturze. Prawdopodobnie większość członków rad nadzorczych, dyrektorów generalnych – trybików w mechanizmie zarządczym – nie przejawia osobiście zbyt wielu patologicznych cech osobowości, a przynajmniej nie więcej niż przeciętny człowiek. A jednak decyzje, które powstają wskutek reakcji i kontrreakcji na różne rynkowe bodźce w tego typu strukturach, na zewnątrz uderzają wyjątkowo bezwzględnymi rezultatami.

Oczywiście, sprowadzenie korporacyjnego modelu funkcjonowania tylko i wyłącznie do roli generatora zysku dla jakiejś rozproszonej, nieokreślonej struktury byłoby uproszczeniem. Korporacja – co Ligotti również pokazuje – to także kultura organizacyjna, w której dehumanizacja czy też odpodmiotowanie pracownika zaczyna się od rytuałów i zabiegów językowych. Każdy, kto zetknął się bliżej z korporacyjnym środowiskiem, z pewnością zauważył, jak w gruncie rzeczy sformalizowany – zautomatyzowany – jest język w korporacyjnym obiegu informacji. Oczywiście, musi taki być – nie sposób wyobrazić sobie sprawne funkcjonowanie wielkiej ludzkiej maszyny w wieży Babel osobowości i tyglu zbyt indywidualnych idiolektów. Tymczasem konieczność wciśnięcia się w skodyfikowane matryce językowe, amputacja z idiolektu wszystkiego, co poza wzór wystaje, pozwala nie tylko skuteczniej pracownika zmienić w trybik, ale też jego działaniom odjąć ciężar wątpliwości natury moralnej. To stara jak świat sztuczka: odczłowieczenie poprzez przesunięcie pojęć. Zwolnienia grupowe? Skądże, to tylko „szeroka restrukturyzacja kosztów” (bo pracownik – wiadomo – to także przykry koszt). Wymuszanie pracy po godzinach? Ależ, to tylko „intensyfikacja prac nad realizacją targetu” (paradoks: o ile język korporacyjny redukuje wszystko, co nieużyteczne, tak struktura zadań często zdaje się wręcz piętrzyć przed pracownikami nonsensowne dla nich czynności). I tak dalej, i tak dalej. Dowcipów na ten temat powstało już co niemiara.

O horrorze korporacyjnym Ligottiego można mówić jeszcze długo – na przykład o jego bardzo silnych związkach z prozą Franza Kafki, co wprost wynika zarówno z opresyjności korpoświata, jak i jego monstrialności, która przekracza ludzkie zdolności poznawcze (Quine Org. można w kategoriach filozoficznych traktować jako ekwiwalent kafkowskiego Zamku). Można rozszerzyć temat zagadnień politycznych w horrorze korporacyjnym o diagnozy społeczne, zawarte w tekstach spoza kanonu *corporate horror* – na przykład w *Czystości czy Zarządcy miasta* (które

w znacznej mierze opowiadają o społeczno-gospodarczej degrengoladzie niektórych obszarów współczesnych Stanów, na czele z upadłym miastem Detroit). Można, ale – aby ten felieton nie przytłoczył rozmiarem opowiadania głównego bohatera – oddajmy już głos samemu Thomasowi Ligottiemu. *Koszmar na sieć*, oryginalnie wydana w zbiorze *My work is not yet done – three tales on corporate horror*, jest jednym z oryginalniejszych formalnie opowiadań Ligottiego. Pozbawiona klasycznej fabuły, sięga ochoczo po Dickowską paranoję, oplata ją Burroughsowską siecią narkotycznych wizji i doprawia szczyptą jakże nietypowego dla Ligottiego gore. Wgryźcie się w tę opowieść o korporacji ultymatywnej – i zastanówcie, po czyjej stronie wolelibyście stanąć. O ile już nie stoicie.



KOSZMARNĄ SIEĆ

Thomas Ligotti

łumaczenie: Wojciech Gunia

Ogłoszenie drobne nr 1

Multinarodowa korporacja marzy. Jesteśmy organizacją więcej niż stu tysięcy dusz (na pełny etat) i poszukujemy obecnie ochotników gotowych zaprzedać swój los udziałowi w naszym marzeniu. Zdyscyplinowane osoby, które potrafią wyrzeć poza najniższą proponowaną stawkę, by dostrzec bezdenną studnię możliwości, mogą już teraz aplikować na stanowiska dla początkujących. Nasze przedsiębiorstwo prosperuje na trudnym, globalnym rynku i już od dawna gra w swojej własnej lidze. Jeżeli jesteś lojalną, nastawioną na sukces osobą pragnącą stać się częścią czegoś znacznie większego niż ty sam... nasze drzwi są otwarte. Twoje życie nie musi być koszmarem, klęską, kielichem goryczy. Dołącz do nas. Niespotykane korzyści.

Scena początkowa

Świt w lesie deszczowym. Światło słońca zaczyna migotać przez zieloną gęstwę, objawiając się tu i tam pod postacią promiennych rozlewisk na miękkiej, ciemnej ziemi. Plemię łowiecko-zbierackie leży nieopodal płytkiego strumyka, pogrążone we śnie. Kamera prześlizguje się z jednej niedorzecznie spokojnej twarzy na kolejną. Jak na razie żaden hałas nie pojawia się na ścieżce dźwiękowej – żadnego szelestu w zaroślach, żadnego plusku w płytkim strumyku, żadnych pisków i wrzasków ze strony leśnej fauny. Podglądając śpiące plemię, kamera daje zbliżenie na jednego z łowców, którego twarz wyraża niezmacony, niedorzeczny spokój. Nawet nie jest to twarz kogoś zamieszkującego las deszczowy. Choć mężczyzna jest praktycznie nagi, a zaostrzony kij leży w zasięgu ręki pogrążonego w śnie ciała, jego skóra jest blada, a włosy starannie uczesane. Teraz rysy mężczyzny stają się powykrzywiane, jakby doświadczał właśnie sennego koszmaru. Wydaje się, że coś mówi przez sen, ale jak dotąd żaden hałas nie pojawia się na ścieżce dźwiękowej. Wreszcie cisza zostaje rozerwana spazmatycznym buczeniem alarmu budzika. Oczy łowcy nagle otwierają się i spoglądają panicznie; jego blada skóra perli się potem. Wciąż rozbrzmiewa alarm.

Video wprowadzające

Ładna, ciemnowłosa aktorka w biznesowej garsonce stoi w samym środku labiryntu biur, przemawiając do kamery i fachowo gestykulując. Siedzący za biurkami wydają się być nieświadomi jej obecności. Na końcu nagrania aktorka zmyślnie krzyżuje ręce na piersi, przyjmuje srogiego wyraz twarzy i wypowiada korporacyjne motto, które jako tytuł rozpoczęło cały film („Pomyśl jeszcze raz!”). Kiedy patrzy w kamerę, sceneria wokół niej zaczyna się przeobrażać: cienie płożą się pomiędzy biurkami, a twarze wszystkich pracowników zaczynają gnić, niszczyć, jakby w przyspieszonym tempie pożerał je trąd. Jeden po drugim wstają zza biurki i poddają się dziwnemu, rozbieganemu atakowi szaleństwa *danse macabre*. Pod wpływem tych nerwowych, rwanych ruchów ich kończyny odłamują się i upadają na podłogę, pożerane tam przez płożące się cienie. Prędko więdną, obsychają nosy i uszy, odpadają wargi, odkrywając przegniłe, połamane zęby, gałki oczne kurczą się w swoich oczodołach. Ładna, ciemnowłosa aktorka wciąż wpatruje się w kamerę z srogim wyrazem twarzy.

Memo od Dyrektora Generalnego

Ponieważ siły operujące na współczesnym rynku stają się coraz bardziej cieniste i niepojęte, jesteśmy zmuszeni, by każdej sekundy każdego dnia poświęcać się w pełni nieustannemu

spełnianiu tego nieuchwytnego marzenia, które wszyscy dzielimy, a którego już nikt z nas nie może sobie przypomnieć, o ile kiedykolwiek istniało. A jeżeli ktokolwiek uważa, że nasza konkurencja nie jest na tyle zdeterminowana, by odgryźć sobie własne genitalia, byle tylko dostać się do Ziemi Obiecanej przed nami i zająć ją tylko dla siebie, gdy cały świat tak gna na oślep ku spełnieniu tego samego nieuchwytnego marzenia... niech pomyśli jeszcze raz.

Z notatnika nadzorcy

... i gdybym był zdeterminowany, by żywić się wyłącznie mięsem moich podwładnych, bez dostępu do mięsa podwładnych innych walczących o przeżycie nadzorców bądź mięsa jakiegokolwiek innego personelu, największym wynikającym z tego wyzwaniem byłoby utrzymanie każdego z nich w stanie przydatności do spożycia i jednocześnie ograniczenie konsumpcji. Być może powinienem spróbować utrzymać ich przy życiu, w takim wypadku mógłbym po prostu karmić się regenerującymi się tkankami, chociażby krwią. Marzyłbym wówczas o ich pachach i łokciach... męskich i kobiecych, bez różnicy. Myślę, że w czas tej kanibalistycznej próby przetrwania ze szczególną chęcią skosztowałbym nieco bardziej pomarszczonych części ludzkiej anatomii.

Łowca

Zielone drzwi windy rozsuwają się, odsłaniając mężczyznę w ciemnym garniturze. Stoi w samym środku kadru, jego uczesanie jest zauważalnie staranne i modnie wystylizowane. W prawej ręce dzierży pistolet automatyczny z niklowaną rękojeścią. Trzymając broń blisko siebie, wychodzi z windy i zaczyna iść szybkim krokiem wzdłuż kolejnych, jasno rozświetlonych korytarzy. Mija otwarte biura, z jednej i drugiej strony. Na końcu jednego z korytarzy zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami. Z wewnętrznej kieszonki marynarki wyciąga kartę dostępową i wkłada do niewielkiego czytnika. Gdy otwiera drzwi i wchodzi do środka, zostawiając swoją kartę w czytniku, rozlega się łagodny, buczący dźwięk. Za drzwiami mężczyzna wkracza w labirynt biurek, za którymi zasiadają mężczyźni i kobiety. Zatrzymuje się na samym środku sali, która teraz zdaje się wirować wokół niego niczym karuzela. Na ścieżce dźwiękowej pojawia się kakofoniczna muzyka w takt walca, której głośność i tempo narastają w bolesnym crescendo. Muzyka zostaje przerwana nagłym odgłosem pojedynczego wystrzału. Sala przestaje wirować. Mężczyzna leży martwy na środku labiryntu biurek, a z jego roztrzaskanej czaszki na posadzkę sączy się krew. Nieco później współpracownicy denata ujawnią, że od pewnego czasu skarżył się na ledwie słyszalne wiadomości pojawiające się w słuchawce telefonu, za każdym razem, gdy odbierał bądź wykonywał połączenie

w biurze. Kadra kierownicza firmy po wszystkich ledwie uściśnie sobie dłonie w akcie protekcyjnego ubolewania. Na następny dzień autoryzują zakup i instalację nowego systemu telefonicznego.

Drobne ogłoszenie nr 2

Znacząca Superkorporacja, będąca w trakcie procesu poszerzania stanu posiadania i podwyższania pozycji rynkowej, dysponuje ograniczoną pulą miejsc dla Certyfikowanych Pracowników w placówkach krajowych i zagranicznych (rzeczywistych i wirtualnych). Znajdujemy się wśród największych usankcjonowanych prawnie multimonopolistów na światowej scenie, zaś nasza Tożsamość Korporacyjna może zostać zaaprobowana bez oporów przez dowolnego CP. Preferowane osoby z doświadczeniem w pracy w warunkach deprivacji sensorycznej. Znajomość nielegalnych dialektów Koszmarnej Sieci na poziomie a plus. Standardowy, wystarczający do przetrwania pakiet świadczeń. Od prehistorycznych CP wymagana dokumentacja biologiczna z agencji transportowej.

Rolnicy

Puste pole pod szarym, prehistorycznym niebem. Kamera powoli prześlizguje się z lewej do prawej, pokazując kilka postaci w różnych pozycjach, zarówno na pierwszym planie, jak i gdzieś w tle. Każdy z nich dłubie mozolnie w ziemi przy pomocy narzędzi właściwych początkowym stadiom rozwoju agrokultury. Są odziani w podarte, brudne tuniki zrobione ze zwierzęcych skór. Ich długie włosy i gęste brody są skołtunione i zawszone. Kamera zatrzymuje się w długim ujęciu rolników i pola, by dobitniej ukazać bezdenną nudę sceny z pory siewu w epoce kamiennej. Niemal jednocześnie wszystkie postaci stają w bezruchu, po czym podnoszą wzrok z ziemi, na której ich spojrzenia były skupione jeszcze przed chwilą. Tym, co widzą, jest zielonkawa, rozjarzona kopuła, która właśnie nakrywa pole, zamykając je na całym obwodzie. Niektórzy rolnicy zaczynają biec, owładnięci panicznym strachem, inni padają na ziemię nieprzytomni bądź martwi z powodu szoku wywołanego niewytłumaczalnym zjawiskiem, które, biorąc pod uwagę ich na wpół dzikie instynkty, jest dla nich źródłem nieprzemóżonej zgrozy. Snopy zielonkawego światła rozbłyskują z różnych części sklepienia kopuły, pochwytyując każdego z nich i unosząc wysoko ponad pole. Nawet martwe ciała zostają zabrane i przetransportowane poza wewnętrzną powierzchnię kopuły. Pole jest teraz puste, prymitywne narzędzia leżą porzucone na ziemi. W kadrze pojawia się następujący napis:

KOSZMAR PRZESZŁOŚCI
STAJE SIĘ MARZENIEM PRZYSZŁOŚCI
ONEIRICON: JEDEN ŚWIAT, JEDNO MARZENIE

W Koszmarnej Sieci

Jesteśmy bezimienni, a nasze twarze to cienie przepływające przez nieskończoną ciemność. Nasze głosy to zduszony, łagodny szept w uchu szaleńca. Jesteśmy dumnymi dziećmi wielkiej klęski, którym została już tylko jedna uciecha: wyrządzić jak największe szkody tym, którzy żerują na naszych marzeniach i ostatecznie udławić się własnymi koszmarami. W gruncie rzeczy jesteśmy koordynatorami apokalipsy. Nie ma już nic do ocalenia, jeżeli kiedykolwiek było... jeżeli kiedykolwiek mogło być coś do ocalenia. Jedyne, czego łakniemy (przy całym naszym zgorzknieniu), to obrócić w ruinę wszystko, co się da *na nasz własny sposób* – z odrobiną stylu i całym mnóstwem hałasu.

Żniwa

System alarmowy w Centrum Bezpieczeństwa powiadamia o wystąpieniu sytuacji kryzysowej w podkomórce sześć-zero-sześć, zlokalizowanej kilkaset kilometrów pod ziemią. Niższy oficer pionu bezpieczeństwa wyjaśnia swojemu przełożonemu, że jakiś trudny do określenia czas temu Koszmarna Sieć nawiązała niewykrytą wcześniej komunikację ze wszystkimi stu pięćdziesięcioma CP w podkomórce sześć-zero-sześć, podsuwając im pewne obrazy i dane na monitorach komputerów. Bezzwłocznie przeprowadzona kontrola wszystkich komputerów pozwala odkryć, że personel tej szczególnej podkomórki pozostaje w stanie upiornej, transowej derealizacji od co najmniej siedemdziesięciu dwóch godzin. Sygnały systemowe audio i video, mające płynąć z komórki sześć-zero-sześć zostały podmienione na pochodzące z podkomórki siedem-zero-siedem. System nie został zaprogramowany, by wszczać alarm po wykryciu duplikacji danych; przeoczenie do naprawienia w przyszłości. Obecnie ciężko uzbrojona grupa bezpieczeństwa zstępuje do sześć-zero-sześć celem oszacowania szkód i podjęcia działań naprawczych. To, co znajdują na dole sprawia, że niektórzy nieopierzeni rekruci wymiotują do założonych na twarze masek tlenowych będących częścią hełmów. Cały oddział wygląda jak rzeźnia, w której wybuchła bomba, wszędzie leżą zmasakrowane ciała. CP, którzy jeszcze żyją, biegają w amoku w labiryncie terminali komputerowych. Większość z nich jest naga i umazana krwią, niektórzy przyozdobili się pętami jelit wiszącymi u szyi, a niektórzy owinęli głowy strzępami zerwanej z innych skóry. Wielu pożera mięso umarłych lub jeszcze umierających. Zalew krwi i innych płynów ustrojowych spowodował

liczne spięcia w większości komputerów, które obficie iskrzą, porażając nawet śmiertelnie jednego z szalejących w transie CP. Komputery, które jeszcze działają, wyświetlają na monitorach tę samą wiadomość. Świetliste, rozbłyskujące litery układają się w napis: POZDROWIENIA Z KOSZMARNEJ SIECI.

Drobne ogłoszenie nr 3

OneiriCon poszukuje Jednostek Roboczych wyposażonych w autonomiczne lub półautonomiczne oprogramowanie nadzorujące siłę roboczą (Nieświadomych CP). Niewykluczone pewne formy kontaktu z Nieświadomiakami bądź ich figurami (desensytyzacja wizualna lub nihilizacja dla wszystkich JP opłacona przez OneiriCon). Pamiętaj: nie ma złych snów, jeżeli istnieje tylko jeden sen; nie ma wyjętych spod prawa tam, gdzie jest tylko jedno prawo. Sztuczne byty z Koszmarnej Sieci, usiłujące podszywać się pod JR zostaną wykryte i przeprogramowane, by istnieć w stanie nieustannej, halucynacyjnej udreki. Niedoskonale funkcjonujące JR zostaną wykryte i litościwie wykasowane. Możliwość podniesienia rangi do stanu pół- lub pełnoetatowego jako cyberpersona (z adekwatnymi korzyściami i restrykcjami) dla wszystkich wykwalifikowanych jednostek.

Władcy i niewolnicy

Zmierzch nad antyczną, pustynną krainą. Niewolnicy zostali zgromadzeni przed olbrzymią, półokrągłą platformą. Poza nią, na tle ciemniejącego nieba, zarysowują się iglice i wieże wielkiego pałacu. Przed platformą, na pustynnym piachu, chłodniejącym wraz z ucieczką słońca za horyzont, klęczy całe morze niewolników odzianych jedynie w przepaski biodrowe. Oko kamery skupia się na centralnej części platformy, gdzie pokaźna liczba niewolników została przykuta do rzędu wolno stojących kolumn. Z ich szczytów dobywają się czyste, równe płomienie, zapewniające hojne światło i uwypuklające zniewolone ciała zgromadzonych. Po drugiej stronie platformy zasiadają przedstawiciele rodziny królewskiej, kapłani i arcykapłani, wysocy rangą wojskowi i inne znamienite osobistości królestwa. Kiedy słońce niknie za jakąś odległą wydumą, wydając dziesiątki tysięcy niewolników na pastwę całkowitej ciemności, spektakl może się wreszcie rozpocząć. Główny kat wraz z kilkoma pomocnikami wstępują na platformę schodami z prawej strony. Kamera podąża za nimi, aż dochodzą do płonących kolumn, przy których spętani niewolnicy oczekują bogatego programu tortur, mających potrwać przez całą noc i zakończyć się równoczesnym uśmierceniem wszystkich o świcie. Jednakże główny kat, osiągnąwszy środek platformy i odwróciwszy się, by przejąć od jednego z pomocników złowieszczego wyglądający przyrząd, zastyga nagle w bezruchu, z szeroko rozpostartymi ramionami. W tym momencie jeden

z niewolników klęczących przed licznie zgromadzoną publicznością wstaje i wskakuje na platformę. Nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby go zatrzymać. Niewolnik podchodzi do płonących kolumn i ogląda przerażone twarze kompanów, przeczuwających noc udręki i, ostatecznie, śmierci. Po chwili zwyczajnie wzrusza ramionami i odwraca się od nich. Podszedłszy do stojącej w bezruchu postaci kata, ogląda ją od czubka głowy do stóp. Palcami prawej dłoni sięga pod szeroką, złotą obrozę, którą główny kat nosi i która jest symbolem jego urzędu. Mijają kolejne sekundy i nic nie zmienia się w zachowaniu tego straszliwego funkcjonariusza państwowego. Niewolnik wydaje się być teraz nieco zirytowany. Zabiera dłoń z katowskiej obrozy i nasadą prawej ręki wymierza tęgiego kuksańca w bok jego głowy. Główny kat, jakby na nowo wprowadzony tym w ruch, przejmuje ofiarowane mu narzędzie tortur, kontynuując ceremonię od miejsca, w którym przerwał. Niewolnik, nim wróci na swoje miejsce, rozejrzy się wokół, czy może gdzieś jeszcze nie potrzeba by komu niewielkiego zabiegu serwisowego, oczywiście poza przykutymi do płonących kolumn, którzy są jedynymi żywymi ludźmi pośród tego zgromadzenia automatów na platformie. Następnie dołącza do współtowarzyszy, którzy nawet przez sekundę nie zauważyli, że opuścił ich szeregi, choć każdy z nich jest przecież istotą ludzką. Opóźniona przez chwilę długa noc tortur i śmierci może się wreszcie rozpocząć, poprzedzając ucztę, jaka będzie się odbywać na ciałach zmarłych.

Wewnątrz systemu

Wchłonawszy bądź zniszczywszy każdego konkurenta, OneiriCon zaczyna podupadać. To właśnie wówczas Rada Nadzorcza postanawia zadzierzgnąć spisek, polegający na utworzeniu pewnej liczby marionetkowych przedsiębiorstw, których zadaniem ma być zapewnienie odpowiedniej konkurencji dla organizacji, a tym samym, poprzez nadanie celu, tchnięcie nowego ducha w niższą kadre zarządzającą oraz inny, motywowany współzawodnictwem personel i zapobieżenie totalnej demoralizacji. (Znakomita większość pracowników OneiriConu – miliardy CP i jeszcze większa liczba JR – funkcjonowała w stanie łagodnej derealizacji od tak dawna, że wydawała się nie wymagać zewnętrznych stymulantów jakiegokolwiek rodzaju, jednakże wciąż pozostaje to kwestią dyskusji pomiędzy naukowcami organizacji, wysoce wyspecjalizowanymi w wymyślaniu sfingowanych tajemnic i wyzwań.) Przez pewien czas Projekt Marionetkorpo działa wręcz koncertowo, i niektóre ze sztucznych korporacji zaczynają sobie całkiem śmiało poczynać na rynku, a właściwie na tym, co z rynku zostało. Jednakże ostatecznie także i one zostają wchłonięte bądź zniszczone przez OneiriCon. Nie mogąc pogodzić się z wstąpieniem na ścieżkę śmiertelnej stagnacji przez organizację, która od zawsze istniała w oparciu o pryncypium nieustannego rozwoju, wielu członków Rady Nadzorczej poddaje się zabiegom neurodegradacyjnym, po czym

dołącza do rzeszy Nieświadomych CP. Inni przenoszą się w odległą przeszłość, gdzie stają się niewolnikami w społeczeństwie rządzonym przez automaty, zapewniając swoim głodnym rywalizacji duchom nowe obiekty oporu i konfliktu, osiągając nowy punkt startowy oraz nadając kierunek ciężkiej pracy, mającej ich jeszcze raz wynieść ku wyżynom. Pozostali członkowie RN zabijają czas płataniami sobie nawzajem ekstrawaganckich i mocno okrutnych psikusów. W ten sposób większość z nich ginie lub odnosi obrażenia tak poważne, że nie nadają się już do pracy w organizacji na jakimkolwiek szczeblu. I wówczas, zupełnie niespodziewanie, rozwiązanie problemu objawia się jednemu z członków Rady Nadzorczej – weteranowi firmy, dochodzącemu do siebie w prywatnej komórce medycznej po poważnej procedurze substytucyjnej. Na pewnym etapie rekonwalescencji antyczny dyrektor odzyskuje świadomość siebie i otoczenia, co jest sytuacją, która nie powinna się wydarzyć przy normalnym przebiegu tego typu procedury. Kiedy przebudza się zupełnie, z zaskoczeniem, a nawet z pewnym przerażeniem odkrywa, że do jego torsu transplantowano obciętą głowę Nieświadomiaka. Ten stan rzeczy wydaje się wykraczać poza nawet najdziksze psoty popełniane ostatnimi czasy w OneiriConie. Głowa Nieświadomiaka wygląda jak nieżywa, więc starzec jest całkiem zaskoczony, gdy usta czerepu otwierają się i zaczynają wymiotować długą taśmą, zupełnie przypominającą wstęgę telegrafu, którym w XX wieku przesyłano sobie dane rynkowe. Z poczuciem atawistycznej nostalgii dyrektor podnosi taśmę i czyta wydrukowane na niej słowa. Brzmiały one: „A może by tak pozwolić Koszmarnej Sieci na odrobinę zabawy?”. Posiadłszy innowacyjny zmysł i przebiegły geniusz kolejnych generacji biurowych form życia, stary dyrektor wykrzykuje: „Jesteśmy ocaleni!”. A następnie umiera, gdyż jego ciało nie wytrzymuje szoku potransplantacyjnego, spowodowanego przyjęciem obcej tkanki od Nieświadomiaka. Na szczęście cały incydent zostaje uwieczniony na nagraniu.

Marzenia podwójnego agenta

Propozycja, by OneiriCon połączył siły z Koszmarną Siecią napotyka na znaczący opór w organizacji. Nikt z ocalałych członków Rady Nadzorczej nie ukrywa, że idea *wrogiej fuzji* z własnym przeciwieństwem, to, korporacyjnie rzecz ujmując, interes o wysokim poziomie ryzyka. Z drugiej strony dopuszczenie tego rodzaju pasożytniczej formy do wnętrza własnego systemu celem ponownego wzbudzenia agresywnych odruchów – zupełnie jak szczepienie – wydaje się jedyną alternatywą dla postępującej atrofii i widma ostatecznego upadku, wobec którego w innym wypadku zostanie postawiona organizacja. Dlatego zostaje postanowione (na najwyższym szczeblu), że cały personel OneiriConu (na każdym poziomie i o każdym statusie rzeczywistości oraz świadomości) zostanie włączony do personelu Koszmarnej Sieci. Ta inicjatywa w efekcie zmieni wszystkich po obydwu stronach toczącego się od dawna konfliktu w podwójnych agentów.

W telepatycznym memo jeden z najpotężniejszych członków Rady ostrzega swoich towarzyszy: „Jest oczywiste, że nie możemy w OneiriConie oficjalnie ogłosić tej niby-fuzji z Koszmarną Siecią, gdyż sednem działania jest strategia motywacyjna wobec naszych pracowników; rzeczywistych i wirtualnych. Jest oczywiste, że organizacja nie zamierza być dojną krową dla przeludnionego systemu pełnego bumelujących robotników (jak i ich figur), liczących na łatwą forszę za każde działanie wywiadowcze bądź kontrwywiadowcze, każdy akt sabotażu bądź antysabotażu, próbę wpuszczenia w system sfalszowanych danych czy donoszenie na ich własne figury w związku z uśłowaniem tego samego”. Innymi słowy, ani jeden agent w żadnym z obozów nie może być świadomy, że jego zdrada jest ledwie częścią ogromnego, kooperatywnego interesu pomiędzy odwiecznymi wrogami. W innym wypadku potencjalne nadużycia i bumelanctwo po obydwu stronach zniweczą cały układ. A zatem infiltracja OneiriConu przez Koszmarną Sieć i *vice versa* musi być kontynuowana symultanicznie, lecz w jak najbardziej utajony sposób, przez co najwyżej jednego rekruta w jednym czasie, aż obydwie podmioty doskonale się do siebie upodobnią. Proces ten szybciej postępuje w Koszmarnej Sieci, gdzie indywidualne i zbiorowe wartości wykazują tendencje wywrotowe i jednocześnie są pozbawione przesłanek racjonalnych. Każdy z nich jest urodzonym nieudacznikiem, autodestrukcyjnym organizmem najgorszego sortu, gotowym zmarnować jakąkolwiek transakcję; niektórzy przyjmują nawet wielorakie tożsamości, by wielokrotnie doświadczać tego monstrualnego dreszczu bankructwa własnych daremnych dążeń. Kamera pokazuje morze twarzy, których oczy są przekrwione pragnieniem wywrócenia wszystkiego do góry nogami, pełne pożądania totalnego pandemonium. Nie jest dla nikogo zaskoczeniem, że reakcja pracowników OneiriConu jest identyczna jak u ich odpowiedników w Koszmarnej Sieci. Następnie nastaje era złożonych, pleniących się intryg i spisków pomiędzy siatkami podwójnych agentów, których agendy stają się tak gęsto splecione, że praktycznie nie do odróżnienia. Nawet Rada Nadzorcza OneiriConu, w której zasiada wielu dezerterów z Koszmarnej Sieci, wpada w otchłanie nowego porządku, zatracając jakiekolwiek poczucie tożsamości w tej wiecznie rozprzestrzeniającej się mgławicy ślepych ambicji, których mocą i impetem kierują wyłącznie one same. Po jakiś czasie nie wiadomo już, komu służą, czy ich działania są aktami sabotażu, czy wsparcia. Nie ma już więcej dwóch odrębnych bytów, pomiędzy którymi jest jakaś wyraźna opozycja, jest jedynie ogromny chaos pogmatwanych celów kotłujących się pośród ciemności. Każdy z bytów rozprasza się w drugim, urzeczywistniając tym samym ich najbardziej upragnione marzenia i jednocześnie najgorsze koszmary. W końcu, jak się wydaje, dojdą do tego, że trzeba będzie zamknąć cały ten interes.

Drobny sygnał SOS

Ogromna organizacja delirycznych obrazów i impulsów poszukuje źródła zera dla swoich niszczących systemów. Wszelkie dane w cenie, wliczając w to toksyczne nieczystości ze starej Koszmarnej Sieci i powidoki zdegenerowanych JP i CP (Świadomiaki, Nieświadomiaki). Totalna atrofia i okluzja obwodów nieuchronne – następne stadium, Sieć Nigdzie. Twoje nadwyżkowe informacje – cienie i pozory spoczywające w uśpieniu w długo nieotwieranych aktach – mogą zostać użyte, by uzupełnić naszą żarłoczną bazę danych. Nie ma dla nas obrazu zbyt ohydneho, nie ma impulsu zbyt słabego lub zwyrodniałego. Nasza organizacja żyje swoim życiem, lecz bez dostępu do tanich danych nie może współzawodniczyć na współczesnym apokaliptycznym rynku. Z przegniłej mutacji mogą wyrosnąć wspaniałe iluzje. Nie pozwól nam leżeć beczynnym, gdy czarne, puste przestrzenie galaktyki rozbrzmiewają piekielnym chichotem. Wielowymiarowa, półorganiczna antykorporacja marzy...

Sygnał powtarza się, stopniowo zanikając, po czym rozprasza się w nicości. Długie ujęcie wszechświata. Nikogo nie ma po drugiej stronie kamery.

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

